ŚLIZG

GLOBALNACOOLTURA

numer 6/78 czerwiec 2002

http://slizg.tenbit.pl

cena 8.5 PLN (w tym 7% VAT)

ISSN 1425-1760 INDEX 332682

rap * graffiti * break dance * komiks * deskorolka

FISZ
PEJA
RED
PROCA TOUR
UKRAINA

ISSN 1425-1760
9 771425 176021 06>



10 STRON WYPASIONEGO GRAFFITI!



SURF SHOP
>>>/zapraszamy do naszych sklepów w Warszawie:
Rossignol Trendy w Galerii Mokotów ul.Wołoska 12 T: 0(..)22 541 34 78
Rossignol Passion w C.H Sadyba Best Mall ul.Powsińska 31 T: 0(..)22 550 33 35
>>>/oraz na Półwyspie Helskim: kemping Solar
NAISH WINDSURFING
QUIKSILVER
RIPCURL
www.pmsport.com.pl

czy wiecie, że:

666 to liczba bestii

66 to najbardziej znana droga

ROUTE 66

ŚLIZG
GLOBALNACOOLTURA

6 PLN

to lipcowa cena Ślizgu

Zwariowaliśmy! Od lipca Wasz magazyn nadal będzie z numeru na numer bardziej wypasiony, ale zmieni się jego cena. Teraz za SLG będziecie płacić jedynie 6 złotych! Piękny prezent na wakacje, prawda? ŚLIZG – efektywnie efektowny mag, człowieku...

intro

No i mamy czerwiec. Miesiąc, na który większość z nas czeka przez cały rok z utęsknieniem. Niby końcówka szkoły, końcówka jakichś tam zobowiązań, ale już tylko dni dzielą od wakacyjnej laby. No, nie wszystkich, bo my tu będziemy musieli przez wakacje robić kolejne numery dla Was, ale i tak na pewno każdy z nas znajdzie kilka dni, żeby się porządnie wyluzować.

Czerwcowy numer Ślizgu przygotowywaliśmy w lekkim szoku, bo nagle się okazało, że mamy nadmiar naprawdę niezłych materiałów. A SLG nie z gumy i się nie rozciąga. Burze mózgów, ostre dyskusje i w końcu się udało. Macie w ręku nowy numer, a w nim...

Zajawa na skateboarding zawsze przychodzi z Zachodu. Stamtąd przyszła do nas, a teraz nasi skejtowcy krzewią ją na Wschodzie. Czyli kierunek ekspansji zostaje zachowany. Silna grupa polskich skejtów zaatakowała miejscówki na Ukrainie i materiał z tego jedynego w swoim rodzaju touru możecie zobaczyć właśnie u nas. Redaktor Kaczmarczyk po powrocie ze służbowego wyjazdu w okolice Kijowa przeżywał ciężkie problemy z ponowną aklimatyzacją w rodzinnych stronach, ale teksty do redakcji dostarczył.

Pracowity spec od skateboardingu porozmawiał sobie również z Wojtkiem Jaworskim, niekiepsko wymiatającym skejcikiem ze Śląska. To, że sobie porozmawiali, to nic nadzwyczajnego, bo w końcu są kolegami, ale spisany efekt tej rozmowy zobaczycie na naszych łamach, a to cieszy. Bo w końcu nigdy nie za dużo skateboardingu.

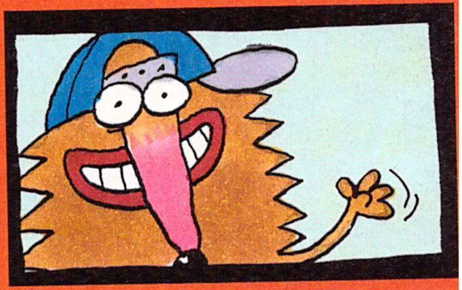
Inne rzeczy też dla Was mamy. Epilog szalonej przygody Jerzego oraz nowa historia, w której pojawi się legendarny... kapitan Żbik. Kuba Demiańczuk sprawdził, jak to bywało z „Gwiezdnymi Wojnami" w wydaniu komiksowym, a do tego zachęca do kolejnej afroamerykańskiej zajawki filmowej, jaką bez wątpienia jest seria z niezrównaną Cleopatrą Jones.

Forin One, nasz szefuńcio od graffiti, przygotował aż dziesięć stron murów i pociągów. Muzycznie też się ogarniamy, bo Fisz, Peja i gorący Red to ciekawe opcje na wywiad.

To główne tematy, pośród których znajdują się jeszcze całkiem ciekawe dodatki. Czytajcie więc, a znajdziecie. No i bawcie się dobrze (i bezpiecznie, bez kozaczenia) podczas wakacji. Pozdro.

REDNACZKWL

SZYKUJCIE SIĘ!



BJEŻCIE NAGRODY*,

czyli wakacyjny megakonkursu Ślizgu,

W lipcu zaskoczymy Was nie tylko ceną. Zaskoczymy Was czymś jeszcze. Zaskoczymy Was konkursem. Będzie mnóstwo nagród, będą proste zasady. Jakie? To na razie tajemnica. Możemy Wam tylko zdradzić, że do tego, by dostać od nas coś naprawdę ekstra, wystarczy kupić lipcowy i sierpniowy numer SLG.

***to nie ortografia, to JEŻografia...**

DJ 600V

Strzałeczka. Dziś poruszę temat kultury klubowej w obrębie polskiego hip-hopu. Trudno mówić na temat rzeczy, która praktycznie nie istnieje. Mimo to, nie zrażając się ową trudnością, brnę dalej...

Do wypowiedzenia się w tej sprawie skłoniła mnie wizyta w jednym z polskich miast, w którym miałem ostatnio okazję grać imprezę. Istnieje duży problem. Bez żartów. Dzieciaki nie umieją się bawić. Przeciętny odbiorca rap kultury w tym kraju został odzwyczajony od imprez klubowych innych, niż koncerty.

Niezrozumienie to podstawowa reakcja, z jaką spotkałem się proponując odbiorcom w tym mieście muzykę hip-hop i r'n'b z kręgu nie obejmującego kilkunastu polskich kapelek. To dobrze, że lubicie polski hip-hop, nawet bardzo dobrze, z drugiej strony jednak to dramatycznie, jeśli na polskim hip-hopie kończy się wasza znajomość hip-hopu w ogóle. Nie można mówić o znajomości gatunku, skupiając się jedynie na tym, co nasze.

Dlaczego? Proste. To tak samo jakbyście chcieli mówić o fascynacji motoryzacją, znając jedynie poloneza, tarpana, malucha, syrenę i lanosa. W rzeczywistości nie wiedzielibyście nic o lexusach, hummerach, mercach, be-emkach czy nawet hondzie civic. Znam paru taksówkarzy starej daty, dla których polonez wciąż jest synonimem zawodowej marki, ale czy na pewno chcecie mieć podobne do nich poglądy???

Nie oszukujmy się, polski hip-hop nie jest klejnotem w koronie światowej kultury hip-hop.

Miałem jednak mówić o kulturze klubowej. Jedno proste pytanie – czy sądzicie, że którekolwiek polskie rapowe zespoły nagrywają muzykę z założeniem, że ma to być muzyka do tańczenia?

Jeśli nawet, to bardzo nieliczne i w wyjątkowych przypadkach. Polski hip-hop to raczej muzyka przemyśleniowa, do słuchania, rozkminiania i dla refleksji, niż do zabawy na parkiecie. Warto to zrozumieć i uświadomić sobie, że jest tysiąc lepszych do zabawy w klubie numerów, niż kawałki W.W.O. czy Evenementu. Nie znaczy to, że chcę w jakikolwiek sposób deprecjonować te zespoły, bo uważam, że niewiele osób w tym kraju umie robić hip-hop lepiej. Chodzi mi o to, że nie można zachowywać się jak koń z klapkami na oczach, nie zastanawiając się nawet nad innym możliwościami, niż droga na wprost. Piosenki do zabawy to bardzo ważny element tej kultury. Przenoszenie na grunt hip-hopu niechęci do kawałków bardziej tanecznych jest potężnym merytorycznym błędem i świadczy o niewiedzy i nieznajomości istoty i historii hip-hopu. W Polsce pokutuje jeszcze pogląd, że muzyka, przy której można tańczyć, to disko polo albo dens. Niestety jednak, jest to przejaw naszego narodowego prymitywizmu i zaściankowości.

Sugarhill Gang, De La Soul, A Tribe Called Quest, Grandmaster Flash, cały skład Ruff Ryders, EPMD czy Beatnuts to tylko nieliczne zespoły, które nigdy nie wstydziły się robić kawałków do tańca. Jeśli kogoś nie przekonałem, trudno. Nie zapraszam w takim wypadku na moje imprezy, bo ja gram rap i r'n'b do zabawy.

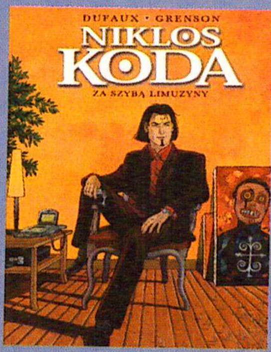
Przepraszam za opóźnienia w odpisywaniu na Wasze maile. Zabieram się do tego za kilka chwil. Mój adres: szescset@hotmail.com



MROCZNY RYCERZ KONTRATAKUJE 1

Frank Miller
wyd. Egmont

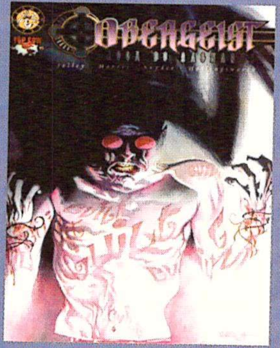
Mrocznej niczym noc nad Gotham City opowieści o Batmanie ciąg dalszy. W zakończeniu "Powrotu Mrocznego Rycerza" Nietoperz, pozorując swoją śmierć, zszedł do podziemia, by przygotować do walki armię swoich zastępców. Po kilku latach postanowił jednak jeszcze raz stanąć twarzą w twarz ze złem. Wraz z grupą wiernych (i podobnie jak on zapomnianych) przyjaciół podejmie próbą choćby częściowego zaprowadzenia porządku w upadającym świecie. Na pierwszy ogień pójdzie manipulowany przez rząd Superman, a to dopiero początek. Inteligentny scenariusz, świetne ilustracje i dynamiczna akcja. Słowem, znakomity album. Na pewno nie tak wspaniały jak jego poprzednik, ale to w sumie wielka rzecz, że możemy przeczytać polskie wydanie kolejnej perełki Franka Millera. Oby tak dalej. (jd)



NIKLOS KODA. ZA SZYBĄ LIMUZYNY

Dufaux – Grenson
wyd. Siedmioróg

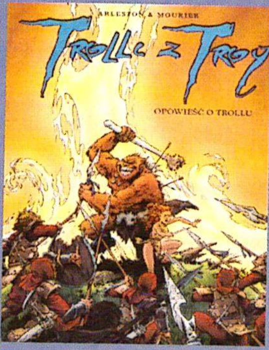
Wydawnictwo Siedmioróg przyzwyczaiło nas do bardzo ładnych wydań bardzo dobrych komiksów. Tym razem niestety tylko wydanie nie budzi żadnych wątpliwości. Sama opowieść, którą można w skrócie określić jako "voodoo w Paryżu", niestety nie należy do najbardziej udanych. Nie jest to co prawda żadna wpadka, ale historia wydaje się zbyt naciągana, trochę rozwlekła i pozbawiona interesujących bohaterów. Narysowana standardowo, schematycznie, nadaje się do przeczytania jednorazowego i szybkiego zapomnienia. Ale na półce wygląda bardzo ładnie, inni wydawcy powinni się uczyć. Jednocześnie ukazał się drugi tom serii, "Bóg szakali", będący zakończeniem opowieści. (jd)



OBERGEIST. DROGA DO RAGNAROK

Dan Jolley – Tony Harris
wyd. Mandragora

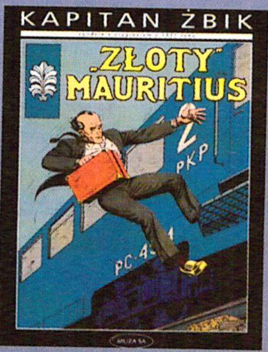
Nazistowski rzeźnik Jurgen Steinholz w imię potęgi III Rzeszy katował ludzi bezlitosnymi eksperymentami. Pomysłowością przebił zapewne swojego kumpla po fachu, niejakiego doktora Mengele. Dzięki nadnaturalnej mocy żydowskiego mistyka, Steinholz zobaczył i poczuł wszystko to, co czuły jego ofiary. I umarł. Przez setki lat leżał w zapomnianym grobie, słysząc głosy pomordowanych przez niego ludzi. Wreszcie odrodził się jako Obergeist, potężna istota, której zadaniem – i pokutą jednocześnie – będzie uratowanie świata przed zagładą, którą w odległej przyszłości wywołają amerykańscy neofaszyści. Bardzo dobry komiks, utrzymany (zwłaszcza ilustracje) nieco w klimatach komiksów Mike'a Mignoli. Sprawnie opowiedziana, odpowiednio przygnębiająca i niejednoznaczna historia z bardzo silnym akcentem antyfaszystowskim. Le Pen by się pewnie obraził. (jd)



TROLLE Z TROY. OPOWIEŚĆ O TROLLU

Arleston – Mourier
wyd. Egmont

Pierwszy tom nowej serii osadzonej w realiach świata Troy, znanego z cyklu komiksów o Lanfeuście. Tym razem głównym bohaterem jest troll Tetram i jego adoptowana, ludzka córka Waha. Niemal cały ich ród został wybity lub uprowadzony przez doborowych myśliwych, którzy raz na zawsze postanowili wyeliminować zagrożenie ze strony potworów. Wśród porwanych znaleźli się też żona i synek Tetrama. Troll w towarzystwie Wahy wyrusza więc na ratunek. Bardzo fajny, relaksujący album. Zabawny i nieco makabryczny (liczne potrawy i sprzęty domowe wykonane z ludzi), ładnie rozwija legendę Troy przedstawioną w komiksach o Lanfeuście. Przy okazji warto wspomnieć, że pojawił się także nowy album o przygodach Lanfeusta, "Odsiecz z Eckmul". (jd)



KAPITAN ŻBIK. ZŁOTY MAURITIUS

Władysław Krupka – Bogusław Polch
wyd. Muza

Legenda polskiej milicji wciąż żywa! Wydawnictwo Muza, ledwie skończyło reedycję przygód Kapitana Klossa, już wznawia całą serię komiksów o Janie Żbiku, superbohaterze MO. Niestety, nie zachowuje przy tym kolejności oryginalnych wydań i – co boli mnie najbardziej – nie zamieszcza opowiastek "Za ofiarność i odwagę", gdzie każdy wielbiciel "kolorowych zeszytów" mógł zapoznać się z niesłychaną postawą obywatelską służb mundurowych i zwyczajnych ludzi. Ale plusem jest bardzo eleganckie wydanie, nadające serii jednolitą szatę graficzną. No i przede wszystkim możliwość poznania początków twórczości Bogusława Polcha (jego albumy poszły na pierwszy ogień), a w przyszłości także Jerzego Wróblewskiego i Grzegorza Rosińskiego. To prawdziwy oldskul polskiego komiksu i z pewnością gratka dla kolekcjonerów. (jd)


WIĘCEJ ZABAWY!
WIĘCEJ MUZYKI
WIĘCEJ ZABAWY
WIĘCEJ EMOCJI
Level
WWW.VOLT.PL
Party
PARTY BEER
WWW.VOLT.PL
FOOTBALL BEER
WIĘCEJ MUZYKI!
Zbieraj czarne zawleczki z limitowanej serii puszek Volt. Każde 4 zawleczki to jedno zgłoszenie. Dla 5 osób, które przyślą największą ilość zgłoszeń 5 multimedialnych laptopów HP XE 3. Co tydzień dla 1000 pierwszych osób płyty CD z imprezowym mixem – wystarczy tylko jedno zgłoszenie. Swoje zgłoszenia wyślij na adres: Volt Promocja, skr. poczt. 35, 05-840 Brwinów k/W-wy. Pamiętaj o podaniu swoich danych. Promocja trwa do 26.07.2002 i przeznaczona jest dla osób pełnoletnich. Szczegółowy regulamin dostępny na www.volt.pl.
NOWA SERIA
Volt
NOWA ENERGIA

Diskopolo: „Brzmienie nieformalne"

Jak niewątpliwie zdążyliście zauważyć, jakość płyt z polskim rapem często niestety pozostawia wiele do życzenia. Zdarza się, że pomimo dobrego tekstu i ciekawego podkładu, ma się wrażenie, że nie jest to jakość, której oczekiwalibyśmy po oficjalnie wydanej i sprzedawanej płycie.

Kiedyś może mieliśmy wrażenie, że tak musi być, bo wszystkie polskie rapowe płyty brzmiały mniej więcej tak samo, jednak od niedawna zaczęły się od czasu do czasu pojawiać pozycje brzmieniowo bliższe lepiej finansowanym gatunkom produkowanej w Polsce muzyki.

Szczerze mówiąc, to, że rap z piwnic przeniesie się do wypchanych drogim sprzętem "laboratoriów" nagraniowych, wydawało mi się nieuniknione i zdrowe dla dalszego rozwoju tej muzyki – prawdę mówiąc nie przypuszczałbym nigdy, że w tej kwestii zdania są podzielone.

Nie ma wątpliwości, że nie tak dawno temu niektóre gatunki muzyczne polegały właśnie na tym, że brzmiały "garażowo", jednak nawet jeżeli słuchasz punk rocka to zauważysz, że wczesne płyty Sex Pistols brzmią dużo gorzej, niż późniejsze. Brzmi lepiej, słucha się lepiej, a przekaz jest tak samo "nieformalny", jak wtedy, gdy powstawał w garażach. Tę samą ewolucję przeszło zresztą kilka klasycznych zespołów reggae, które przeniosły się z Jamajki do Stanów Zjednoczonych, wiele drastycznych i szokujących zespołów trudniących się gatunkami muzycznymi, których nazwy kończą się na metal, nie wspominając już o muzyce jazzowej, która swego czasu była równie kontrowersyjna i "nieformalna", jak dziś hip-hop. Dj 600 V, człowiek, którego bardzo lubię i cenię, powiedział mi niedawno, że właściwie dobre w tej muzyce jest to, że nagrywać wokale można nawet w mieszkaniu na zestawie sprzętu wartego góra sześć tysięcy złotych, że właśnie to "nieformalne" (to jest właśnie słowo, którego użył), chropowate brzmienie nadaje tej muzyce jej właściwy, autentyczny charakter.

Nie mogę się z tym zgodzić, choć rozumiem, że z zapałem i bez finansowych ekscesów też można stworzyć coś bardzo wartościowego. Problem jest jednak szerszy, niż mogłoby się wydawać, bo właściwie dotyczy całego przyszłego kształtu tej muzyki, tego, w którym kierunku czy też raczej w jakich kierunkach pójdzie.

Mnie osobiście wydaje się, że jedyną prawdziwą charakterystyką muzyki rap czy nawet całej kultury hip-hopowej jest to, że potrafi się adaptować, zmieniać, wspinać na coraz wyższe pułapy i konkurować z innym gatunkami muzycznymi na ich własnym podwórku. Hip-hop powiedział swoje o jazzie, o soulu, o reggae, o popie, o rocku i o muzyce klasycznej. Nie mogę tym razem zgodzić się z Voltem, bo uważam, że przyjemność ze słuchania płyt największa jest wtedy, gdy coś na nich słychać. Świat idzie do przodu, pojawiają się nowe możliwości i właściwie nie widzę powodu, żeby nie mogło być "słychać" jeszcze więcej. Czy zyskując na jakości ta muzyka coś traci? Nie wiem, mam nadzieję, że sprowokuję Volta do polemiki na łamach przyszłego Ślizgu. Nie ma w tym żadnej złośliwości, po prostu jestem ciekawy. Zagadnienie to, jak już wspomniałem, ma nieco szerszy kontekst. Dotyczy kwestii czerpania wzorców, kooperowania z reprezentantami innych gatunków muzycznych, dotyczy również kwestii promocji, koncertów, właściwie wszystkiego, nie wykluczając spraw finansowych. Pytanie, które jednocześnie ciśnie się na usta, to na ile sami wykonawcy, mający już na koncie "nieformalne" dokonania, będą chcieli w tym błędnym kole pozostać.

W końcu trzeba też się zastanowić, na ile to wszystko może jeszcze ewoluować, wzbraniając się od wszystkich rzeczy, które wymieniłem powyżej. Tematy tabu powoli znikają, a wykonawcy pozwalają sobie na coraz więcej swobody (względem niepisanych, choć w pewnym sensie obowiązujących wewnątrz tej kultury zasad), wydaje mi się, że ewolucji zatrzymać jest nie sposób, zastanawiam się jednak, co straci ta kultura, gdy już stanie się pełnowartościowym członkiem przemysłu muzycznego. Jedyną rzeczą, która mi przychodzi na myśl, to atmosfera, klimat, w którym powstaje, ale prawdopodobnie na ich miejsce pojawi się coś nowego, może ciekawszego. Może ucierpi na tym młodzieńczy bunt, ale mam wrażenie, że znikną tylko jego najbardziej prostackie przejawy. Sam fakt zniknięcia bezinteresowności nie stanie się w moim odczuciu całkowicie negatywnym zjawiskiem, bo choć jednych zdeprawuje i zachęci do produkowanie pustej papki, to może innych zachęci do tego, by stali się profesjonalistami w pełnym tego słowa znaczeniu.

Uważam także, że poświęcenie niektórych aspektów wspomnianego "klimatu" jest ceną, którą musimy zapłacić za dalsze istnienie, za to, by początek i koniec nie odbywał się na tym samym podwórku. Jest to cena stosunkowo niewielka, zważywszy na fakt, że i tak zawsze będzie wiadomo, kto robi to z sercem – zwłaszcza jeżeli będzie to wyraźnie słychać...

Franek

Hajer Lernin'

Tym razem trochę literatury, co prawda ciężkiej do zdobycia i nie tłumaczonej na polski, ale na pewno istotnej dla historii czarnych społeczności w Ameryce – w następnym numerze za to będzie trochę sportu.



ELDRIGE CLEAVER 1935-1998

Eldrige Cleaver był aktywistą i członkiem partii Czarnych Panter praktycznie od samego początku. Uosabiał jednak nie tylko czysto szowinistyczne podejście silnych i zdecydowanych afroamerykańskich radykałów, ale również całą gamę ich najbardziej ludzkich cech, wad i charakterystyk.

Lubił pieniądze, pragnął białych kobiet, dopuszczał się wykroczeń i w rezultacie trafił do zakładu penitencjarnego. Tam oddał się lekturze i rozważaniom na temat kondycji czarnego człowieka we współczesnej Ameryce.

W roku 1968, w wieku 33 lat, napisał swoje dzieło "Soul on Ice", które stało się biblią myślącego czarnego człowieka, świadomego swoich atutów i swoich słabości. "Soul on Ice" to niemalże kartezjańskie rozważania nad dobrą i złą stoną ludzkiej natury, nad tym, jakie wewnętrzne boje trzeba stoczyć, by móc wytrwać na obranej ścieżce i o tym, jak czasami ulega się naturalnym ludzkim słabościom. W swojej twórczości Cleaver był bardzo szczery i brutalny w stosunku do samego siebie, odsłaniał swoje mankamenty i zwierzał się nawet z najbardziej niewłaściwych myśli. "Soul on Ice" to jedna z tych pozycji, do których znajdziecie najwięcej odniesień w muzyce rapowej, bo mówi ona o wszystkich problemach, z którymi oni dzisiaj się borykają, odzwierciedlenie wątpliwości i lęków odnajdując bezpośrednio w więziennych rozważaniach Eldridge'a Cleavera. Ras Kass napisał w jednym ze swoich utworów: "Civil rights will not suffice... In the name of Jesus Christ, They got my Soul on Ice".

Ciekawym polecam wciąż ukazujące się reedycje książki, mimo że nie doczekała się i pewnie nigdy nie doczeka polskiego tłumaczenia.



FRANZ FANON (1925-1961)

Franz Fanon urodził się na Martynice, miał siedmioro rodzeństwa, ale pochodził ze stosunkowo zamożnej wyższej klasy średniej. Po ukończeniu studiów medycznych oraz fakultetu z psychiatrii we Francji, przeprowadził się do Algierii, by pracować w swoim zawodzie. Gdy jednak pojawił się na miejscu, był wstrząśnięty tym, jak francuscy żołnierze traktują Algierczyków. Fanon przyłączył się więc do ruchu oporu i stanął po stronie Algierczyków w walce przeciwko francuskim kolonizatorom.

Zmarł w 1961 roku, kilka dni po ukończeniu swojego antykolonizacyjnego arcydzieła, książki "The Wretched of The World", która została okrzyknięta "głosem trzeciego świata". Teorie polityczne Fanona jeszcze za życia doceniała partia Czarnych Panter, która uznała go za swego "świętego patrona". Mówił o problemach, które w dużym stopniu dotyczyły także problemów Czarnej Ameryki i podobnie jak amerykańscy działacze nawoływał do zbrojnych powstań.



JAMES BALDWIN (1924- 1987)

Urodzony w Harlemie James Baldwin był najstarszym synem kaznodziei i pracownicy fabryki. Większość swego wykształcenia zawdzięczał sam sobie, postrzegany był jednak jako poeta, który tworzył młodą literacką elitę, której potrzebę bardzo odczuwała czarna społeczność Ameryki.

James Baldwin był homoseksualitą, poprzez swoją twórczość nawoływał do tolerancji, do wykształcenia, do rozumienia innych, twierdził, że tylko w ten sposób można poprawić sytuację, która, jak mówił: "Każdego dnia jest w naszych rękach i tylko od nas zależy, co z tym zrobimy". Zmarł w Harlemie w Nowym Jorku w wieku 64 lat.

FAKA DE STARNEWOJNY

czyli Kowalski się wzrusza i sobie tłumaczy pewne kwestie...
skoro miesiąc temu zapowiadałem, że ujawnię gotowy już felietonik, który nie poszedł miesiąc temu, bo nagle złapałem inny temat, to możecie być pewni, że... nic z tego. nic nie ujawnię, bo znowu pojawił mi się nowy, gorący temacik. Gwiezdne Wojny widziałem, Epizod Drugi.
widziałem już dwa razy, właśnie mam zamiar przejść się raz trzeci. niektórzy tak mają, świat Lucasa tak bardzo zapadł im w głowy, że... ja zresztą nie powinienem o tym pisać, gdyż jestem fanatykiem małego formatu. niektórzy przez tydzień z kina nie wychodzili...
dawno, dawno temu, w odległych czasach mojego małolactwa... pamiętam to jak dziś - chyba pierwszy raz poszedłem z ojcem do kina. może zresztą i nie pierwszy raz, ale to popołudnie zapadło mi w głowę na całe życie. oczy miałem otwarte tak szeroko, że po wyjściu z kina bolały mnie jeszcze dwa dni. nie zwracałem na to szczególnej uwagi, bo wszystkim musiałem opowiedzieć o tym, co działo się podczas mojej podróży do świata Gwiezdnych Wojen. nie wiedziałem wtedy jeszcze, co to jest science-fiction, bladego pojęcia nie miałem, że gatunek ten istnieje i się rozwija. paradoksalnie, choć wyciągałem rodziców do kina jeszcze kilka razy, kilka razy byłem też z kolegami na Epizodzie Czwartym (ach, ta nowa nomenklatura), a potem nawet zacząłem się zagłębiać w kultowe pismo Fantastyka, fanem gatunku się nie stałem i większość oglądanych pozycji lubiłem sobie skomentować śmiesznym słowem. nie zakochałem się w Lemie, Philip K. Dick wydawał mi się średnio strawny, może i lubiłem Umińskiego czy Verne'a, ale to przecież były bajki, a nie science-fiction. jednak Gwiezdne Wojny zawsze wzbudzały we mnie pozytywne emocje - tak było lat temu 20, 15, 10, tak jest teraz. fanatyk małego formatu, ale fanatyk.
jaki jest w mojej opinii Epizod Drugi? dynamiczny i błyskotliwy. momentami zbyt dynamiczny i błyskotliwy, a w innych jeszcze momentach za mało dynamiczny i błyskotliwy. to dziwnie skonstruowany film, którego najsłabszą stroną jest chyba to, że musi pokazać aż tyle wątków. cóż, jak się robi najpierw środek dziewięcioksięgu, to potem trzeba się ratować... pisząc jednak, że Atak Klonów skonstruowany jest dziwnie, muszę napisać również, że George Lucas kolejny raz wybrnął z kabały obłędną ręką. pamiętam, że po pierwszej projekcji Epizodu Pierwszego byłem rozczarowany, ale dziś przynajmniej raz na miesiąc muszę ten film obejrzeć. teraz po pierwszym razie byłem zachwycony wszystkim, poza wątkiem miłosnym i zbyt amerykańskim pościgiem po zbyt cyberpunkowym mieście. po drugim razie zastanowiłem się i doszedłem do wniosku, że nie mogę wymagać, by Gwiezdne Wojny wciąż były takie same.
o co chodzi z tym "takie same"? najpoważniejszym zarzutem wysuwanym wobec Star Wars jest to, że nowe epizody nie dorastają do pięt serii z przełomu lat 70. i 80. cóż, na pewno są inne, na pewno klimat starych filmów był bogatszy. tu pojawia się mały paradoks, bo klimat był bogatszy, gdyż możliwości były uboższe. ja też jestem zwolennikiem starej serii, z Imperium Kontratakuje jako apogeum starwarsowej zajawki, ale znajduję też w sercu miejsce na nowe odcinki, dodatkowo oceniając je bardzo wysoko.
musimy pamiętać o jednym - zmienia się kino, zmienia się publiczność. gdyby dziś Lucas nakręcił film korzystając ze starych technologii, nikt by raczej nie sapał z zachwytu, tylko podejrzewał uznaną postać Hollywood o chęć flirtu z kinową alternatywą. a o tym Lucas nie myślał na pewno, za stary jest, a i za bardzo hollywoodzkie ma korzenie. gdyby starał się powielić historie, na siłę włączał do story postacie ze starych odcinków (co choćby ze względu na zobowiązującą chronologię byłoby niemożliwe), zarzucono by mu regres, chęć zbicia kapitału na odgrzewaniu. Lucas musiał pójść do przodu. i poszedł, choć przecież historia się cofa. kolejny paradoks.
napisałem, że zmienia się kinowa publiczność. faktycznie, zmienia się, patrząc na obowiązujące dziś hity, na niekorzyść. badziewie typu Titanic czy Pearl Harbor wyznacza obowiązujące trendy, którym oczywiście nie należy się poddawać. i czego by nie mówili przeciwnicy Lucasa, nie poddał się on tym "wymaganiom". o tym, że w Epizodzie Drugim będzie wątek miłosny, wiedzieliśmy od dawna - Lea i Luke skądś się w końcu musieli wziąć, prawda? mnie też tarzanie się po trawie oraz łzawe i mdłe teksty Anakina i jego wybranki nie przypadły do gustu, ale czy ten romans fajny byłby wtedy, gdyby padawan Obi-Wana smagał Amidalę laserowym mieczem po tyłku? romans jest romans - nikt z was nigdy nie romansował, co? i jak było? pamiętacie?



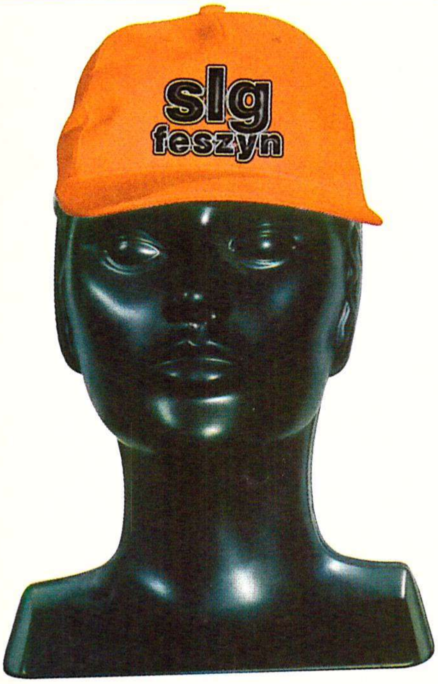
pościg po cyberpunkowym miasteczku też jest strasznie hajtekowy, ale tu też musimy zwrócić uwagę na jedną rzecz. uniwersum Lucasa to miejsce, gdzie spotkasz rycerzy ubranych w stroje inspirowane naszym średniowieczem, ale nie ulega kwestii fakt, że w końcu ci rycerze potrafią się nawzajem pozabijać za pomocą laserowych mieczy. a takiego ustrojstwa nie ma nawet w naszym XXI wieku. tak więc i pierwsze odcinki Gwiezdnych były maksymalnie hajtekowe, że wspomnę tylko o podróżach w nadprzestrzeni, nowej dłoni Luke'a czy... Darthcie Vaderze, który bez kasku zawinąłby się w moment do umiejscowionego gdzieś ponad światem Lucasa raju. albo raczej piekła. nadal razi mnie wspominany pościg, ale już trochę mniej. sam sobie coś wyjaśniłem, pięknie...
jestem więc pod wrażeniem, o czym uprzejmie informuję. obejrzę Epizod Drugi jeszcze na pewno kilka razy, rozkoszując się walką w koloseum czy niesamowitymi możliwościami Yody, którego w życiu nie podejrzewałbym o taką szermierkę. i wiecie co? i tak wepchnie mnie w fotel podczas tego całego cyberpościgu, jak i ucieszy mi się ryj, gdy Anakin będzie wyglądał, jakby Amidala zamiast buziaka, miała mu dać w ucho. bo to są Gwiezdne Wojny - nabardziej fantastyczny cykl filmowy, jaki kiedykolwiek powstał.
niech moc będzie z nami...

KOWALSKI

Meeting of Styles

Meeting of Styles to spotkanie artystów reprezentujących najwyższy poziom tworzonych przez nich dzieł. Obszar ich działania to kultura hip-hop: rap, graffiti i break dance. Koncepcja wywodzi się z niemieckiego "Wall Street Meeting", czyli spotkania wszystkich elementów hip-hopu w jednym czasie, miejscu i pod przewodnim hasłem: "Szacunek dla myśli i twórczości każdego artysty". Spotkania takie są bezpłatne dla odwiedzających, a zaproszone gwiazdy nie pobierają honorariów.
Wall Street Meeting rozpoczęło swoją działalność w niemieckim mieście Wiesbaden w 1997 roku. To właśnie wtedy stowarzyszenie młodych artystów "Verein für ein freies und selbstverwaltetes Kultur- und Kommunikationszentrum" odkryło w Wiesbaden opuszczoną fabrykę, o której dzierżawę wystąpiło do władz miasta. Stowarzyszenie otrzymało zgodę na bezpłatną dzierżawę miejsca do roku 2013. Od tej chwili "Schlachthof" stał się centrum kultury młodych, gdzie rozpoczęto promocję sztuki i dano możliwość ekspresji myśli, otaczając młodych twórców opiekuńczym skrzydłem.
W połowie lat 90. członkowie stowarzyszenia postanowili stworzyć plenerową i bezpłatną imprezę dla reprezentantów kultury hip-hop, pod nazwą "WALL STREET MEETING". Podczas dwóch dni trwającego spotkania w centrum "Schlachthof" w Wiesbaden spotykali się najwybitniejsi przedstawiciele wszystkich elementów. Od tamtej pory jest to największa europejska impreza rap-graffiti- break dance, zrzeszająca kulturę hip-hop w najlepszym wydaniu, ukazując jej najlepsze atuty - solidarność młodych ludzi i promocję ich talentów.
Meeting Of Styles działa też na zasadzie europejskiego touru. Tegoroczna trasa prezentuje się następująco: Wiesbaden (19-20 kwietnia), Zagrzeb (17-18 maja), Paryż (10-16 czerwca), Kopenhaga (06-07 lipca), Łódź (20-21 lipca), Drogheda (02-03 sierpnia), Amsterdam (23-24 sierpnia) i Berlin (20-21 września).
Polska edycja odbędzie się w pomiędzy 20 a 21 lipca w Łodzi, przy ul. Zgierskiej 104 (dawna siedziba ŁZG "Chemiskór"). Organizatorzy przewidują, że do Łodzi przyjedzie około 5.000 - 7.000 osób, w tym duża liczba z Europy Zachodniej oraz gości z dawnego bloku wschodniego.
A oto program imprezy: 20 lipca 2002: graffiti, pokazy break dance, występy artystów sceny hip-hop, uroczyste otwarcie wystawy fotograficznej towarzyszącej wydarzeniu, pokazujące dotychczasowe edycje Wall Street Meeting i Meeting of Styles w Europie. 21 lipca 2002: graffiti, pokazy break dance, występy artystów międzynarodowej sceny hip-hop.
Więcej o idei tego przedsięwzięcia znajdziecie pod netowym adresem: www.wallstreetmeeting.de.

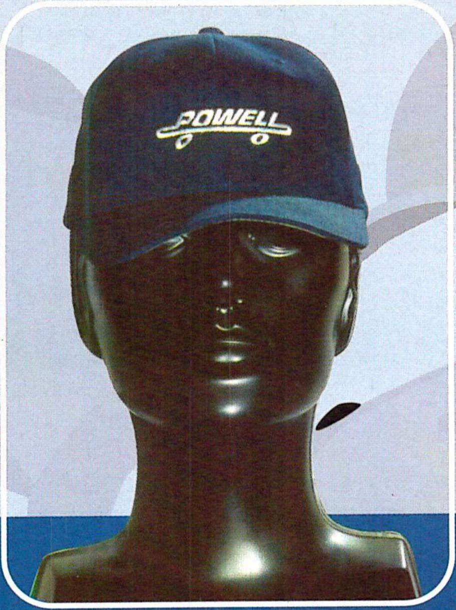




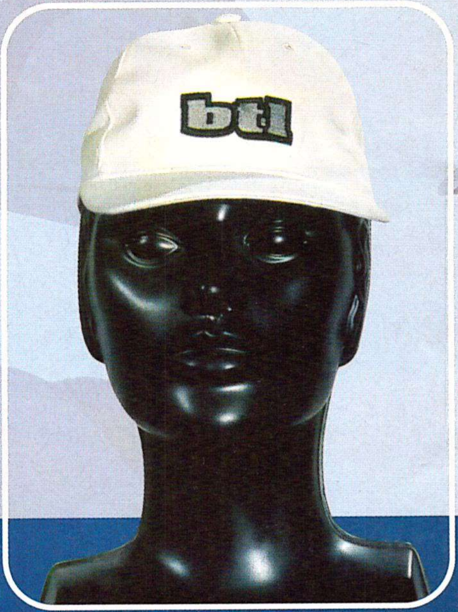
Już prawie lato. Temperatura rośnie. Słonko cieszy, opala i grzeje. I tu uwaga! To niezdrowo, jak ci za bardzo przygrzeje w banieczkę. Chrońcie swoją głowę, moi drodzy, może wam się jeszcze przydać.

W SLG Feszyn przedstawiamy mały przekrój przez letnie, sportowe, kolorowe i modne nakrycia głowy. Prezentujemy czapeczki tak zwane bejsbolowe. Z tyłu zapięcie regulujące wielkość, zastosowane przewiewne, nowoczesne materiały, daszek chroniący oczy przed słońcem, kolorowe logo znanych firm. Nie tylko zdrowo, ale też i wyjściowo, jak widać.

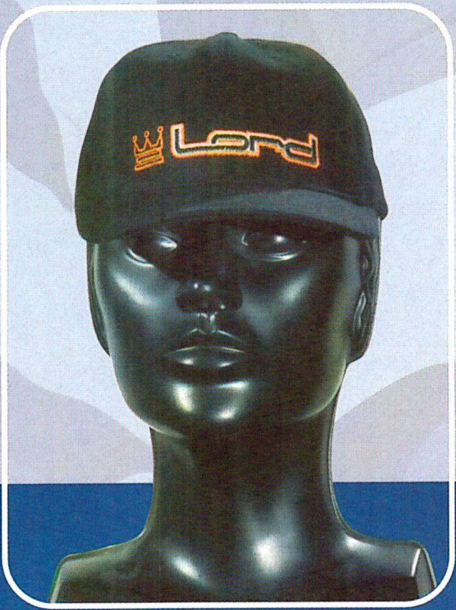
Podziękowania dla sklepów Street Style i Metropolis.



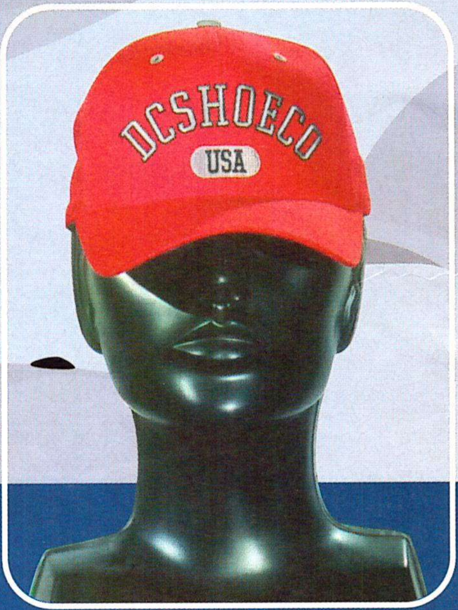
POWELL



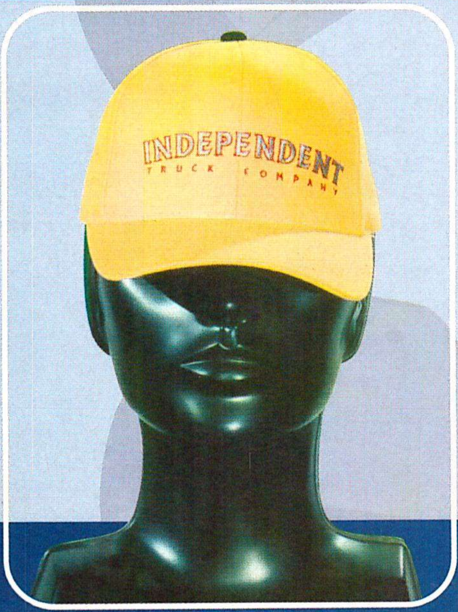
BOTTLE



LORD



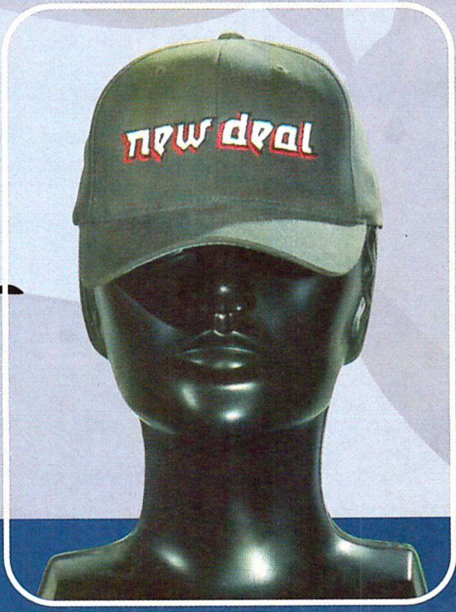
DC SHOE CO.



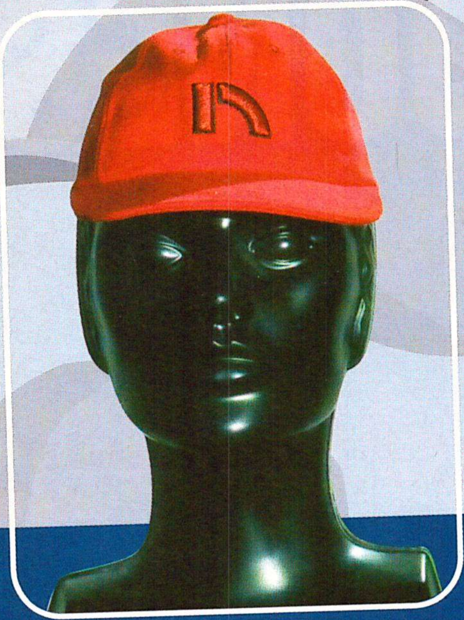
INDEPENDENT



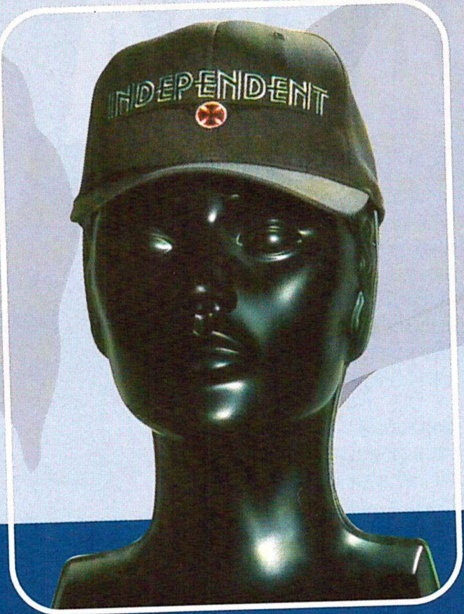
DC SHOE CO.



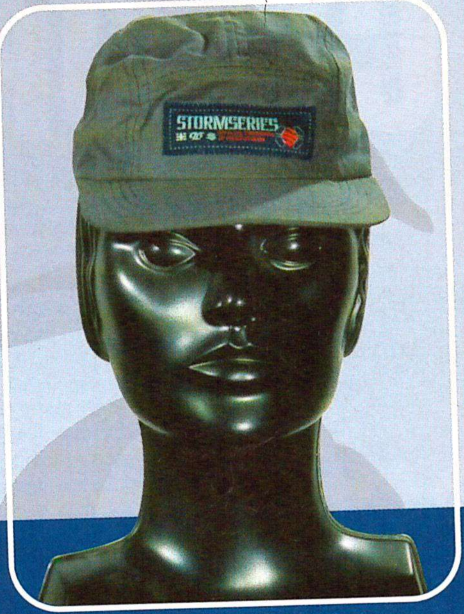
NEW DEAL



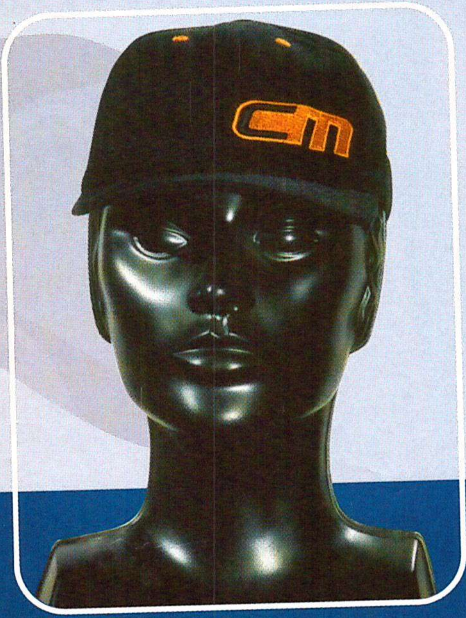
NASTY SPORTS



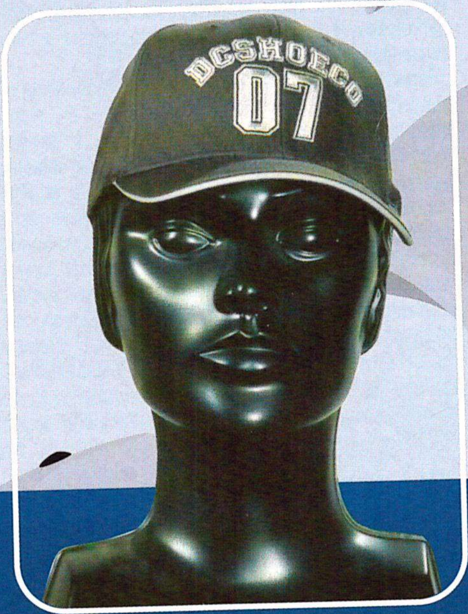
INDEPENDENT



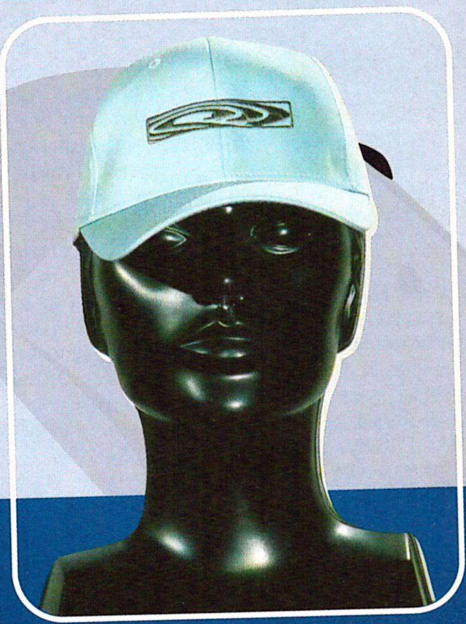
STORM SERIES



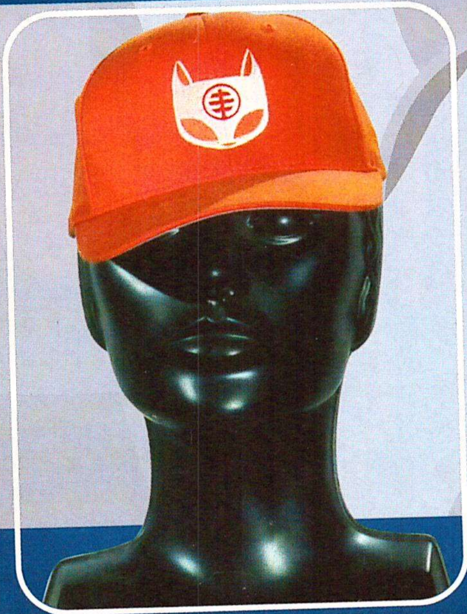
CLINIC MFC



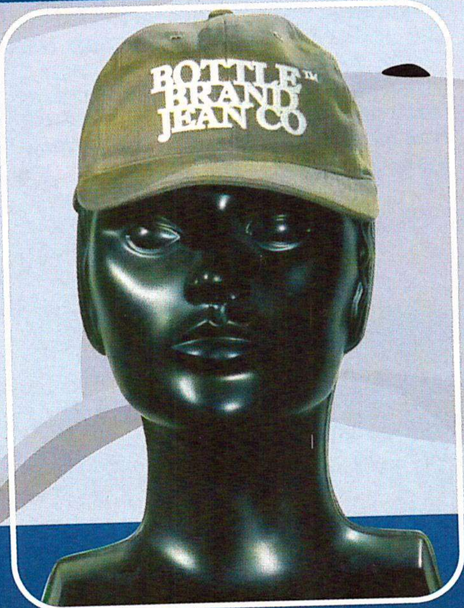
DC SHOE CO.



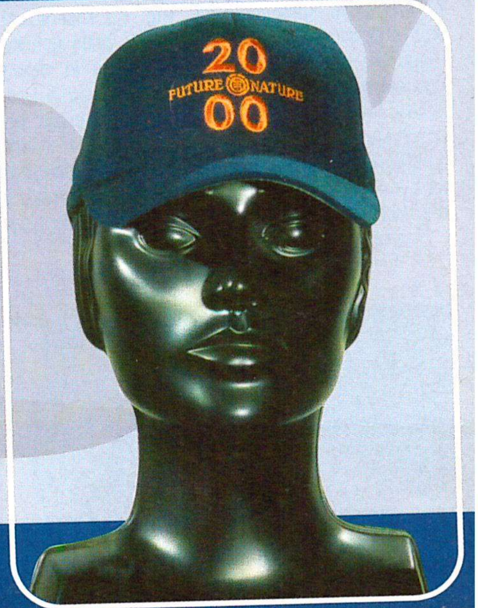
POWELL



ALIEN WORKSHOP



BOTTLE



ELEMENT

CLEOPATRA JONES

Na początku lat 70. filmy z nurtu blaxploitation (czyli kina robionego przez i dla Czarnych) cieszyły się niesłychaną wręcz popularnością, podobnie jak kreowane przez nie postaci. Co prawda żadna z nich nie spotkała się z takim przyjęciem jak opisywany w poprzednim numerze Shaft, większość jednak zyskała miano kultowych. Wśród nich pojawili się bohaterowie tacy jak Slaughter i Black Belt Jones, shaftopodobni, nieugięci kopacze białych dup czy kompletny hardcore'owiec Priest (bohater filmu Super Fly), kokainowy dealer, który wprost z ekranów kin pokazywał młodym Murzynom jak zarobić kupę hajsu na sprzedaży narkotyków. We wspomnianych filmach kobiety owszem, pojawiały się, ale były traktowane, delikatnie mówiąc, instrumentalnie. Aby więc napędzić do kin nieco żeńskiej widowni, postanowiono stworzyć kobiecy odpowiednik Shafta i Jamesa Bonda jednocześnie. I tak narodziła się Cleopatra Jones, agentka do spraw specjalnych, zatrudniana przez amerykański rząd.

Pierwsza część filmu, zatytułowana po prostu "Cleopatra Jones" pojawiła się w 1973 roku. Wyreżyserował ją Jack Starrett, twórca wspomnianego "Slaughtera", a także kilku trzeciorzędnych filmów i seriali telewizyjnych. W rolę agentki wcieliła się cudowna Tamara Dobson, określana jako "6 stóp i 2 cale gorącej czekolady". Innych komentarzy chyba nie potrzeba.

W pierwszej scenie filmu Cleo uczestniczy w niszczeniu olbrzymiego pola makowego gdzieś w Turcji. Naraziła się tym niestety właścicielce owego pola, białej lesbijce i magnatce narkotykowej, zwanej pieszczotliwie Mamuśką (koszmarna rola Shelley Winters). Mamuśka, otoczona wianuszkiem swoich ponętnych kochanek, nie ma zamiaru darować Pannie Jones takiej zniewagi i utraty dużej gotówki. Cleo jednak poradzi sobie jednak z wrogami, przy okazji załatwiając kilka osobistych problemów.

Komercyjny (bo o artystycznym raczej trudno mówić) sukces filmu przyczynił się do powstania drugiej części przygód ślicznej agentki. "Cleopatra Jones and the Casino of Gold" w reżyserii Charlesa Baila trafił do kin w 1975. Tym razem akcja przenosi się do Hong Kongu (źródła niezliczonych filmów kopanych), dokąd udali się dwaj koledzy Cleo. Mieli skontaktować się z chińskim dealerem kokainowym, który zdecydował się wystawić swojego największego konkurenta Mr. Big. Ku zaskoczeniu wszystkich Mr. Big okazał się kobietą, białą lesbijką i magnatką narkotykową (czy też macie to dziwne uczucie dejavu?), znaną również jako Dragon Lady. Zabiła ona zdradzieckiego dealera i pojmała obu amerykańskich agentów, więżąc ich w swoim luksusowym kasynie – burdelu, w otoczeniu azjatyckich niewolnic, które żeby było zabawniej, są nie tylko kochankami Dragon Lady, ale i jej adoptowanymi córkami. Zaiste, wyobraźnia scenarzystów nie ma żadnych ograniczeń. Jednak cała ta pokręcona opowieść jest tylko pretekstem do pokazania kilku dynamicznych walk, barwnych strojów i zawsze pięknej Cleopatry Jones. Wyjątkowo schematyczny scenariusz, powielający pomysły z pierwszej części spowodował, że trzeciego filmu o uroczej agentce już nie było.

Oba filmy o Cleo, choć wypłynęły na fali popularności blaxploitation, to jednak pozostawały poza głównym nurtem. Czerpały więcej elementów z filmów szpiegowskich, zwłaszcza z nieśmiertelnego cyklu o Jamesie Bondzie. Podobnie jak agent 007 panna Jones budzi respekt samym nazwiskiem, nie potrzebuje ukrywać swojej tożsamości, by infiltrować środowiska przestępcze. Ubiera się z klasą, jeździ drogim samochodem, nafaszerowanym bronią i innymi niespodziankami. Jest wysportowana (zna karate i chyba dlatego wysłano ją z misją do Hong Kongu), budzi pożądanie mężczyzn, za bardzo się zresztą do nich nie przywiązując. Nienawidzi narkotyków i całego przestępczego świata z nimi związanego.

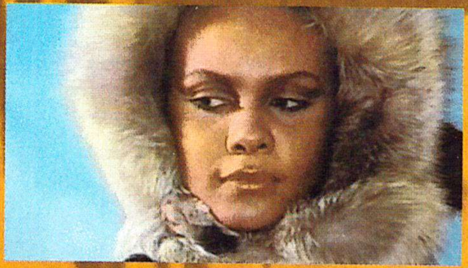
Ponadto filmy o Cleo stały się jakby odpowiedzią na zarzuty krytyki, stawiane filmom z nurtu blaxploitation. Oskarżenia o seksizm i zbędną gloryfikację narkotyków i przemocy odparto właśnie postacią Cleopatry Jones. Silna, niezależna kobieta uspokoiła feministki. Walcząc ze wszystkich sił z narkotykowym biznesem uciszyła ówczesny amerykański odpowiednik Monaru. Nawet wszechobecna w murzyńskim kinie przemoc została tu złagodzona, doprowadzona do efektownych, ale komiksowych potyczek. Cleo była więc niejako reprezentantem tej łagodniejszej strony blaxploitation. Ale patrząc z perspektywy czasu nie wyszło jej to na dobre. Dziś, w epoce kina zdominowanego przez epigonów Scorsese i Tarantino, okazało się, że szansę na drugą młodość mają filmy takie jak Shaft, czy choćby wspomniany już kontrowersyjny Super Fly. Filmy, które pod brutalną i cyniczną powłoką skrywają jakieś dodatkowe emocje, związane choćby z przetworzeniem znanych motywów na swój sposób.

Co więc zostało nam po Cleopatrze Jones? Niezła muzyka, kolorowe obrazki z lat 70. i oczywiście cudowna Tamara Dobson. Tym, którzy chcą poznać blaxploitation z różnych stron oczywiście oba filmy o Cleo polecam. Niezdecydowanym zostaje czekać. Remake zbliża się bowiem dużymi krokami, zaś internet huczy od plotek, która aktorka miałaby się teraz wcielić w postać agentki. Osobiście stawiam na Halle Berry, tegoroczną laureatkę Oscara. Wizualnie pasuje do postaci Cleo jak żadna inna.

Kuba Demiańczuk







GWIEZDNE WOJNY W KOMIKSIE

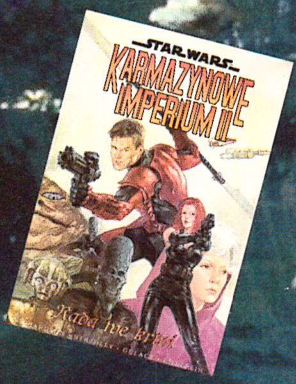
Ciekawe, czy George Lucas kręcąc 25 lat temu "Gwiezdne Wojny" podejrzewał, że właśnie tworzy największe uniwersum w historii. Dawno, dawno temu w odległej galaktyce narodził się kult, którego rozmiarów nie ogarnąłby swoim potężnym umysłem sam Yoda. Od ćwierć wieku sprytnie podsycany prze speców od marketingu i samego Lucasa, fenomen "Gwiezdnych Wojen" wciąga coraz to nowe rzesze fanów, wiernych do tego stopnia, że w Wielkiej Brytanii kilka tysięcy ludzi jako wyznawaną religię deklaruje "Jedi".

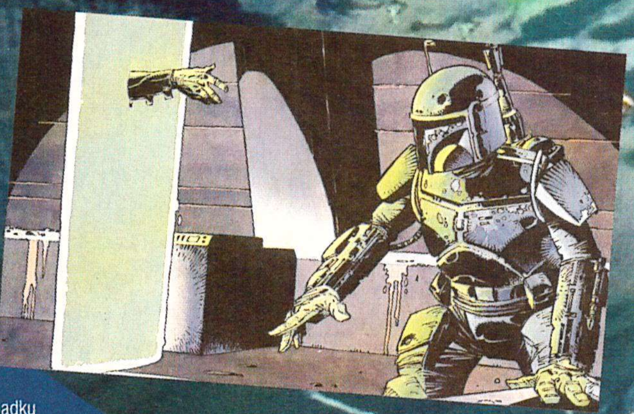
Jako oddany, ale nie fanatycznie, wielbiciel potrafię (tak mi się przynajmniej wydaje) spojrzeć z dystansem na wszelkiego rodzaju gadżety

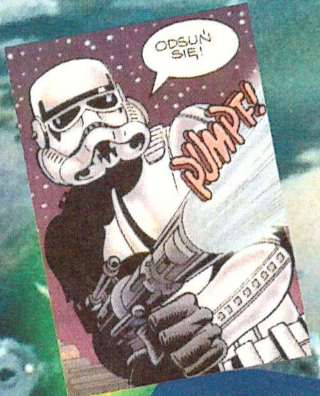
związane ze Star Wars. I przede wszystkim podziwiam wyjątkową spójność wszystkich medialnych przedstawień tego świata. Inaczej niż w przypadku choćby Batmana, każdy komiks, książka, album, przewodniki, gry karciane i RPG z uniwersum Gwiezdnych Wojen sukcesywnie rozwijają wątki zawarte w podstawie, czyli filmach Lucasa. Zajmijmy się więc pokrótce opowieściami obrazkowymi, których ukazało się (niestety nie u nas) kilkaset, licząc kilkustronicowe nowelki i dłuższe albumy.

Pierwszy komiks – adaptacja pierwszego filmu – ukazał się jeszcze przed premierą kinową w 1977 roku. Wówczas prawa do wydawania serii miał Marvel, zaś Lucas nie kontrolował jeszcze w pełni wszystkiego, co działo się wokół Star Wars. Zdarzały się wtedy często niewybaczalne kiksy, jak np. Anakin Skywalker walczący u boku Vadera (choć przecież to jedna i ta sama osoba). Poza tym przełom lat 70. i 80. to w amerykańskim komiksie masowym jeszcze epoka oldskula i kolorowe trykoty niektórych bohaterów teraz mogą budzić uśmiech. Marvel w każdym razie rozbudowywał komiksowe imperium, wydając co miesiąc nowy zeszyt (łącznie wydano ich wówczas 107), do tego adaptacje kolejnych części filmu, wydania specjalne, a nawet gazetowe stripy, drukowane w licznych amerykańskich tytułach. Marvel wydawał komiksowe Star Wars przez blisko 10 lat, aż wreszcie w 1986 roku, gdy gorączka mocno spadła, serię zamknięto.

Po pięciu latach edycję Star Wars wznowiło wydawnictwo Dark Horse, które wyspecjalizowało się w komiksowych wersjach popularnych filmów (mają w rozkładzie takie serie, jak Predator, Alien, Terminator i Robocop). Tym razem sztab speców od Lucasa zadbał o "kompatybilność" filmów, komiksów, książek i innych produktów. Pierwszą mini serią wydaną przez Dark Horse było "Mroczne Imperium" (ukazało się również w Polsce), znakomita opowieść o dalszych dziejach głównych







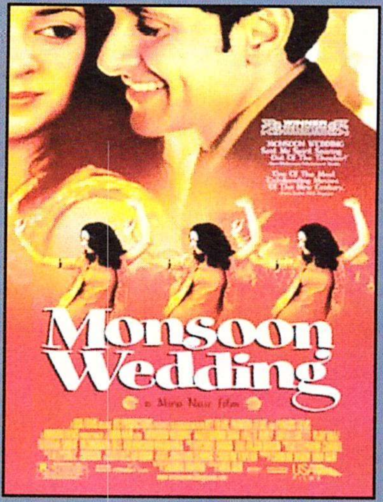
bohaterów gwiezdnej trylogii. Ale nie tylko Han Solo i Luke Skywalker byli bohaterami albumów wydawanych prze Dark Horse. Swoich własnych komiksów doczekały się postacie drugo- i trzecioplanowe, takie jak Wedge Antilles (jeden z rebelianckich pilotów), Lando Carlissian (przyjaciel Hana Solo) czy wreszcie Boba Fett. Zadziwiająca jest zresztą popularność tej postaci. Pojawił się w kilku zaledwie scenach w trylogii filmowej, by stać się jednym z najbardziej wielbionych bohaterów Star Wars. Liczne komiksy (pociągnęły za sobą nawet osobną serię poświęconą łowcom nagród Star Wars: Bounty Hunters) i książki sprawiły, że Lucas wykonał głęboki ukłon w stronę fanów i w filmie "Atak Klonów" poznamy prawdziwą historię Fetta.

Dark Horse wydaje ponadto komiksowe adaptacje powieści ze świata Gwiezdnych Wojen, komiksy "historyczne", opowiadające o zamierzchłej przeszłości (np. cykl Opowieści Jedi rozgrywa się około 5000 lat przed wydarzeniami, które Lucas pokazał w swoich filmach). Trzeba przyznać, że nie wszystkie stoją na wysokim poziomie, część – zwłaszcza adaptacje filmów – to proste odcinanie kuponów od popularności cyklu. Jednak znajdziemy wśród tych albumów takie, które są warte uwagi nie tylko fanów Star Wars, ale również wielbicieli komiksu jako sztuki. Zacznijmy od tych, które były wydane w Polsce. Przede wszystkim wspomniane już "Mroczne Imperium" i jego kontynuacja, rzeczywiście mroczne i wspomagane charakterystyczną kreską Cama Kennedy'ego. Jako numer dwa wystąpi "Karmazynowe Imperium" (oczywiście wraz z kontynuacją), niedawno wydane przez Egmont. Album rozwija legendę Straży Imperialnej (ich purpurowe mundury widzieliśmy choćby w "Powrocie Jedi"), a przy okazji jest bardzo dobrym komiksem sf. Oprócz tego sporo dobrych historii ukazało się w wydawanym kiedyś (także przez Egmont) magazynie "Gwiezdne Wojny – Komiks". Do moich faworytów należy parodystyczna opowiastka "Skippy – Robot Jedi". Sporo dobrych (lub istotnych dla rozwoju akcji w Galaktyce) komiksów czeka jeszcze na polską edycję, jak choćby niektóre epizody serii X-Wing, czy Bounty Hunters. W tej chwili na polskim rynku wciąż ukazują się album z Egmontu, a kolejne komiksy będzie te publikować Amber, od dawn współpracujący z firmą Lucasa w zakres wydawania książek i albumów Star Wars. Na pierwszy ogie idą komiksy związane z bohaterami "Ataku klonów" (międz innymi przygody Jango Fetta, ojca Boby, także łowc nagród). Co będzie później, to zależy oczywiście od wyników sprzedaży. Premiera "Ataku Klonów" spowoduje zapewn nagły wzrost zainteresowania Gwiezdnymi Wojnami, jes więc szansa, że na fali popularności wypłynie też kilk dobrych komiksów.

Kuba Demiańczu

P.S. Nieocenioną pomocą w pisaniu tego tekstu był artyk Maćka Drewnowskiego zamieszczony w magazyn "Gwiezdne Wojny" (5/99). Wydawców gwiezdnowojenny komiksów namawiam do dalszej walki z siłami zła. Niec Moc będzie z Wami.

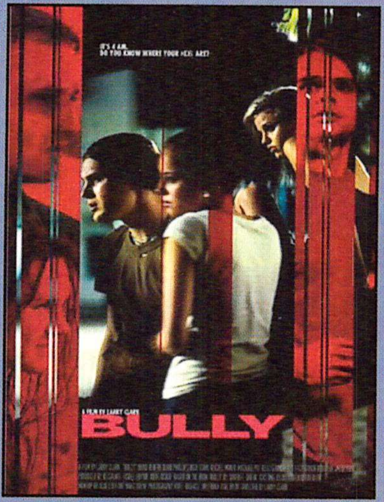
BIZAAR - BAZAAR



MONSUNOWE WESELE
Reż. Mira Nair

Do kina marsz!

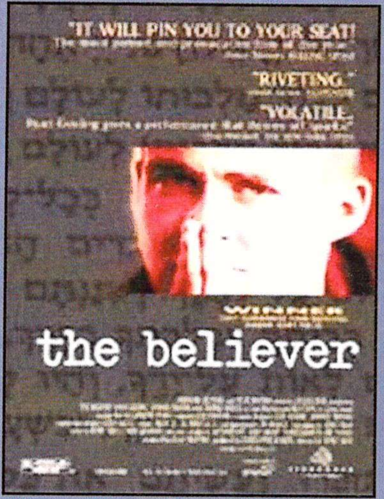
Film jest tak piękny i wizualnie powalający na kolana, że nawet nie muszę pisać o rewelacyjnej muzyce przelewającej się cały czas z głośników, bo już wystarczy mi atrakcji. Historia o przygotowaniach do wesela najstarszej córki indyjskiego przedsiębiorcy jest tylko pretekstem do ukazania piękna tej kultury i jej różnorodnych aspektów.
Przede wszystkim jest to film o miłości, którą można znaleźć niespodziewanie, o miłości, której nie można się wyrzec i o ludziach, którzy cierpią z jej powodu.
Przez film przewija się mnóstwo bohaterów: troskliwy, lecz nerwowy ojciec, zblazowany student, który właśnie wrócił z Australii, syn, który wbrew woli rodziców chce zostać kucharzem zamiast przejąć rodzinny interes oraz mój ulubiony przedsiębiorca weselny, w chwilach szczęścia zajadający się nagietkami.
Feria kolorów ukazująca tak odmienną od naszej kulturę pozwala zapomnieć o wszystkim poza obrazem i dźwiękami z głośników.
Nie można nie obejrzeć tego filmu.



BULLY
Reż. Larry Clark

Welcome to the party, bitch.

Larry Clark to zboczony reżyser, który zrobił kontrowersyjny film Kids. Larry jest zboczony, ponieważ interesuje go wyłącznie filmowanie młodzieży, która bierze narkotyki, co chwila uprawia seks, którego filmowanie z kolei na pewno podnieca Larry'ego. Chociaż może to nie Larry jest zboczony, tylko ludzie, których chce przedstawiać.
Bobby Kent jest skurwysyńskim kolesiem, który:
– gnębi fizycznie i psychicznie swojego najlepszego przyjaciela;
– mówi brzydko do dziewcząt;
– interesuje go tylko, aby zrobić mu tzw. loda;
– lubi oglądać gejowskie filmy dla dorosłych;
– lubi bić i gwałcić też lubi.
Jego wszyscy koledzy i koleżanki poddają się Bobby'emu, do czasu, aż któreś z nich rzuca hasło: "Zabijmy skurwysyna!"
Co powiedzieli, to postanawiają wprowadzić w życie. Ponieważ wysoki iloraz inteligencji mają dopiero razem wzięci, wychodzi im to co najmniej marnie. I mimo, że w końcu udaje im się pozbyć niesympatycznego kolegi, to wszyscy lądują na długie lata w więzieniu. Koniec filmu.



FANATYK
Reż. Henry Bean

Nienawidzisz Żydów? Sprawdź swoją metrykę urodzenia...

Plakaty reklamujące film są bardzo sugestywne. Łysy koleś o agresywnym wyrazie twarzy wpisany w wizerunek swastyki. "A więc" – pomyśli zapewne wielu skinheadów – "to film dla nas". I rzeczywiście, na sali oprócz mnie siedziało kilkanaście łysych głów przyczepionych do wytatuowanych ciał przyozdobionych dodatkowo szelkami.
Początek filmu przywitali z radością – otóż główny bohater paraduje po ulicy w koszulce ze swastyką i w dodatku dokopuje pierwszemu napotkanemu Żydowi. Dalej jest jeszcze fajniej, ponieważ Danny trafia na podziemne spotkania nowo rodzącej się partii faszystowskiej, a potem razem z kolegami trafiają do synagogi, którą bardzo chcą zbezcześcić.
Lecz co to? W synagodze okazuje się, że Danny nie pozwala zbrukać egzemplarza Tory i w dodatku okazuje się, że sam jest Żydem.
Nie jest to jednak film ukazujący uroki skinowania, ale emocje, jakie może wywrzeć żarliwe nauczanie wiary. Danny chce nienawidzić Żydów za wiele rzeczy, ale... broni symboli swojej religii tak samo, jak broni swoich idei. Takie rozdwojenie jaźni prowadzi oczywiście do szaleństwa...

gadżety



Smacznego!

Kto ma ochotę, niech próbuje. Smacznego, powtórzę. Pewna bliskowschodnia firma spo-żywcza zaatakowała rynek czipsami z wizerunkiem przywódcy Palestyńczyków. Na paczce widnieje nie kto inny, jak sam Jaser Arafat. Salaam Alejkum, bracia... Smaki do wyboru: ziemniaczany, pomidorowy i serowo-cebulowy.



HULAJNOGA BLATTA

Próbowaliśmy jeździć na rowerze, ale miał zbyt dużo przerzutek i w dodatku najnowsze baggy-dżinsy wkręciły nam się w łańcuch. Potem jeździliśmy do szkoły na wrotkach, ale chłopaki powiedzieli, że wrotki są de mode i wieśniackie. Poprosiliśmy rodziców o zakup motocykla Honda CBR 900 albo chociaż skutera Piaggio, a oni oczywiście powiedzieli, że motocykliści to dawcy narządów a skuter strasznie hałasuje.
Firma Blatta proponuje nam jednak hulajnogę. Oczywiście zwykłej hulajnogi nie opisywalibyśmy, ale hulajnogę z silniczkiem jak najbardziej. Gaz w kierownicy, hamulec również, silniczek nad tylnym kołem, domontowane siodełko, jeśli mamy ochotę. Czegóż chcieć więcej?!
Hulajnoga grzeje ponad 40 km/h i jest bardzo zwrotna. W dodatku bardzo łatwo przekonać rodziców do zgody na zakup takiego sprzętu. Hulajnoga – to przecież brzmi bardzo niewinnie.





Coke vs Pepsi

Na świecie trwa wojna. Walczą wszyscy ze wszystkimi – Amerykanie z Talibami, Izrael z Palestyną, Andrzej Lepper walczy z importowaną pszenicą, a my walczymy, żeby nasz magazyn dostarczał swoim czytelnikom jak najwięcej atrakcji.
W dalekich krajach kapitalizmu także trwa walka, walka między dwoma wielkimi koncernami, odwiecznymi wrogami – Coca Colą i Pepsi. Ostatnia ofensywa przyniosła na froncie rewelacje w postaci waniliowej coli – Vanilla Coke i niebieskiej Pepsi – Pepsi Blue. My osobiście wolimy wodę zdrojową "Zuber".



Longboard szefa...

Nasz szef, chłop słusznej postury i wagi, połamał ostatnio 7 deskorolek, na hulajnogę uznał, że jest już za stary i kupił sobie longboard "THE CHIEFS". Longboard nie jest zwykłą deską, różnicę można porównać do różnicy między zwykłym, osobowym autem a 10-metrową limuzyną. Szerokość 9 cali, długość 45, deck wykonany z superwytrzymałego fiberglasu, szef zafundował sobie niezły wypasik... Stać go, cena kompletu: deck, trucki i kółka – ok. 200 baksów.

NESCAFE Ministry of Sound Global Tour 2002

Już w maju NESCAFE i Ministry of Sound ruszają w ośmiomiesięczną mega trasę koncertową. Będzie to impreza naprawdę ogromnego kalibru, gdyż obejmie ponad trzydzieści państw na całym świecie. W samej tylko Europie clubbingowe szaleństwo opanuje najbardziej rozrywkowe stolice: Berlin, Paryż, Madryt, Pragę, Moskwę i, co najważniejsze, Warszawę (7 czerwca)! NESCAFE Ministry of Sound Global Tour 2002 to seria koncertów mających przybliżyć klimat londyńskiego klubu Ministry of Sound – gorące, porywające mechaniczne rytmy miksowane przez najlepszych dj-ów, doskonałe nowoczesne nagłośnienie i fenomenalny świetlny show.

Ministry of Sound w południowej części Londynu to dla fanów clubbingu żywa legenda. Klub odwiedza tygodniowo około pięciu tysięcy osób. Co wieczór setki ludzi pogrążają się tu w clubbingowym transie. Hipnotyzowani dźwiękami z adapterów takich dj-ów, jak Roger Sanchez, Pete Tong i Paul Oakenfold, na kilka godzin zapominają o szarej rzeczywistości. Clubbing to dla wielu ludzi sposób na życie: liczy się tylko zabawa, obecna chwila, "tu i teraz". Każdego dnia wbijają się w sztywne kołnierzyki i gnają do biura, aby w weekend rozkwitnąć feerią barw i kształtów podczas maksymalnego klubowego szaleństwa. DJ jest bogiem niepodzielnie panującym na Olimpie, którym dla clubbersów jest ulubiony klub.

Jednak Ministry of Sound to nie tylko klub. Jest to globalna instytucja, w ramach której działają: wytwórnia płytowa, internetowa stacja radiowa, magazyn poświęcony oczywiście muzyce klubowej, portal (www.ministryofsound.com) i clubbingowe biuro podróży.

MoS jest inicjatorem wyjazdów klubowych. Pierwsza trasa koncertowa objęła w 1992 roku Wielką Brytanię, a osiem lat później w stołecznej "Lokomotywie" odbyła się impreza dla ponad dwóch tysięcy polskich zwolenników clubbingu.

Jak będzie wyglądać NESCAFE Ministry of Sound Global Tour 2002? W Warszawie impreza wystartuje w hali Warsaw Expo Center XXI o godzinie 21.00 i potrwa przynajmniej do 6.00 rano. Główną atrakcją imprezy będzie występ DJ Heaven i Marka Hughesa. DJ Heaven jest jedną z najlepszych dj-ek na świecie. Od sześciu lat związana jest z londyńskim klubem Ministry of Sound, miksuje energetyczny, porywający house. Mark Hughes również rezyduje w Ministry of Sound, pracował też dla radia i magazynu MoS, od trzech lat gra imprezy na Ibizie

Oprócz zagranicznych gości wystąpi czołówka polskich dj-ów: Vic & Bojan (Wawa), Bert, Gerhard i Dreddy (De-Fucted) i Tenessee. Singiel duetu Wawa, "No problem", znalazł się na liście UK 40 Dance Chart i jest grywany przez największe rozgłośnie radiowe na świecie. Vic i Bojan supportowali Rogera Sancheza podczas jego występu w Polsce, a obecnie coraz częściej grywają poza krajem.

Bert, Dreddy i Gerhard występują jako De-Fucted od marca tego roku. Grają mieszankę disco, house, tech-trance i hard techno. Ich wspólny występ w warszawskiej "Piekarni" został przyjęty bardzo entuzjastycznie.

Tenessee miksuje różne odmiany house'u na trzech adapterach. Występował u boku m.in. Phatts & Small i Borisa Dlugoscha, grywał w Radiu dla Ciebie i Radiostacji. Oprócz Warszawy można go usłyszeć we Wrocławiu i Gdańsku.

Impreza zapowiada się więc bardzo ciekawie. Myślę, że prawdziwi fani muzyki klubowej nie przegapią takiego wydarzenia, a filiżanka gorącej NESCAFE i porywające dźwięki wypuszczane przez najlepszych dj-ów nie pozwolą clubbersom usnąć do końca imprezy i jeszcze długo, długo później...

BasiOOnya

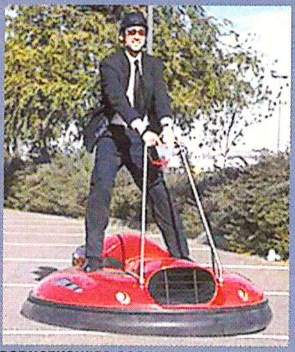


T-shirty z konopii
To znaczy nie całkiem z konopii, bo w 100% z bawełny, ale za to z nadrukiem "Cannabis" – konopie właśnie. Loga staranne i ciekawe (na zdjęciu logo "uniwersyteckie" i wariacja na temat "Gwiezdnych Wojen"), materiał pierwszej klasy, kolory i wzory w dużym wyborze.

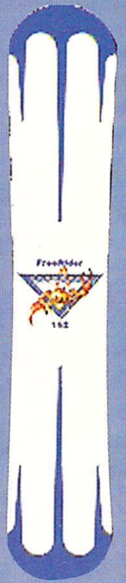


ŁÓDŹ MOTOROWA WALLY

Nic nie może zrelaksować nas bardziej i nic nie symbolizuje milszego powrotu do natury, niż rewelacyjna drewniana łódź motorowa firmy Wally. Drewniane poszycie pokładu, bukowy daszek i mahoniowy wolant pozwolą nam na oderwanie się od zmartwień. Oczywiście drewniany wygląd kryje w sobie same nowinki techniczne, jak i silnik o wielkiej mocy. No, ale dlaczego nie pozwolić sobie przy okazji na odrobinę luksusu? Cena niech pozostanie tajemnicą, gdyż łódź sprawiamy sobie po to, aby się wyciszyć, a nie martwić o pieniądze...



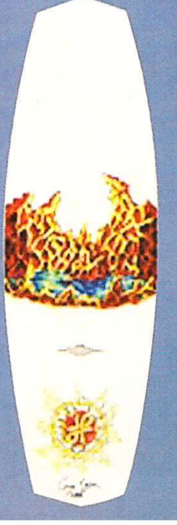
PODUSZKOWIEC OSOBISTY ZAP AIRBOARD
Często się nam zdarza następująca sytuacja: jedziemy na poranne zajęcia w naszej podstawówce, ogólniaku lub szkole zawodowej. Jedziemy oczywiście własnym samochodem. Podkręcamy muzykę, osiem głośników i subwoofer zaczynają współgrać, szyberdach otwarty, nisko profilowane opony osadzone na pięknych, aluminiowych felgach firmy BBS, tudzież MOMO, toczą się raźno po asfalcie, aż tu nagle... Korek! Tak, niestety, korek na drodze dotyczy wszystkich, czy to kierowcy zdezelowanego cinquecento czy też właściciela samochodu o wartości przekraczającej roczny dochód dowolnego kraju w centrum Afryki.
I teraz uwaga – korki już nas nie dotyczą. Wystarczy krótka wizyta w sklepie i wyjeżdżamy na teren miasta mini poduszkowcem!
Mini poduszkowiec ma piękny wygląd i napędzany jest silnikiem spalinowym. Unosi się około 5-10 centymetrów ponad chodnikami i może przemierzać przestrzenie trawiaste oraz betoniaste. Ponieważ porusza się z prędkością 25 km/h, to podczas jazdy polecane jest trzymanie się za znakomicie zaprojektowaną kierownicę pełniącą niejako rolę współczesnych lejców.
Obecnie poduszkowiec dostępny jest tylko w kolorze czerwonym.





Nie ma, nie ma wody na pustyni
...tak śpiewają Beduini. Ale za to jest tyle piachu, ile beduińska dusza zapragnie. No i co mają robić biedne, pustynne ludzie, żeby się trochę chociaż rozerwać? Uprawiają sporty ekstremalne! Dyscyplina nazywa się sandboarding i polega na jeździe na snowboardzie po piachu. Deska na obrazku obok nie jest zwykłym snowboardem, tylko specjalnie przystosowaną deską do jazdy po piachu. Na Saharze zwą ją Freerider, zawiera drewniany rdzeń i wytrzymały, nieścierający się plastikowy ślizg. Na zdjęciu powyżej mistrz pustyni Kara-Kum we freestyle'u na piachu.

Na fali
Śmigamy na śniegu, na piachu, możemy też śmigać po wodzie. Wakeboarding, bo tak ten piękny sport się nazywa, jest jeszcze średnio popularny w Polsce. A jest to skrzyżowanie nart wodnych ze snowboardem.
Piękna pogoda, na brzegu gorące, mazurskie senority podziwiają mnie, a ja za motoróweczką, w krótkich spodenkach i gołą klatą wymiatam triki na kilwaterze. Wysokie indy grab, 360 frontsinde, McTwist, grind na pomoście i... wtedy się obudziłem... Cholera! 9.30! O 9 miałem być w redakcji! No to lecę... Aha, śniła mi się deska Nelson 139 pure ride.



jeż jerzy

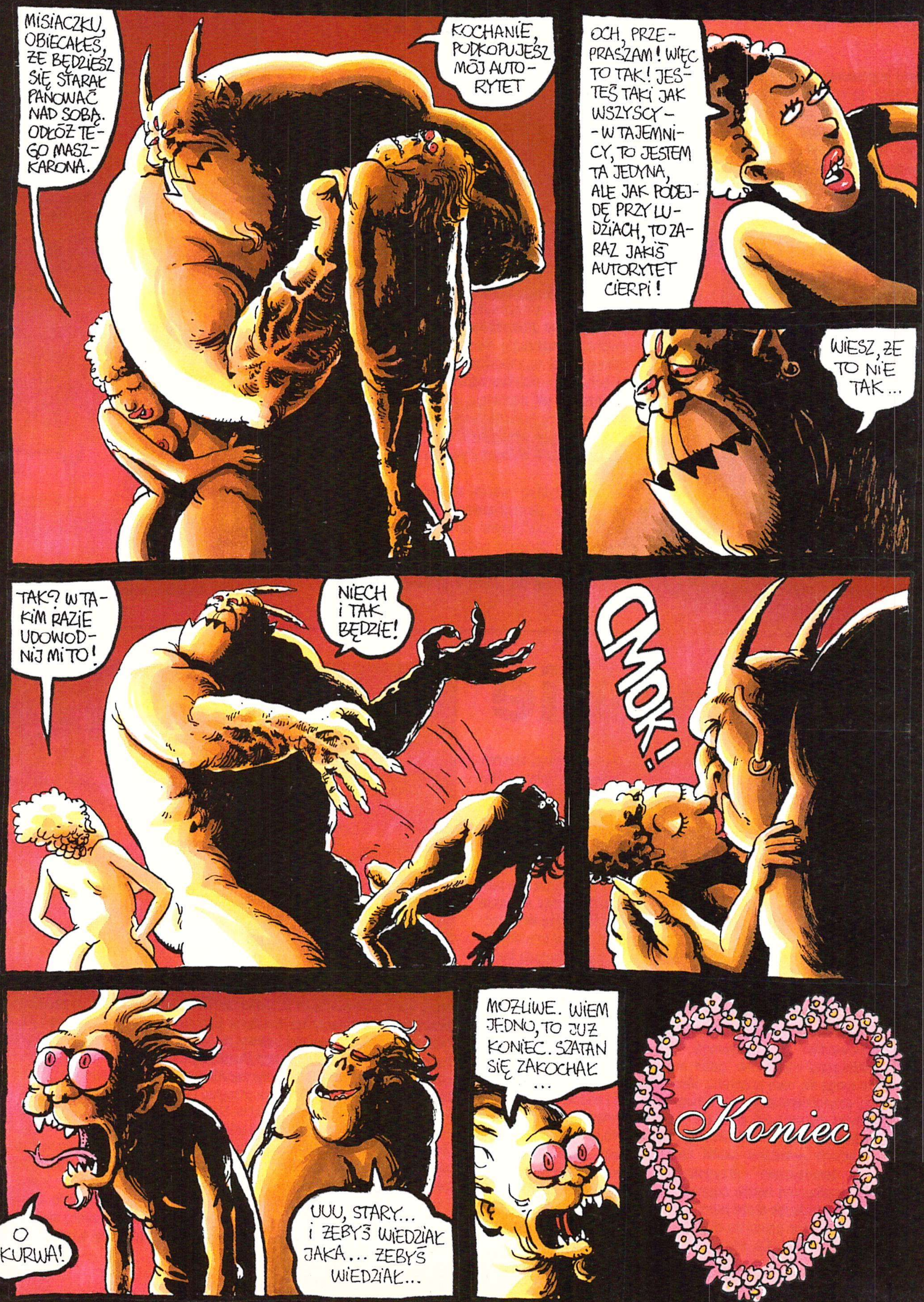
"The Exorcist"

epilog



www.jezjerzy.pl

Dotychczas: 1) na Ziemi pojawił się emisariusz sił piekielnych w osobie Zombiego, który opętał dawnego kumpla (z którym jeszcze w dzieciństwie razem śmigali gruchę - jak widać masturbacja nie popłaca). 2) Jego zadaniem było przygotować przybycie Szatana. 3) By tego dokonać musiał zlikwidować Jeża Jerzego. 4) Po drodze polikwidował trochę innych osób, w tym pewną poczciwą kurwę (którą najpierw wykorzystał). 5) Policja podejrzewała Bogu ducha winnego Jerzego. 6) W końcu doszło do konfrontacji sił piekielnych (Zombie) i niebiańskich (Jerzy + Ksiadz Egzorcysta.) 7) Wygrało dobro...



scenariusz: Rafał Skarzycki * rysunki: Tomasz Lew Leśniak

The Elders Scroll III: Morrowind

Jeśli znasz poprzednie gry z serii Elder Scrolls (a jeśli nie znasz, to na pewno przynajmniej o nich słyszałeś), nie muszę ci chyba mówić czego się tu spodziewać: uruchamiając grę zagłębisz się w olbrzymim, fantastycznym świecie. Zmierzysz się z wieloma zagadkami, znakomicie



uzupełniającymi główny wątek fabuły, i choć wypełnianie dodatkowych zadań zająć ci może nawet setki godzin, nie łudź się, że zdołasz w pełni ogarnąć ten świat, olśniewający bogactwem wieloznacznych relacji i wspaniałą grafiką 3D.
Jednym z najciekawszych aspektów Morrowind jest system zdobywania doświadczenia. W większości gier RPG uzyskujemy je zabijając potwory i zdobywając skarby. Tymczasem tutaj jeśli grasz



złodziejem, otrzymujesz doświadczenie za wykonywanie złodziejskich zadań, a nie szybkie machanie maczugą! Niestety, system rozwijania umiejętności nie zapewnia jednak dobrego rozwoju bohatera - niektóre zdolności nie rozwijają się tak szybko jak pozostałe. Poza tym bohater nie wzmacnia się przez rozwijanie posiadanych cech (takich jak siła, inteligencja itd.), lecz raczej przez znajdowanie i wykorzystywanie coraz lepszego ekwipunku.
Mimo wszystko warto zagrać w Morrowind. Znakomicie skonstruowana fabuła, z wieloma zadaniami pobocznymi do wykonania, zapewni nam ponad dwieście godzin nieustającej zabawy. W trakcie wędrówek po wielkim świecie możemy przyłączyć się do jednej z dziesięciu gildii - od zwykłego bractwa wojowników aż po tajną organizację zabójców religijnych. Co ciekawe, wykonywanie zadań pobocznych nie jest wymagane natychmiast - możesz porzucić na jakiś czas daną misję, by zająć się pilniejszymi sprawami.
A jeśli to wszystko ci nie wystarczy, możesz uruchomić edytor, dzięki któremu bez większych problemów stworzysz własne misje, zadania i postacie, które umieścisz w grze, nie zapominając, oczywiście, o ekwipunku...
Morrowind to bez wątpienia jedna z najlepszych gier RPG, jakie kiedykolwiek stworzono. Wejdź w jego wspaniały, bajecznie kolorowy i skomplikowany świat, bo warto!



Nurkowanie

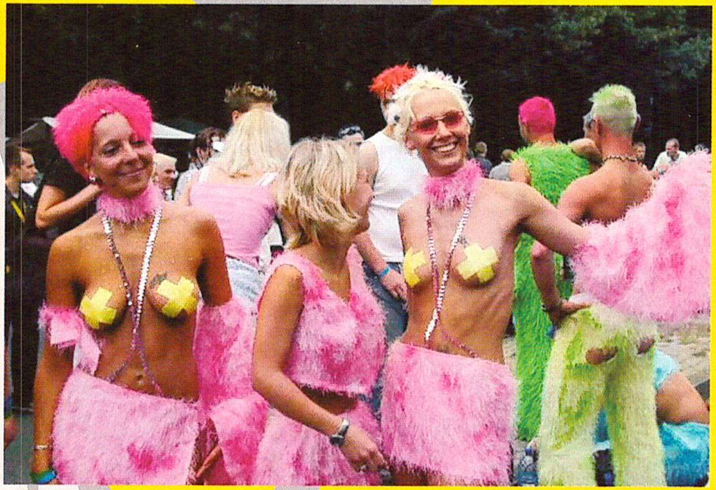
Zapewne wielu z Was marzyły się podwodne przygody. Niestety, pusta kieszeń i wizja choroby kesonowej mogą zniweczyć nasze wakacyjne plany. Aby przekonać się jak jest naprawdę, zajrzyjmy do niezmierzonych głębin internetu...
Na początek warto zapoznać się z zawartością strony http://www.nurkowanie-fun.prv.pl. Witryna przeznaczona jest dla początkujących amatorów penetrowania głębin. W dziale "Historia" dowiemy się, że pierwsze nurkowanie odbyło się w 885 roku p.n.e. Dalej autor strony omawia dokładnie cały ekwipunek potrzebny nurkowi - od płetw aż do aparatu nurkowego. Na stronie znajduje się także spis literatury niezbędnej każdemu amatorowi nurkowania. Po dalsze informacje przenieśmy się na http://www.nurek.pl/wstep.html. Przeczytamy tu o organizacjach nurków, stopniach wtajemniczenia i warunkach uzyskania tych kwalifikacji. Kolejną porcję niezbędnej teorii znajdziemy na stronie http://www.mz.gov.pl/nur_zas_bezp.htm - zamieszczono tu oficjalne, międzynarodowe zasady bezpiecznego nurkowania.
Jak wiemy, środowisko wodne jest dość niebezpieczne dla człowieka, trzeba więc być odpowiednio przygotowanym. Całą serię porad serwuje nam http://www.gulftel.com/~scubadoc, gdzie omówiono chyba wszystkie przypadłości, które mogą się nam przytrafić. Medyczne aspekty nurkowania omawiają tu między innymi dermatolog, kardiolog, ginekolog i endokrynolog. Warto uważnie przeczytać, by nie trafić do kliniki, której internetową wizytówkę obejrzymy pod adresem http://www.ddrc.org/patients_info.htm. Na kilkunastu wyraźnych zdjęciach pokazano skutki niefrasobliwego nurkowania. Jeśli jesteśmy już teoretycznie przygotowani, pora zakupić sprzęt. http://www.piratescuba.com będzie odpowiednim do tego miejscem - jest tu dokładnie wszystko, co nurek może zabrać ze sobą pod wodę: płetwy, okulary, rurki, noże, specjalne liny pomocne przy penetracji wraków, pianki do wody ciepłej i zimnej, harpuny... Co ciekawe, sprzęt przygotowano także w rozmiarach dla dzieci!



Amatorom podwodnego łowiectwa poświęcona jest strona http://www.nurkowanie.px.pl/lowiectwo.htm. Przeczytamy tu o zasadach bezpieczeństwa, poznamy też dokładne przepisy dotyczące pozwoleń na kusze oraz wyciąg z odpowiedniej ustawy. Na koniec proponujemy wizytę u podwodnych fotografów: na stronie http://underwaterphotos.com zamieszczono kilkadziesiąt praktycznych porad dotyczących wykonywania zbliżeń i... fotografowania rekinów. Znajdziemy tu także przegląd obiektywów do zdjęć podwodnych.
I na koniec gratka dla miłośników historii. Na stronie http://www.divingheritage.com/historicalgear.htm znajdziemy wirtualne muzeum nurkowania. Znajduje się tu wręcz imponujący przegląd starych kostiumów do podwodnych penetracji, zarówno miękkich, jak i sztywnych, hełmów i pomp tłoczących powietrze, jak również dzwonów nurkowych, noży podwodnych i innego, dziś już nieco zapomnianego ekwipunku. Wszystkie działy są bogato ilustrowane stosownymi zdjęciami lub rysunkami poglądowymi, a oprócz tego przygotowano tu sporą galerię zdjęć. Strona warta obejrzenia przez każdego fana podwodnej przygody!

Techno w Europie

Źródeł pochodzenia tego gatunku muzyki należy szukać w kilku formacjach końca lat 70. Na szczególną uwagę zasługuje tutaj grupa Kraftwerk, której wizerunkiem stał się industrialny człowiek-robot.
W swoich kolejnych produkcjach grupa coraz bardziej odchodziła od tradycyjnych instrumentów, zastępując je syntezatorami, licznikami Geigera, generatorami dźwięku i maszynowym rytmem. Do początku lat 80. powstało kilka płyt, a nagrania "Autobahn", "Das Model", "Das Robot" czy "Trans Europe Express" to już dzisiaj klasyka. W 1982 melodie te wykorzystał niejaki Afrika Bambaataa do stworzenia utworu "Planet Rock", dzisiaj uznawanego za prekursora muzyki electro. Najważniejszymi cechami tej muzyki są cyfrowe dźwięki elektroniczne, funkowy bass, perkusja z automatu i zniekształcony, przypominający głos robota wokal...
Jedną z najważniejszych postaci electro był Juan Atkins, który działając w grupie "Cybotron" swoimi nagraniami zmienił kształt sceny muzycznej początku lat 80. w Detroit. Właśnie Atkins oraz legendarny radiowy dj Electrifying Mojo zainteresowali elektronicznymi brzmieniami Kevina Saundersona i Derricka May'a.
May, Atkins oraz Saunderson zostali dj'ami w lokalnych klubach, a potem założyli własną budę pod nazwą Music Institute. Duży wpływ na ich twórczość miały funk i chicagowskie kluby house, gdzie pionierzy techno byli częstymi bywalcami, odkrywając taneczne oddziaływanie syntetycznych dźwięków.
Saunderson jako Reese i E-Dancer tworzył nagrania wywodzące się z chicagowskiego house, Atkins zaś kosmiczne electro. Z kolei May w rytmicznych "Strings of Life", "Nude Photo" oraz "It Is What It Is" odkrył coś, co nazwano muzyką techno.





Sam termin "techno" pochodzi z futurystycznej książki Alvina Tofflera "The Third Wave" (1980). Książka ta, mówiąca o techno - rebelii, była jedną z inspiracji twórczości Atkinsa i grupy Kraftwerk (utwory Cybotron "Techno City" z 1984 oraz Kraftwerk "Techno Pop" z 1986). Po raz pierwszy oficjalnie, jako nazwa gatunku muzyki, termin ten został użyty w 1988 w artykule magazynu "The Face".
Działalność trójki innowatorów, ich wytwórnie i programy radiowe szybko przyciągnęły kolejnych artystów, takich jak Blake Baxter, Carl Craig, Eddie "Flashin" Fowkles, Stacey Pullen czy Kenny Larkin. To oni pierwsi pokazali Europejczykom czym jest techno...
Kluczowym miejscem w rozwoju techno był klub Tresor, gdzie jedno z najważniejszych wydarzeń stanowiły występy "Underground Resistance", czyli kolejnej wielkiej trójki z Detroit, która zmieniła oblicze muzyki elektronicznej: Jeffa Millsa, Roberta Hooda i Mike Banksa. UR stworzyli spiskowo-rewolucyjną ideologię muzyczną oraz najbardziej radykalne i ostre nagrania techno tamtego okresu, z których "The Punisher", "Riot" czy "Sonic Destroyer" to dzisiaj absolutna klasyka. Po pewnym czasie drogi muzyków rozeszły się. Banks wraz z nowymi muzykami do dzisiaj kontynuuje działalność UR, Hood zajął się solowym tworzeniem techno, a Jeff Mills nagraniami dla Tresora i swoich labeli Axis oraz Purpose Maker wyznaczył nurt techno zwany minimalem. Charakterystyczne cechy minimalu zawarte w albumach Waveform Transmission vol.1 i vol.3 to mała ilość dźwięków, bardzo precyzyjna struktura i silna, bezwzględna stopa, wybijająca rytm. W połowie lat 90. minimal zyskał nowy charakter dzięki nagraniom Christiana Vogla. Zastosował on bardziej eksperymentalne struktury i nietypowe dźwięki, przenoszące beat na drugi plan. Kierunek ten został określony jako nu school techno. Na berlińskiej scenie Tresor nie był jedynym ośrodkiem rozwoju muzyki technicznej. Kolejnym legendarnym miejscem jest sklep muzyczny Hard Wax i postać jego właściciela Moritza von Osvalda, który założył wytwórnie Basic Channel i Chain Reaction. Tutaj powstała głęboka i minimalistyczna odmiana techno oparta na bardzo niskim dubowym beacie, czasami z elementami deep house, oraz nagrania techno ambientu. Działalność Tresora i Hard Waxu stała się impulsem do rozwoju europejskiej sceny techno. W tych samych miejscach spotykali się twórcy undergroundowi oraz późniejsze "gwiazdy", takie jak Westbam i Dr Motte, pomysłodawca Love Parade - największej tanecznej imprezy na świecie.

Toy Story

czyli o marnowaniu czasu słów kilka





TRICK MIESIĄCA

Błażej Lewandowski kickflip przez poręcz
bosekphoto

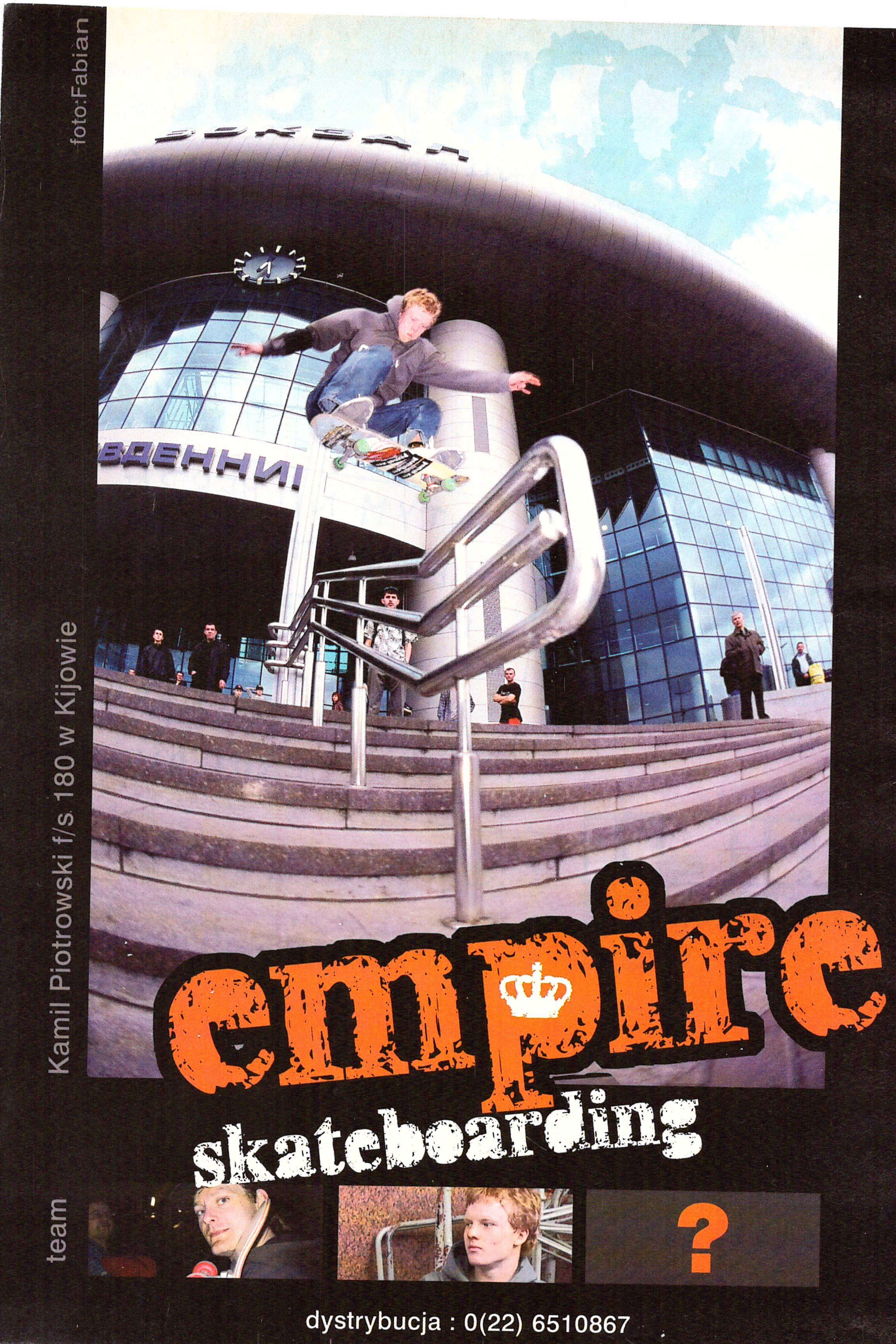
W TYM NUMERZE
NIEMA „TOY STORY"
BO JEST ZAJEBISTA
POGODA I JEŻDŻĘ
NA DESKOROLCE. DO
CZEGO I WAS NAMAWIAM

TOI OI



ukraina tour
wojtek jaworski
gocław underground
szkoła deski


trik SKATESHOP: C.H. Warszawa Wileńska, ul .Targowa 72, lokal 105a tel/fax (22) 3316375
foto: Wojtek Jaworski - frontside slide foto: Fabjan grafika: siedemzero@wp.pl
MALITA | AIRWALK | FENIX.ATL | GENETIC | EMPIRE | DUFFS | ADIO | EPIK
garaż #2
<zobacz tour na nowym filmie video
ŚLIZG
Info
29-06 ok.9⁰⁰ Warszawa - wyjazd ze skateshopu TRIK (W-wa Wileńska).
29-06 ok. 16⁰⁰ Białystok: przyjazd pod skateshop Ślizg u.Kilińskiego 15,a potem na miejscówke, impreza organizowana przez Ślizg.
30-06 ok.13⁰⁰ Białystok: skateboard na miejscówie,wyjazd do Lublina.
01-07 ok.12⁰⁰ Lublin: przyjazd pod skateshop Helena i Syn ul. Narutowicza 13, skateboarding na miejscówie.
01-07 ok.18⁰⁰ Stalowa Wola: przyjazd pod skateshop Great Style ul. Okulickiego3 przyjazd na miejscówę ,wyjazd do Rzeszowa.
02-07 ok.13⁰⁰ Rzeszów: skateshop Global ul. Matejki 9, skateboarding pod pomnikiem lub na innej miejscówie, wyjazd do Krakowa.
03-07 ok.15⁰⁰ Kraków: skateboarding w skateparku, wyjazd do Opola.
04-07 ok.11⁰⁰ Opole: przyjazd do skateshopu SKATE CITY ul. Ozimińska D.H. Rzemieślnik, skateboarding na mieście.
04-07 ok.19⁰⁰ Wrocław: przyjazd pod skateshop Underground ul.Rynek 5 -impreza organizowana przy pomocy skateshopu CLINIC.
05-07 ok.15⁰⁰ Leszno: skatepark impreza organizowana przy pomocy MAYER skateshop.
06-07 ok.16⁰⁰ Piła: przyjazd pod sklep HIP-HOP ul.Śródmiejska 2. Wieczorem impreza kończąca TOUR organizowana przez skateshop HIP-HOP.
2002
Jak zwykle dobry skateboarding i gadżety od organizatorów. ZAPRASZAMY
O dodatkowe informacje pytaj w swoim lokalnym skateshopie!!!
Dominik Włodarkiewicz [Słonik] Malita, Airwalk
Eryk Gaj Malita, Airwalk
Tomek Adamczyk [Młody] Malita, Airwalk
Tomek Dworzak [Hołku] Malita, Airwalk
Artur Wojtania [Kaczor] Malita, Epik
Wojtek Jaworski Malita
Tomek Kotrych Fenix Atl, Adio
Tadeusz Szymański [Gutek] Fenix Atl, Adio
Paweł Przybył Fenix Atl, Epik
Błażej Lewandowski Duffs
Kamil Piotrowski Empire
Kuba Perzyna video Info
Paweł Fabjański [Fabjan] foto
Przemek Skóra [Sqra] foto
Kuba Kaczmarczyk video Garaż #2, Ślizg
Piotr Roszak Airwalk
Skład: Adam Malita Malita
TRIK TOUR
CZYLI TOUR PO POLSCE TEAM`ÓW:
FENIX ATHLETIC
genetic
Malita SKATEBOARD CLOTHING
ADIO
airwalk
DuFFS
TRIK SNOW SKATE Wileńska
empire


foto:Fabian
Kamil Piotrowski f/s 180 w Kijowie
empire
skateboarding
team
?
dystrybucja : 0(22) 6510867







Mimo tych wątpliwości każdy z uczestników touru na dzień wyjazdu czekał z niecierpliwością i kiedy nadeszła data 26 kwietnia, wszyscy zebraliśmy się w Warszawie, skąd w radosnych nastrojach wyruszyliśmy w nieznane. Wypadałoby teraz powiedzieć coś niecoś o składzie wyprawy. Praktycznie do ostatniej chwili nie było pewne, kto jedzie. Różnego rodzaju problemy sprawiły, że wielu "przewidzianych" na tour skaterów musiało niestety z Ukrainy zrezygnować. Głównie chodziło o kłopoty z paszportami: jeden zgubił, inny za późno zobaczył, że dokument jest nieważny. A niektórym przeszkodziły kontuzje...

Koniec końców do Kijowa pojechały następujące osoby (kto się nie załapał, niech żałuje – ma czego): Gutek Szymański, bez którego byłoby dużo ciszej i nudniej, Tomek Kotrych, bez którego nie byłoby tylu nagranych sekwencji i braw po zrobionych trikach, Dominik Włodarkiewicz, bez którego nie byłoby wizyty w szpitalu (ale o tym za chwilę), Wojtek Jaworski, bez którego nie byłoby tylu hardcore'owych numerów, Kamil Piotrowski, bez którego nie zobaczyłbym pewnych sztuczek z paleniem papierosów, Jacek Pawłowski vel Gołota, bez którego mocno by podskoczyła średnia wieku, Adam Malita, bez którego byśmy w ogóle nie pojechali, Andrzej Skrobański, bez którego byłoby by o jedną kamerę mniej w Kijowie, Fabjan, bez którego nie zwiedzilibyśmy tylu McDonald'sów, niejaki Wojtek – nasz przewodniki, ogólnie "kierownik" touru, wraz z młodym przyjacielem, bez których nic byśmy nie zjedli i wreszcie moja skromna osoba, bez obecności której nic byście teraz nie przeczytali.

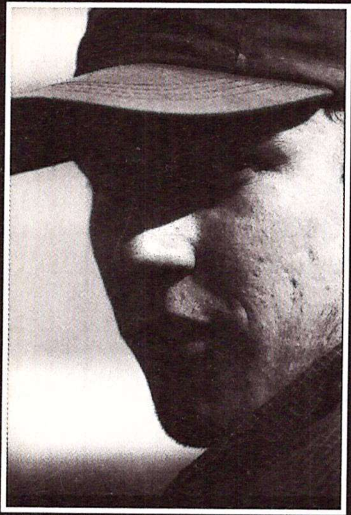
Jak już wspomniałem, podróż rozpoczęła się w Warszawie, w godzinach rannych (jak na moje przyzwyczajenia, o "wiele za bardzo rannych"), ale nie narzekajmy, tylko przejdźmy dalej. W czasie przeprawy przez Polskę do granicy nie zdarzyło się nic godnego uwagi, no, chyba że za warte wzmianki uznać to, co robił Gutek, gdy mu się nudziło. Cóż, jest to człowiek, który ma zbyt dużo energii jak na jedną osobę. Normalnie wyładowuje ją podczas deskorolkowania, natomiast jeśli przez cały dzień siedzi zamknięty w samochodzie, do głowy przychodzą mu naprawdę niestworzone historie. Gdzieś tak w połowie drogi wszyscy mieliśmy dosyć jego opowieści, choć przyznam, że nie było chyba osoby, która by się z nich nie śmiała – ale był to taki śmiech przez łzy.

Po długiej i męczącej drodze wreszcie dojechaliśmy do granicy. W miasteczku, jeszcze po polskiej stronie, w czasie gdy Adam załatwiał ostatnie szczegóły w jakimś urzędzie, tuż przy parkingu znaleźliśmy całkiem przyjemną uliczkę do przeskoczenia. Nasz Gutek miał wreszcie okazję do



przy dworcu kolejowym znaleźliśmy wiele zajebistych murków na jednym z nich Gutek zaprezentował swój popisowy trick backside tail slide
foto Fabjan

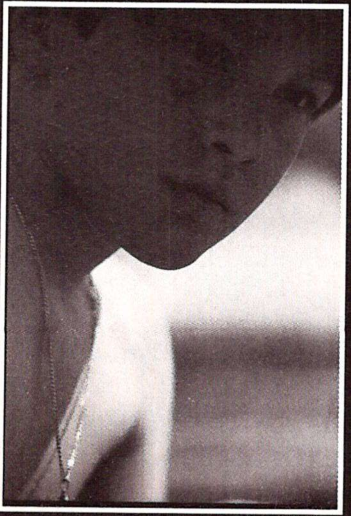


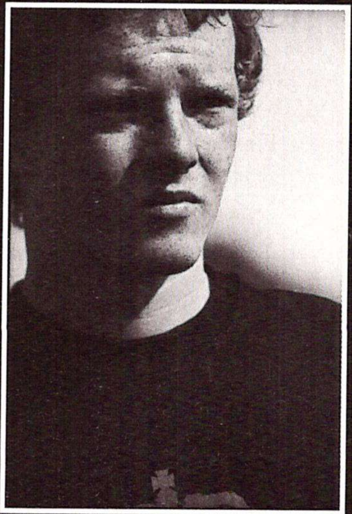


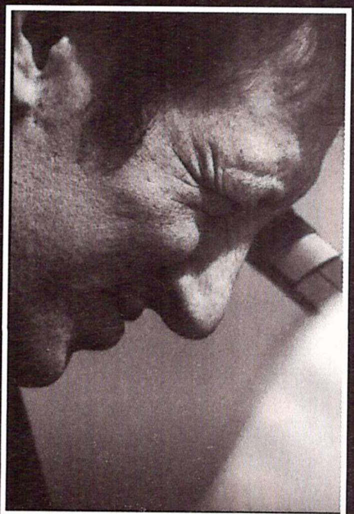
PROCA TOUR 2002

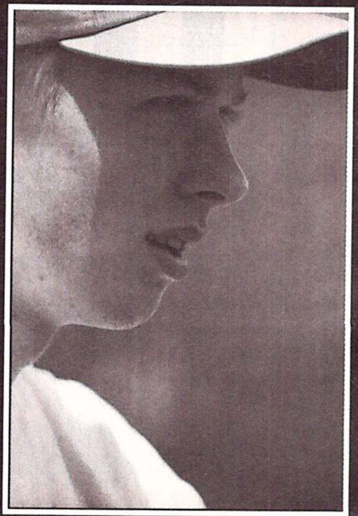
Na pewno wielu z was zastanawia się, co znaczy ten bezsensowny tytuł. Wytłumaczenie jest bardzo proste: otóż nie wiedzieć czemu, było to najpopularniejsze słowo wyjazdu, którym można było odpowiedzieć niemalże na każde pytanie – taki nasz wyjazdowy slang.

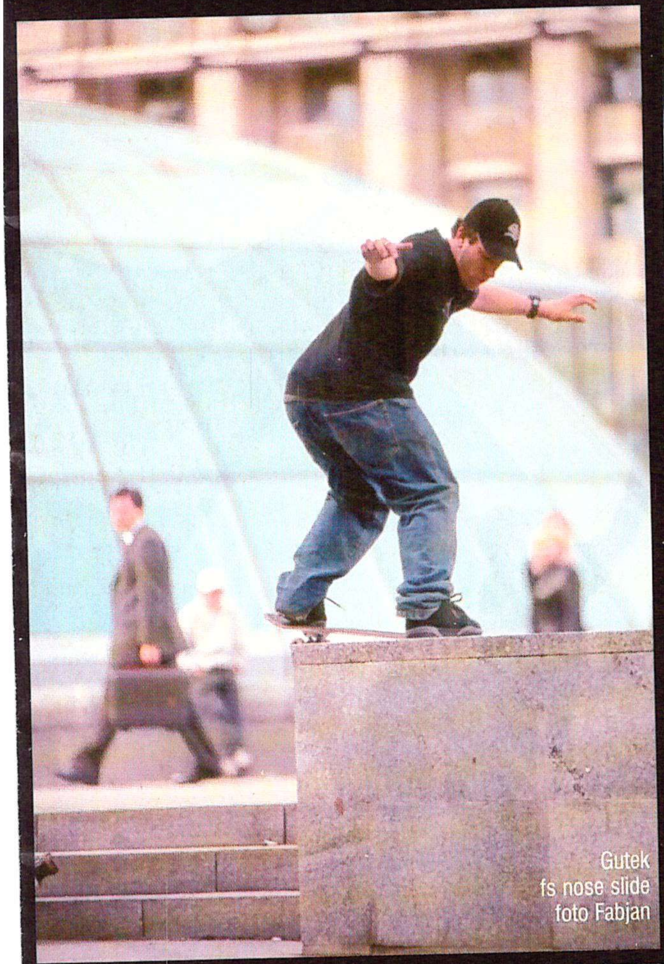
Tyle słów wyjaśnienia, przejdźmy do konkretów. O planach związanych z wyjazdem na Ukrainę wiedziałem od dosyć dawna. Podobnie jak każdy z nas, miałem co do tego pomysłu mieszane uczucia. Z jednej strony fascynowała mnie perspektywa wyjazdu w nieznane, do miejsca, w którym praktycznie nie stała jeszcze stopa skatera, nęciły nowe miejscówki, o których nasłuchałem się wiele od spędzających tam wakacje kolegów, ale z drugiej strony przerażała trochę wizja postkomunistycznego państwa z wszechwładną milicją i mafią. Co tu dużo mówić, wiadomo przecież, jakie mamy ogólne wyobrażenie o krajach byłego ZSRR...











Gutek
fs nose slide
foto Fabjan

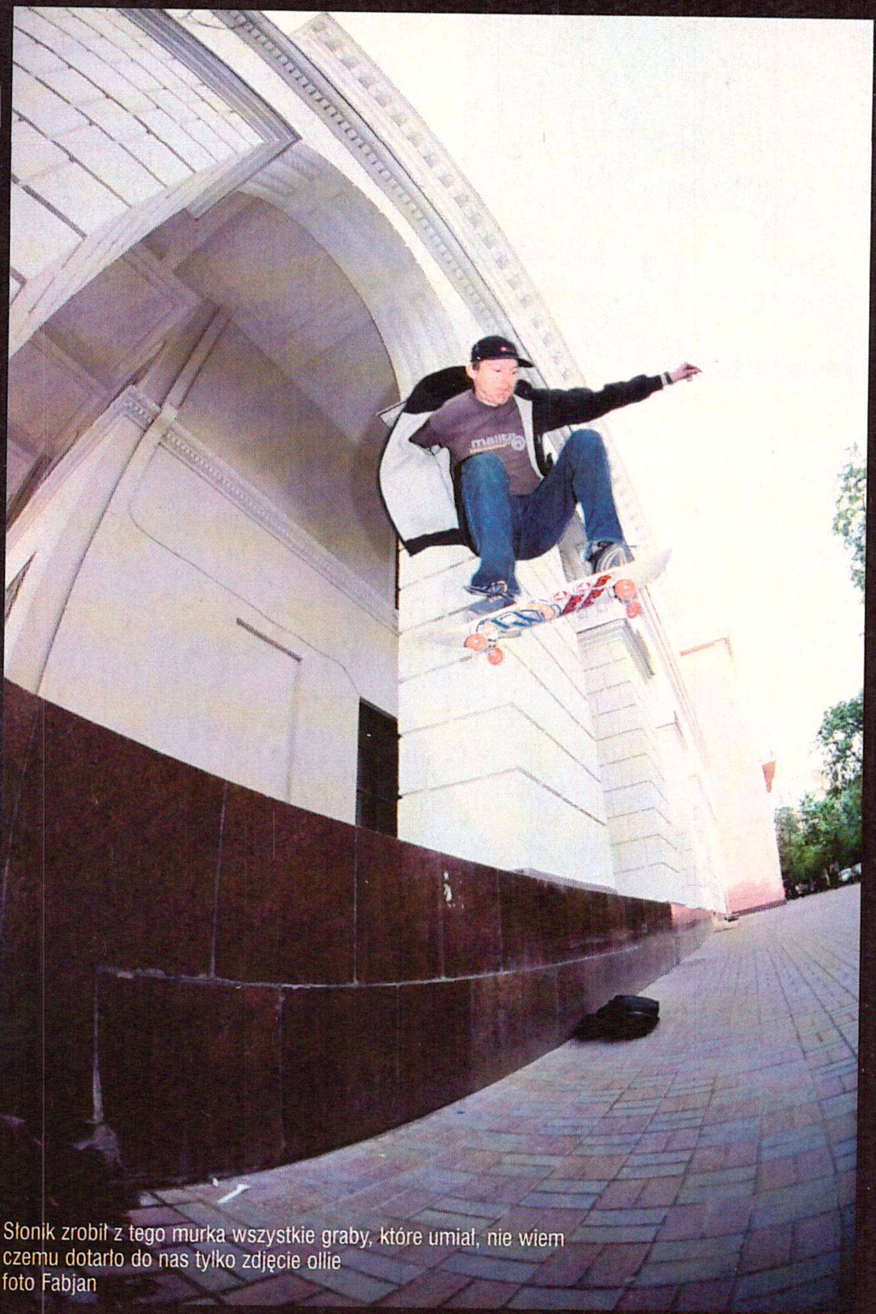


szalony sprawozdawca nie miał wiele czasu na deskorolkę, ale zdążył sieknąć co nie co
Kuba Kaczmarczyk, wallride
foto Fabjan



nose slide to chyba ulubiony trick
Kamila Piotrowskiego
foto Fabjan





Słonik zrobił z tego murka wszystkie graby, które umiał, nie wiem czemu dotarło do nas tylko zdjęcie ollie
foto Fabjan



przy frontowym wejściu na dworzec znajdowała się poręcz, na której Gutek zapiął fs board slide... zwróćcie uwagę na stojących za Gołotą ukraińskich bandziorów kibicujących Gutkowi
foto Adam Malita

spalenia choć części sił skumulowanych w jego organiźmie. Wziął daleki rozpęd, jechał bardzo szybko i... wysypał się jeszcze przed przeszkodą, ścierając sobie przy tym całą rękę i kawałek barku. To był naprawdę niefortunny wypadek, nie wiem zresztą, co było jego przyczyną. Tyle działo się w Polsce. Prawdziwe przygody na granicy miały dopiero nadejść.

Po dojechaniu do przejścia, poczułem się, jakbym przeniósł się o jakieś dwadzieścia lat wstecz, do czasów głębokiego komunizmu. Wyobraźcie sobie ukraińskich urzędników w typowo skurwiałych mundurach, uzbrojonych po zęby (złote dodam, złote...), których wzrok mógł przewiercić dowolną osobę na wylot. Zapomnijcie o miłym i szybkim pokonywaniu granicy w krajach Zachodu, tam panował po prostu terror. Miny nam, delikatnie pisząc, zrzedły, pojawiły się nawet delikatne sugestie: "może pojedziemy jednak do Pragi..."

Na odprawie celnej było nie lepiej. Jeśli oglądaliście program w TVN-ie "Granice" czy jakoś tak, uwierzcie, że widok serwowany tam jest czymś normalnym. Na środku stał ogromny plastikowy zbiornik, do którego zlewano hektolitry skonfiskowanego alkoholu. Przemycano go w czym się dało, widzieliśmy, jak ciągnięto kolesiowi z baku jego zaporożca. Po naprawdę ciężkiej przeprawie na granicy oczom naszym ukazała się piękna ziemia ukraińska, nieskażona żadnymi zabudowaniami. To fakt, przez około 600 km do Kijowa minęliśmy może ze dwie wsie i słownie trzy stacje benzynowe. Szczerze mówiąc, zacząłem powoli myśleć, że jedziemy do jakiejś dżungli, a nie dużego miasta. Ciekawostką wartą odnotowania jest fakt, że w jednej z tych wiosek na polu widzieliśmy, jak kobieta orała pole. Nie, moi drodzy, nie było tak, że ona prowadziła konia, tylko sama, na własnych barkach ciągnęła pług!!! Przeżywaliśmy to dobrą godzinę.

Wreszcie po całodziennej mordędze dojechaliśmy do przedmieść Kijowa. Nie przywitały nas wcale lepianki wśród gąszczu traw, lecz zwyczajne blokowiska, jakich pełno w każdym polskim mieście. Dziwne było to, że na jezdniach nie było namalowanych pasów – jeździłeś jak chciałeś. Kijów (a właściwie jego dalsze dzielnice) w nocy sprawiał dosyć posępne wrażenie, podsycało je jeszcze nasze zmęczenie i powoli zaczęliśmy narzekać, zwłaszcza, że obiecanych miejscówek wcale nie zobaczyliśmy.

Pierwszy widok, jaki zobaczyliśmy po przyjeździe, to akcja milicji, która zdejmowała kilku naprawdę konkretnych bandziorów przy McDonaldzie. "Kurwa", pomyślałem, "człowieku, gdzieś ty przyjechał!"

W takich właśnie nastrojach poszliśmy spać. Następny dzień przywitał nas wspaniałą pogodą i twarzą kierownika Wojtka, który latał po całej kwaterze i krzyczał, że wszyscy na nas już czekają. Jacy wszyscy? Okazało się, że w lokalnej prasie ukazało się zawiadomienie, że dnia tego i tamtego przyjadą Polaczki i będą jeździć na desce. To tylko jeszcze bardziej popsuło nam humor i w takich właśnie nastrojach udaliśmy się do najgłębszego i nienajczystszego metra na świecie (na domiar złego w czasie podróży zepsuł się nasz samochód). Po przejechaniu trzech stacji mieliśmy znaleźć się w samym centrum. I wtedy nastąpił przełomowy moment wyjazdu. Po wyjściu z podziemia oczom naszym ukazał się... raj. Tak, moi drodzy, jeśli istnieje niebo, to każdy deskorolkowiec tak właśnie je sobie wyobraża. Zobaczyliśmy po prostu przeogromny plac, którego architektura aż błagała na kolanach o jazdę na deskorolce. Ja stanąłem jak wryty na dobre piętnaście minut, od razu zapomniałem o wszystkich niemiłych przygodach. Stałem i rozkoszowałem się widokiem. Dodam, że zachwyciłby się nie tylko skater, centrum Kijowa robiło piorunujące wrażenie. Wszystko było w marmurze, pełno fontann, schodków, pomników, a do tego w każdy weekend (była akurat sobota) zamykano główną ulicę, przy której mieściła się ta miejscówka i urządzano rozmaite parady – na taką właśnie się załapaliśmy. W ogóle okazało się, że Ukraińcy uwielbiają się bawić i są bardzo otwarci i przyjacielscy.

Po dłuższej chwili osłupienia i przywitaniu się z lokalnymi deskorolkowcami, ruszyliśmy na podbój miejsca, które nosiło nazwę Majdan. Na początek pod nóż poszedł zajebisty murek, super śliski i długi. Dalej Jaworski,





Majdan to była miejscówka, na której znajdowało się praktycznie wszystko
na zdjęciu Kamil wykorzystuje maleńki fragment placu
bord slide to fakie na nie kończącej się rurce
foto Fabjan











to był największy pomnik, jaki widziałem. Gutek nazwał go "Babą Walczącą". Naprawdę szalony drop in w wykonaniu Kamila
foto Fabjan



jak sam Tomek mówił przy Pałacu Ukraina znalazł on wymarzony murek
Tomek Kotrych, nose grind
foto Fabjan






Gołota i Kamil rzucali się na osiem schodów, wywołując przy tym masę braw. Tomek Kotrych i Gutek poprzestali na katowaniu murka i właśnie wtedy Ukraińcy zobaczyli pierwszy raz na własne oczy bluntslide.

Po jakimś czasie przenieśliśmy się na drugą stronę ulicy, po której jak wspomniałem tego dnia paradowały tłumy cieszących się kijowian, gdzie znajdowała się druga część spotu. Tam z kolei mieliśmy do czynienia z przeróżnymi wręcz schodami (ich kombinacji było tysiące) i poręczami. Jawor od razu po ujrzeniu łamanej, srebrnej rurki, wiedział, że musi ją zrobić. Nie trwało długo, zanim odjechał po boardslidzie.

Reszta chłopaków skupiła się na schodach, gdzie dawali "show" dla licznie przybyłych kijowian – nie chodzi mi tylko o skaterów, skaczących otoczył tłum zwykłych przechodniów, było to trochę dziwne uczucie.

Miejscówka jeszcze nie zdążyła nam się znudzić, a już kierownik Wojtek mówił o zmianie spotu. Tym razem kolesie z Ukrainy pokazali nam wyłożone czerwonym marmurem miejsce z supermurkami, trzema schodkami oraz zajebistą i trudną skarpą. Pierwsi do akcji przystąpili Gutek i Jaworski. Zrobili sobie kilka razy po ollie i podziękowali za uwagę, później swych sił próbowało jeszcze kilku (sztuka ta udała się też jednemu z miejscowych – Wadimowi, który jako jeden z nielicznych posługiwał się językiem angielskim), czego rezultatem był indy grab Kamila Piotrowskiego.

Po mrożącej krew w żyłach sesji, Gutek zapragnął czegoś więcej i poprosił o poręcz. Kijowianom było w to graj i zaprowadzili nas na dworzec kolejowy, który oczywiście okazał się następną wypasioną miejscówką. Po pierwsze, była tu wspomniana już przeze mnie rurka (była ona, podobnie jak ta na Majdanie, raz łamana). Tam nasz mały terminator Gutek zapiął sobie jakby nigdy nic fs. Boardslide. Po gromkich brawach, Kamil po chwili zastanowienia przeleciał sobie nad poręczą, najpierw ollie, a później frontside ollie. Spodobało się to bardzo stojącym tam bandziorkom, którzy nagrodzili go małą owacją.

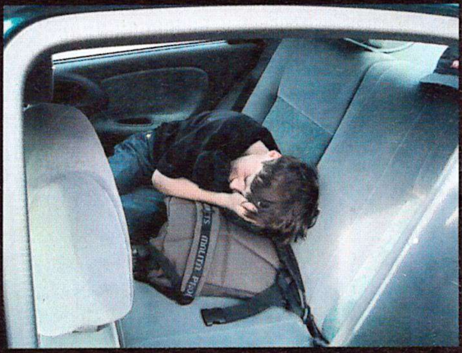
Po drugie, dworzec wyposażony był w dużą ilość murków w dół. Tam popis jazdy dali: Jawor (croocked), Gutek (bs. tail slide) i "man of the tour" Tomek Kotrych (fs. ollie na sw. 5-0 revert i kick flip nose slide). Po tych trikach zdaliśmy sobie sprawę, że jest już dosyć późno i bolą nas wszystkie mięśnie. Podziękowaliśmy ziomalom z Kijowa za pokazanie spotów i grzecznie udaliśmy się na zasłużony spoczynek.



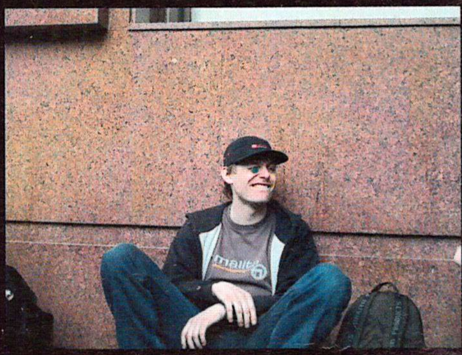
zaraz za tym murkiem znajdowała się budka milicjanta, nie przeszkodziło to Wojtkowi wykonać 5-0
foto Fabjan

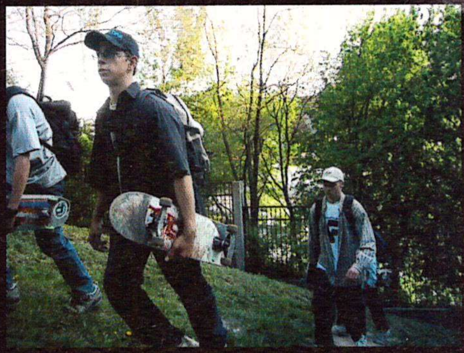


Gutek był pierwszą osobą na Ukrainie, która zrobiła tam fs blunt slide
foto Fabjan













UKRAINA

Najprawdopodobniej gdy usłyszycie hasło "Ukraina", od razu przyjdzie wam na myśl, że jest to państwo zacofane, biedne i brzydkie. Tak właściwie, to niczym się nie różni od Rosji, ba, nawet tam jest gorzej. Nie ma tam prądu, samochodów, i przysłowiowe psy szczekają tam tą częścią ciała, która normalnie służy im do czegoś innego.

Niestety, przyznać muszę, że ten mocno przesadzony obraz Ukrainy bardzo się od prawdy nie różni. Jadąc do Kijowa, przez około 600 kilometrów od granicy napotkaliśmy może ze trzy-cztery skupiska ludzkie. Fakt, że przemierzaliśmy nasz sąsiedni kraj była drogą wojskową (które chyba robili z dala od miast i wsi) może nieco poprawić opinię o rozwoju Ukrainy, ale widok kobiety ciągnącej pług zamiast konia, mówi sam za siebie. Nie ma co się oszukiwać, rozwój ich prowincji stoi na dużo niższym poziomie, niż w naszym i tak zacofanym kraju. Ale nie mówię o tym, aby dowartościować nas, Polaków, że jesteśmy lepsi przynajmniej od jednego państwa. Mówiąc o ukraińskiej ziemi, przypominającej raczej czasy XIX wieku, chciałem, abyście wyobrazili sobie wrażenie, jakie zrobiła na nas, Polaczkach, stolica owego "zacofanego" kraju, Kijów.

Nie ma co owijać w bawełnę, miasto to jest po prostu piękne. Nie myślcie sobie może, że są tam same stare budynki, które może kiedyś tam dawno były ładne, a teraz są starymi ruinami. Nie, otóż wszystkie budowle w centrum miasta są utrzymane w najlepszym stanie, a oprócz tego cały czas Kijów jest stopniowo "upiększany". Podobno dla krajów byłego ZSRR podstawą są reprezentatywne stolice i w całym kraju może być bieda aż piszczy, ale główne miasto musi po prostu oszałamiać. Nie przesadzę, jeśli powiem, że kiedy znalazłem się wieczorem w centrum Kijowa na głównym placu o nazwie Majdan (najlepsza miejscówka deskorolkowa) i zobaczyłem to miejsce – i tak w dzień robiące ogromne wrażenie – całe oświetlone, z mnóstwem fontann, tłumami ludzi na ulicy, poczułem się jak w jakiejś stolicy europejskiej. Nie bez znaczenia jest fakt, że burmistrz tego miasta ma firmę produkującą marmur i co trzy lata przeprowadzane są prace remontowe w ważniejszych punktach Kijowa...

Fakt, że większość miejsc wyłożona jest marmurem, sprawia, że spotów deskorolkowych jest mnóstwo. Albo właściwie to nie – można powiedzieć, że jest tam tylko jedna miejscówka, ale ciągnąca się przez całe centrum.

Ciągła przebudowa stolicy ma jeszcze inne zadanie (poza kwestią estetyczną), Ukraińcy koniecznie chcą zerwać z komunistyczną przeszłością i zależnością od Rosji. Dlatego właśnie prowadzone są ciągłe prace remontowe. Nie chcą, aby stare budowle przypominały im tamten ustrój. Mimo tego Kijów to oczywiście również skupisko pomników poświęconych komunizmowi, przyjaźni ukraińsko-radzieckiej itp. Przyznać muszę, że niektóre z nich robią piorunujące wrażenie. Jeden z nich, nazwany przez Gutka "Babą Walczącą", sprawił, że zamilkliśmy na moment po jego zobaczeniu. Był po prostu ogromny! Wyobraźcie sobie monstrualnie wielki pomnik kobiety trzymającej w jednej ręce miecz, a w drugiej tarczę z godłem ZSRR – sierpem i młotem. Budowla ta była tak kolosalna, że podobno utrzymanie jej kosztuje trzy miliony dolarów rocznie (ciężar sprawia, że zapada się ona w ziemię i gdyby nie prowadzone tam prace, przewróciłaby się prosto na Kijów – stoi na wzgórzu, skąd jest najlepszy widok na miasto).

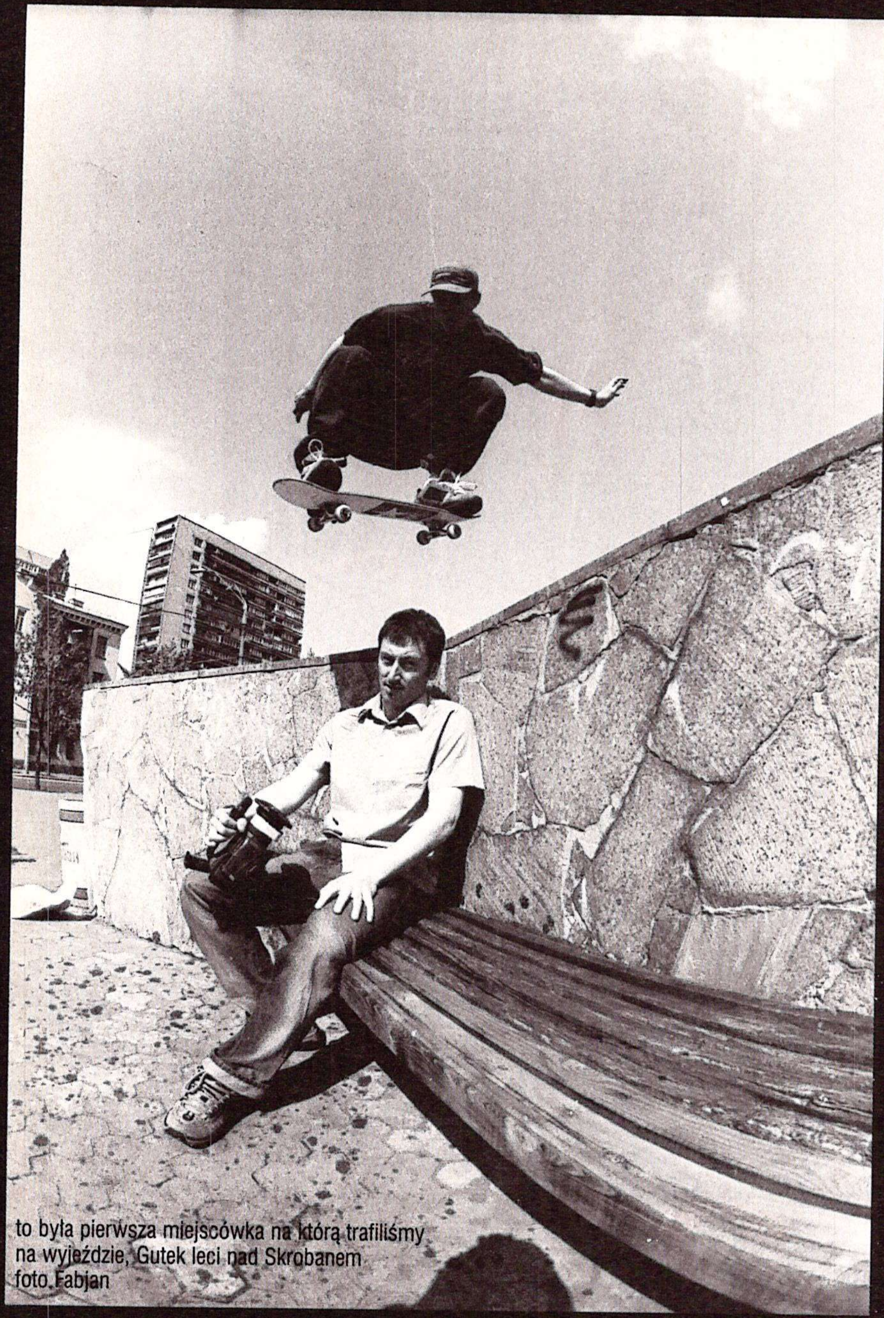
Oprócz "Baby Walczącej", z podobnych rzeczy przypomina mi się wielki pomnik symbolizujący przyjaźń ukraińsko-radziecką w postaci równie monstrualnej, ale tym razem tęczy, łączącej oba miłujące się kraje. Nastroje co do tych budowli były podobne jak u nas do Pałacu Kultury – Ukraińcy ich szczerze nienawidzili.

Druga rzecz, na jaką zwróciłem uwagę będąc tam, to fakt, że czułem się tam bezpiecznie. Nie powiem, jadąc do Kijowa spodziewałem się najgorszego – samych bandziorów ze złotymi zębami i strzałów na każdej ulicy. Rzeczywistość okazała się zupełnie inna. W czasie obchodów święta 1 maja wszyscy mieszkańcy wylegli na ulice w celach zabawowych. Jednak nie wyglądało to tak jak w Polsce. Na Ukrainie, gdzie pije się również alkohol (0,5 litra wódki kosztuje w przeliczeniu ok. 6 złotych), nie ma tylu awantur. Kijowianie pokazali, że umieją się bawić. W ogóle, w każdy weekend organizowane sa tam różne parady, pokazy sztucznych ogni, pokazy tańca. Myślę, że ma to na celu odwrócenie uwagi ludzi od najważniejszego problemu, czyli...

...biedy. Tak, niestety, patrząc na mieszkańców tak pięknej stolicy, mamy wrażenie, że nie pasują oni do tego miejsca. Widać, że zarobki nie są tam zbyt wysokie (zarabiając sto dolarów miesięcznie jest się niezłym gościem). Nie wiem, jak to jest, ale wydaje się, że wszystkie pieniądze z budżetu ładuje się w upiększanie Kijowa, zamiast na pomoc biednym. Jednak Ukraińcy, choć czasem zdarzało im się trochę ponarzekać, nie wyglądali na strasznie załamanych, kochali swoje miasto, z którego byli bardzo dumni, i sprawiali wrażenie optymistów. Z drugiej strony, to i u nas, w Polsce, też zaraz po obaleniu komunizmu było przeraźliwie biednie i jakoś teraz sytuacja się wyklarowała (nie, żeby panował dobrobyt, ale w porównaniu z Ukrainą jest naprawdę nieźle). Dlatego miejmy nadzieję, że Ukraina również jako tako stanie na nogach.

Podsumowując, bez namysłu zapraszam wszystkich do Kijowa. Szczególnie tych, których nie przekonał ten artykuł – tym większe będzie wasze zdziwienie i zachwyt. Ja tam na pewno wracam.

TOi Oi



to była pierwsza miejscówka na którą trafiliśmy na wyjeździe, Gutek leci nad Skrobanem
foto.Fabjan

I tak wyglądał praktycznie każdy dzień naszego pobytu w Kijowie. Deskorolkowanie przez cały dzień do utraty wszystkich sił. Uwierzcie, że centrum Kijowa (dodam, że jest ono bardzo duże) stanowi jedną wielką miejscówkę deskorolkową. Idąc ulicą co chwilę zauważa się jakieś warte skate'owania miejsce. Myślę, że nie ma miasta na świecie lepiej wyposażonego w spoty. Nawet na samym Majdanie, czyli na najgłówniejszym placu Kijowa, codziennie odkrywaliśmy coś nowego. Na zdjęciach zobaczycie, że możliwości, jakie dawała ta miejscówka, były nieograniczone. Te kilka dni, które tam spędzilismy, to stanowczo za mało. Trzeba by miesiąca, żeby wyjechać z Kijowa usatysfakcjonowanym, a na poznanie każdego nadającego się do jazdy terenu nie starczyłoby dwudziestego pierwszego wieku, zwłaszcza, że cały czas Kijów jest przebudowywany i marmurowe murki, schody i poręcze powstają jak grzyby po deszczu.

Warto jeszcze wspomnieć o budowli zwanej "Pałac Ukraina", którego przyległe tereny oczywiście wyglądały jakby projektował je skater. Doszło tam do paru ważnych dla wyjazdu sytuacji. Tam złamał sobie nogę Słonik, skacząc ze skarpy, tam Jawor sieknął przeogromne, podwójne schody, tam Tomek Kotrych zrobił swoje pierwsze triki na "prawdziwym" murku schodzącym w dół, tam wreszcie wyskoczyła do nas milicja z kałachami (na szczęście skończyło się bez rozlewu krwi).

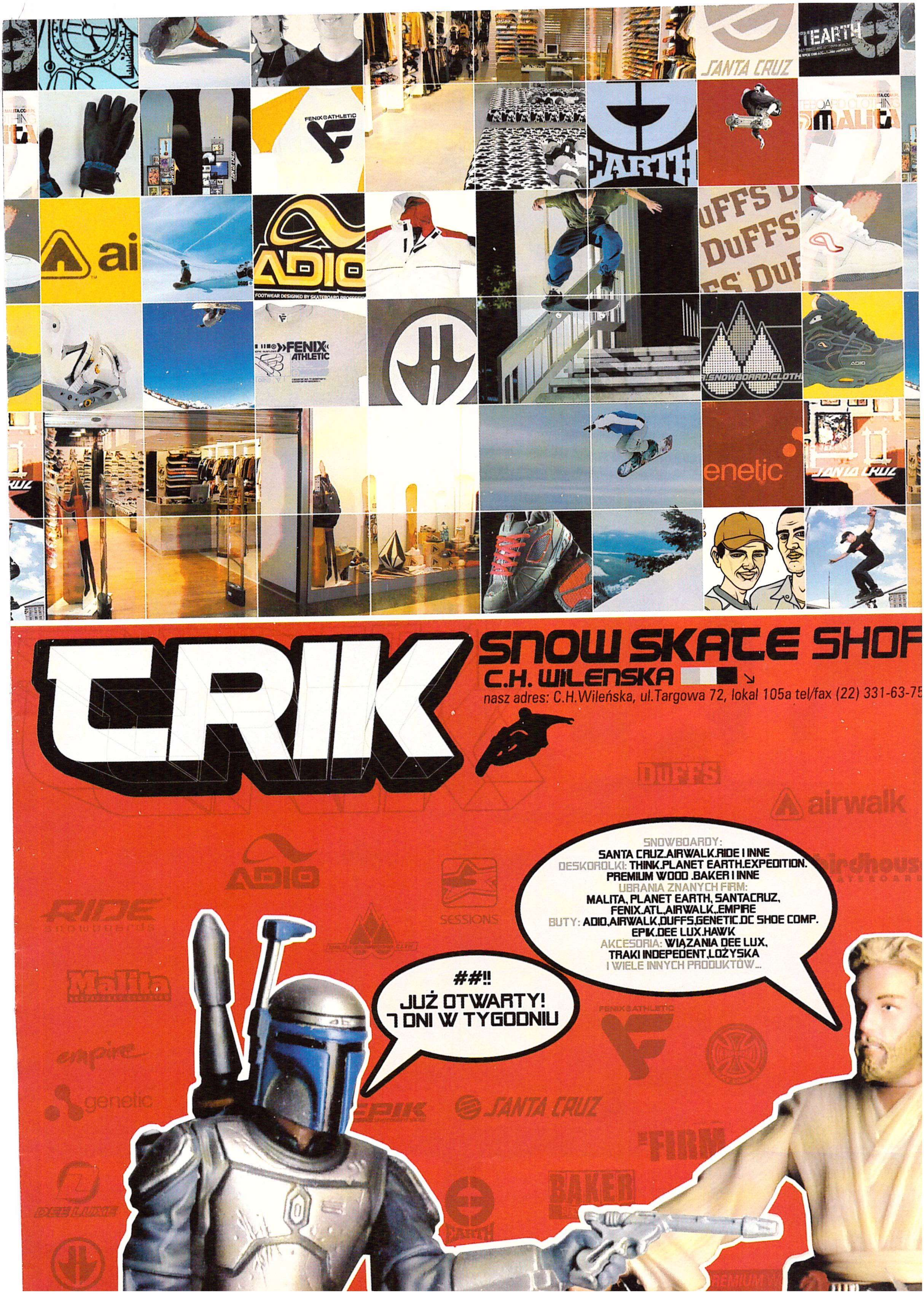
Podsumowując, wyjazd zaliczam do tych najbardziej udanych. Zobaczyliśmy piękne miasto, jakim okazał się Kijów, mimo początkowych małych rozczarowań. Jeździliśmy na najlepszych miejscówkach na świecie i przede wszystkim bardzo miło spędziliśmy tam czas.

TOi Oi





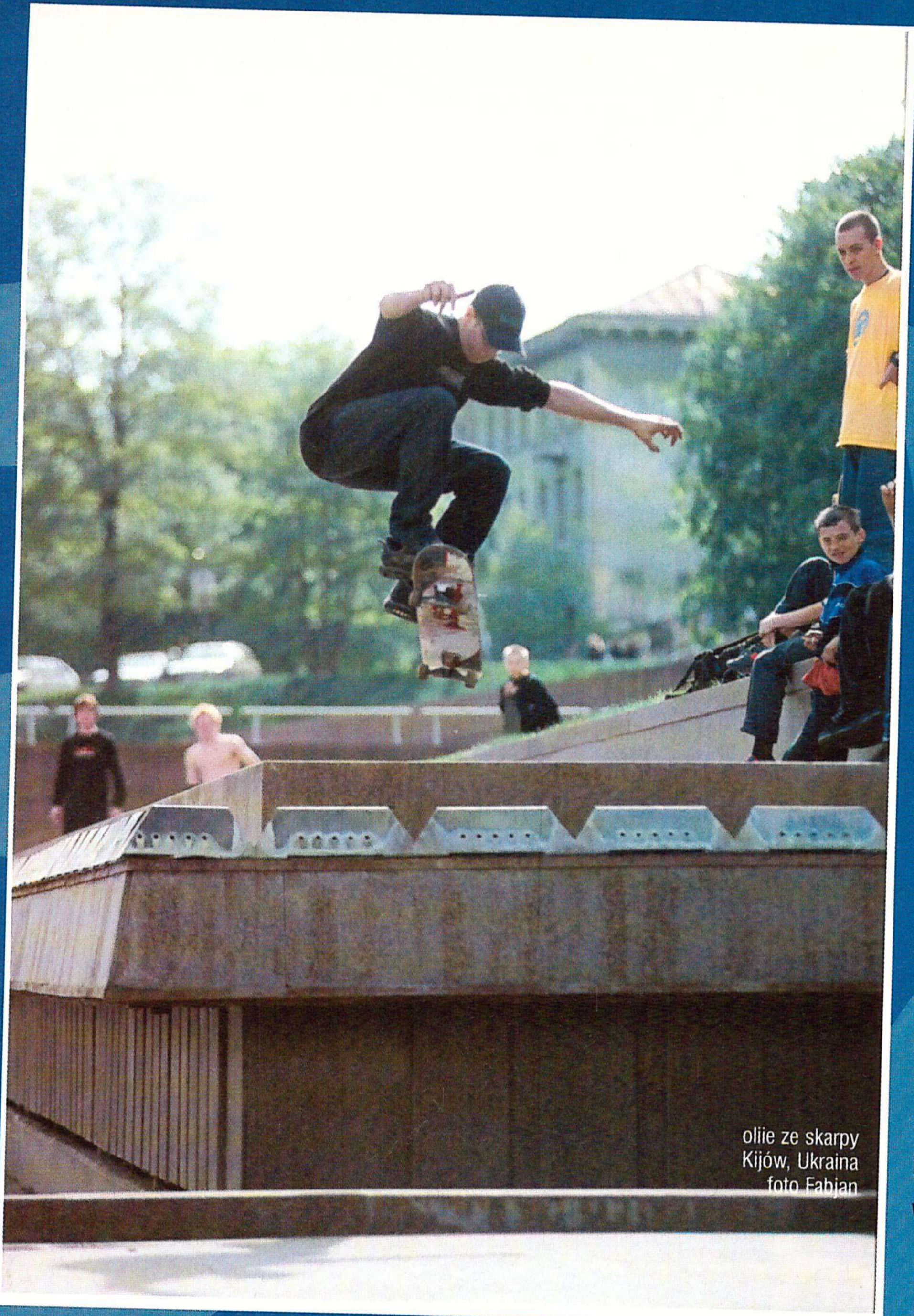




CRIK
SNOW SKATE SHOP
C.H. WILENSKA
nasz adres: C.H.Wileńska, ul.Targowa 72, lokal 105a tel/fax (22) 331-63-75
SNOWBOARDY: SANTA CRUZ.AIRWALK.RIDE I INNE
DESKOROLKI: THINK.PLANET EARTH.EXPEDITION. PREMIUM WOOD .BAKER I INNE
UBRANIA ZNANYCH FIRM: MALITA, PLANET EARTH, SANTACRUZ, FENIX.ATL,AIRWALK,.EMPIRE
BUTY: ADIO,AIRWALK,DUFFS,GENETIC.DC SHOE COMP. EPIK.DEE LUX.HAWK
AKCESORIA: WIĄZANIA DEE LUX, TRAKI INDEPEDENT,ŁOŻYSKA
I WIELE INNYCH PRODUKTÓW...
##!! JUŻ OTWARTY! 7 DNI W TYGODNIU



WOODCAMP 02
OBÓZ DESKOROLKOWY/ MALITA/ STORM SERIES
ORGANIZATORZY:
STORMSERIES
CITY SPORT EQUIPMENT
MALITA
MOJE WAKACJE
BIURO PODRÓŻY
Termin obozu:23.06-06.07 -1249 PLN
07.07-20.07 -1249 PLN
21.07-03.08 -1299 PLN
MIEJSCE: STRĘGIELEK, MAZURY
Wyżywienie: śniadanie, obiad, kolacja
Nocleg: hotel pok. 3, 4 osobowe, ubezpieczenie
Dojazd: autokar z video,wc, barkiem
Opieka medyczna na miejscu
PROGRAM OBOZU:
-nowy skatepark
-kadra trenerska min.gutek szymański
-wypożyczalnia deskorolek
-zawody deskorolkowe
-graffiti session
-video coaching
-muzyka w skateparku
-niespodzianki od sponsorów
-sklep na miejscu - promocyjne ceny
-i wiele innych atrakcji
nr.KONTA.KREDYT BANK.
.15001777 121770050416
tel(PREFIX)22-826-37-68
lub 828-36-35
UL.PRZESKOK 2\WWA
PATRONAT MEDIALNY:
Info
deskorolkowy magazyn video
VIVA
ŚLIZG
SPONSORZY:
ADIO
Shuvit
Ctyfma
MH
HawkShoes
SUB
SUB HARD MAPLE WOOD
FENIX ATHLETIC
empire
VISION STREET WEAR
mentor
skateboarding
montana
galeria koloru
WWW.RABEKO.COM.PL
STORM SERIES
MALITA
OBÓZ DESKOROLKOWY
WWW.WOODCAMP.COM.PL



oliie ze skarpy
Kijów, Ukraina
foto Fabjan



O Wojtku usłyszałem pierwszy raz od mojego kolegi Skury. Skura, znany w Polsce fotograf deskorolkowy, opisywał swojego młodzego kolegę jako świetną osobę do robienia zdjęć. Nie dość, że chłopak rzuca się na duże rzeczy, to w dodatku ma niezłą skuteczność. Pierwsze zdjęcie Jawora, jakie widziałem, to był kick flip z siedmiu schodów. Pomyślałem sobie, że coś z tego małolata będzie – miał wtedy czternaście lat. Przez ten czas, a było to jakieś dwa i pół roku, Wojtek wyrósł trochę, jego umiejętności również mają tendencję zwyżkową, a zajawka i determinacja, którymi wykazał się w czasie dwóch tourów Mality (po Polsce i Ukrainie), kazały mi przygotować ten wywiad i przedstawić wam próbkę jego umiejętności.

Wojtek Jaworski



niestety zdjęcie zrobione przez Janusza nie pokazuje należycie
jaka była przerwa między tymi czterema a trzema schodami,
uwierzcie że była duża
oliie Warszawa, kościół na ul. Rakowieckiej
bosekphoto

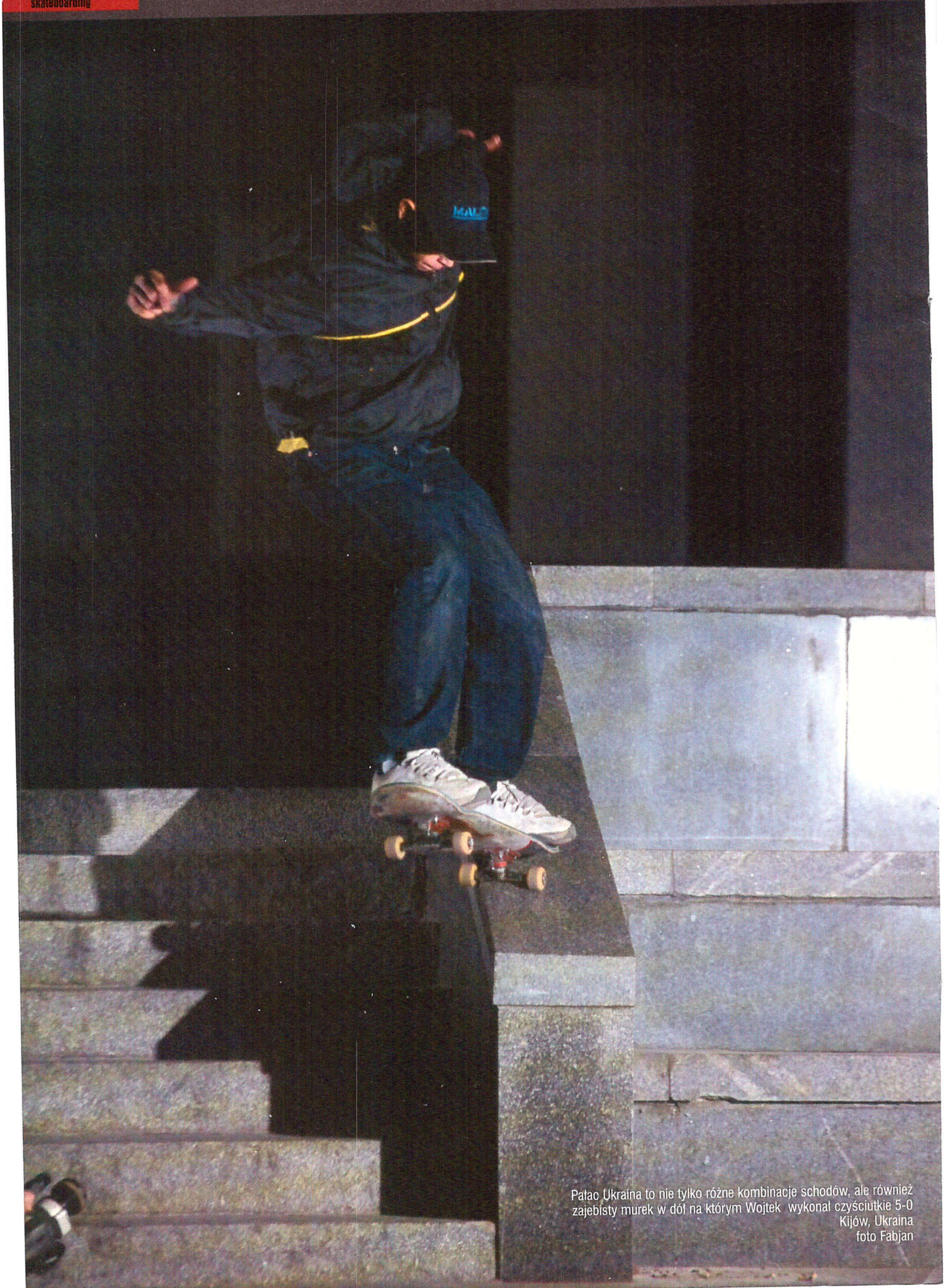


to była najbardziej hardcorowa poręcz wyjazdu, zwróćcie uwagę na mrożące krew w żyłach wystające z płotu kolce
boardslide
Kijów, Ukraina
foto Fabjan



Ile masz lat?
– 16, w tym roku kończę 17.
Powiedz coś o swoim mieście – Gliwicach.
– Wypas. Zadupie na Śląsku. W moim mieście dobrze mi się żyje, jest małe i to mi się podoba w nim. Nie ma tu żadnej kopalni, jest co prawda na obrzeżach w Sośnicy, ale to raczej daleko. Oprócz tego była też jakaś huta, ale w tej chwili to już chyba upadłość. Na deskorolce można jeździć tylko na Placu Krakowskim, jest tam blaszany skatepark, mureczki i rurki ze schodów – jest tam nawet fajnie. Miejsce to istnieje od roku, wcześniej jeździliśmy na Polibudzie, ale teraz ochrona cały czas nas wywala stamtąd. Tam z kolei jest tunel z dobrą nawierzchnią (co u nas jest rzadkością) i murek z boku. Więcej miejscówek nie ma, chyba że tylko takie na jeden trik, np. schody czy jakaś pojedyncza rurka. W ogóle to skateboarding istnieje w Gliwicach około ośmiu lat, ale ze starej ekipy już nikt nie jeździ. Chyba tylko Bomba, ale on jest z Zabrza i do Gliwic przyjeżdża na deskorolkę. Ja jestem w tym od czterech lat.
Ile miałeś lat, jak zacząłeś być sponsorowany?
– To było dwa lata temu, czyli miałem czternaście lat. To było tak, że najpierw Skura robił mi jakieś zdjęcia, które później były w gazecie, a jeszcze później, kiedy tour Mality zawitał do Katowic i Gliwic, jeździłem razem z nimi. Wtedy Adam (Malita) razem ze Słonikiem podeszli do mnie i powiedzieli, że na początek będą mi przysyłać rzeczy, ale tak nie zobowiązująco, a później dowiedziałem się, że będę normalnie sponsorowany i jestem w teamie Malita F-15. Jest to taki odłam Mality, w którym są skaterzy młodsi – teoretycznie do piętnastu lat, ale ja mam siedemnaście.
Czy to dobrze, że sponsoruje się osoby w tak młodym wieku?
– Dobrze, pewnie, że dobrze. Zawsze to jest jakaś dodatkowa motywacja. Poza tym wiadomo, że nie muszę wydawać kasy na ubrania, tylko mogę ją w całości przeznaczyć na kupno nowej deski. Jestem bardzo zadowolony ze swojego sponsoringu. Przydałyby się jeszcze tylko jakieś darmowe deseczki, bo wtedy mógłbym się skupić tylko i wyłącznie na samej jeździe, a nie cały czas kombinować, jak tu zdobyć forsę na sprzęt. Ale i tak jest dobrze.
Chciałbyś móc żyć z deskorolki?
– Pewnie, że byłoby to fajne, ale w Polsce nie da rady. Ja jeżdżę dlatego, że mi się to podoba, a nie, żeby mieć z tego kasę czy coś takiego.
Co Cię najbardziej motywuje do robienia lepszych trików?
– Jazda z lepszymi od siebie. Kiedy oni robią jakieś trudne triki, wtedy widzę na własne oczy, że jest to możliwe do zrobienie i wierzę, że mogę też to zrobić, albo nawet coś lepszego.
Twoje wrażenia z pobytu w Kijowie.
– Najlepsze miejscówki, jakie widziałem w życiu. Wyjazd był zajebisty, nie było tak, jak na tourze po Polsce latem, bo teraz był z nami Adam i nie mogliśmy tak imprezować... Kijów jako miasto był zajebisty, ale ludzie byli jacyś tacy szarzy i ponurzy, brzydko poubierani. Architektura miasta była wypasiona, poza tym teraz wszystko odnawiają. W porównaniu z resztą Ukrainy... to praktycznie nie ma żadnego porównania. Dwa różne światy. Bida z nędzą. Skaterzy też byli raczej dziwni, wiesz, ogólnie spoko, ale dla mnie było tam dziwnie. Szczególnie jeden koleś, który nazywał się Taras i miał styl Pająka, mnie denerwował. Jeśli chodzi o ich poziom, to widać, że się starają, ale trochę jeszcze musi upłynąć czasu, zanim się wszystko wyklaruje. To dopiero ich początki.
Właśnie, zapomniałbym o bardzo ważnej sprawie. Twój wyjazd stał pod bardzo dużym znakiem zapytania. Powiedz coś o tym.
– Tak, miałem pewne problemy z językiem polskim, a właściwie to z nauczycielką tego przedmiotu. Nie chciała mnie puścić, kazała mi zaliczać duży materiał i termin tej poprawki zbiegł się z tourem. Ale na szczęście w końcu mi to przełożyła i w rezultacie pojechałem. Wszystko zaraz po przyjeździe zdałem. Na mierny...
Które miejscówki podobały Ci się najbardziej?
– Najlepszy był ten główny plac, Majdan, szkoda tylko, że zawsze kręciło się tam tylu przechodniów, a oprócz tego to Pałac Ukraina – cały ten teren był wypasiony. Najbardziej z pojedynczych miejscówek podobały mi się podwójne schody właśnie tam, gdy je zobaczyłem, od razu wiedziałem, że z nich skoczę.
Z jakich trików z wyjazdu jesteś najbardziej zadowolony?
– Właśnie z tych schodów i z poręczy, tej z wystającymi kolcami na końcu.
Porównaj oba wyjazdy, ten na Ukrainę i ten po Polsce.
– Teraz w Kijowie było jeżdżenie, natomiast latem było... chlanie.
Czy takie toury dużo Ci dają, czy wpływają na Twój rozwój jako skatera?
– Zdecydowanie tak, jak już wspominałem, lubię jeździć z ludźmi, którzy są ode mnie lepsi. U mnie w Gliwicach jak wychodzę na deskę, to codziennie praktycznie robię te same rzeczy, gdyż można jeździć tylko w jednym miejscu. A jak jest jakaś wspólna wyprawa, to jaram się, że są nowe miejsca i od razu przychodzą pomysły na nowe numery. Poza tym na takim wyjeździe jestem na desce cały dzień, a w domu najpierw szkoła, później jakiś zasrany trening i później dopiero mogę pojeździć. Generalnie w Polsce jest niestety za mało miejscówek do jazdy, gdyby było ich więcej, od razu byłoby lepiej ze wszystkim. Nie wszędzie jest tak samo, na przykład w Warszawie jest gdzie dobrze pojeździć, tak samo w Katowicach.
Często jesteś w Katowicach?
– Staram się co tydzień, jak mam transport, bo pociągiem tam nie lubię jeździć.

na te schody Jawor czekał cały wyjazd, była to pierwsza miejscówka, jaką zobaczyliśmy, ale zdecydował się z nich skakać dopiero ostatniego dnia
ollie z 9 schodów z przerwą, przy Pałacu Ukraina
Kijów, Ukraina
foto Fabjan



Pałac Ukraina to nie tylko różne kombinacje schodów, ale również zajebisty murek w dół na którym Wojtek wykonał czyściutkie 5-0
Kijów, Ukraina
foto Fabjan



szalony crooked grind przy dworcu kolejowym
Kijów, Ukraina
foto Fabjan

Najczęściej jeżdżę tam z Kosmosem, Młodym i Skurą, który robi zdjęcia. Spotykamy się z kolesiami z Katowic i razem jeździmy. W tym mieście jest lepszy poziom, niż w Gliwicach, gdzie w sumie teraz deskorolkują tak długo i systematycznie dwie osoby, ale też nie jest szczególnie zajebiście. Dużo osób ogólnie na Śląsku przestało jarać się skateboardingiem. Na uwagę zasługuje np. Bartek Morawiec. W Katowicach dużo lepiej było kiedyś, jak przychodził jeszcze Kotas, Sołtysiki się częściej pojawiali.

Wspomniałeś przed chwilą coś o jakichś treningach – o co chodzi?

– Od dziesięciu lat trenuję judo, ale teraz już mi się nie chce tego robić. Niestety, rodzice bardzo na to nalegają. Uważają, że jak przestanę trenować, to nic nie będę robił, tylko pił wina i jeździł na desce...

A co, są przeciwni skateboardingowi?

– Nie, raczej nie, na początku śmiali się ze mnie, że chodzę w takich wielkich spodniach, ale szybko mi to przeszło i teraz już takich nie noszę. Rodzice raczej mi pomagają, ojciec załatwił mi na przykład Kijów – pogadał z polonistką. Ale oni chcą, żebym trenował przynajmniej do matury, bo wtedy będę miał wjazd na AWF, gdzie chciałbym w przyszłości studiować.

Masz jakieś osiągnięcia w judo?

– Jakieś tam mam... Swego czasu byłem dwukrotnym mistrzem Polski, najpierw w kategorii do 55 kilogramów, a później do 60. Teraz jak startowałem już z juniorami, to startowałem po raz pierwszy do 66.

Czy przegrałeś dużo walk?

– Trochę ich tam było, ale nie pamiętam wszystkich swoich potyczek.

Czy to, że trenujesz judo, pomaga Ci w jeździe?

– Trochę mi pomogło. Nie zaliczam konkretnych gleb, kiedy mi nie wychodzą triki, bo zawsze się wyratuję jakimś padem (śmiech). Na przykład padem cuge eri (śmiech). Zostały mi po prostu takie nawyki, że kiedy lecę np. na głowę z wysokości, to zawsze instynktownie wyratuję się i spadam na cztery łapy.

Jaki masz pas?

– Brązowy, to jest jeden przed czarnym.

Jesteś w kadrze Polski?

– Kiedyś byłem, ale teraz zmieniłem kategorię wiekową na juniorów i jeszcze nic nie wygrałem, więc nie mieli powodu, aby mnie powołać.

Mógłbyś dalej kontynuować jedno i drugie?

– Oczywiście. Chociaż muszę powiedzieć, że judo jest o dziwo bardziej urazowe, niż skateboarding. Ale ogólnie to nie chce mi się już trenować judo, wolę deskorolkę. W tym roku np. nie jadę już na obóz treningowy, tylko wybieram się na Woodcamp.

Jakie rzeczy lubisz robić na deskorolce?

– Najbardziej podobają mi się duże akcje: schody, poręcze, skarpy...

Dlaczego?

– Po prostu mnie to bardziej jara. Techniczne triki mi po prostu gorzej wychodzą, więcej muszę poświęcić czasu na naukę takich trików. To wcale nie znaczy, że nie staram się tego opanować, ale po prostu więcej przyjemności sprawiają mi triki tzw. "hardcore'owe". W Polsce mało osób prezentuje ten styl jazdy, a przecież fajnie jest, jak jest jest bardziej różnorodnie – jest wtedy ciekawiej.

Jak to jest, jak widzisz jakąś np. poręcz, to od razu wiesz, że będziesz ją atakował?

– Na początku sprawdzam dojazd, odjazd, wysokość i później się robi... (śmiech) Pierwsza próba jest zawsze ze strachem, ale takim kontrolowanym, bardziej jest to obawa, niż strach. A później, jak widzę, że po pierwszym razie nic mi się nie stało, dalsze próby są ze spokojem. Jak za pierwszym razem się wbiję bez trudu na przeszkodę, to już później się jej nie boję.

Jaki zrobiony przez siebie trik uważasz za najbardziej harpagański?

– Porwałem się na poręcz w Krakowie, która sięgała mi po pachy – ale w rezultacie nie udało mi się jej zrobić do końca, bo była za stroma i wbijałem się w ziemię przy zejściu.

Powiedz cos o Waszym śląskim projekcie, czyli o filmie.

– Mój udział ogranicza się do tego, że będzie w nim mój przejazd. Film nagrywa Kosmos, a w montażu pomagają mu Skura i Miśko – koleżka, który zna się na komputerach i pomagał im składać materiał. Miśko nagrał jeszcze intro do filmu, które będzie niezłym wypasem. Przejazdy będą jeszcze mieli Młody i Bartek Morawiec, a oprócz nich pojawią się jeszcze inne osoby ze Śląska.

Jeździsz na snowboardzie?

– Tak, zdarzyło mi się, ale wolę deskorolkę. Na snowboard brakuje mi czasu. Ale traktuję to zajęcie też jako zajawkę na robienie trików, a nie jak sport typu narty. Lubię wybudować sobie skocznię albo pojeździć na handrailach, choć nie jestem jakimś mistrzem. Robiłem tylko podstawowe slide'y: frontside i backside. Dużo łatwiej się jeździ na poręczach na snowboardzie, niż na desce. Szczególnie, gdy poręcz jest metalowa, raz próbowałem jeździć na snowboardzie na poręczy drewnianej z sękami i nie było tak fajnie... (śmiech)

Masz taką miejscówkę, którą widziałeś i chciałbyś coś na niej zrobić, ale się boisz i na razie czeka ona na swoją kolej?

– Nie, chyba nie ma takiej. Chociaż, nie, jest coś takiego. Jest taka poręcz w Gliwicach – bardzo stroma, jeszcze tam nie jeździłem, ale chciałbym coś tam zrobić, np. boardlide.

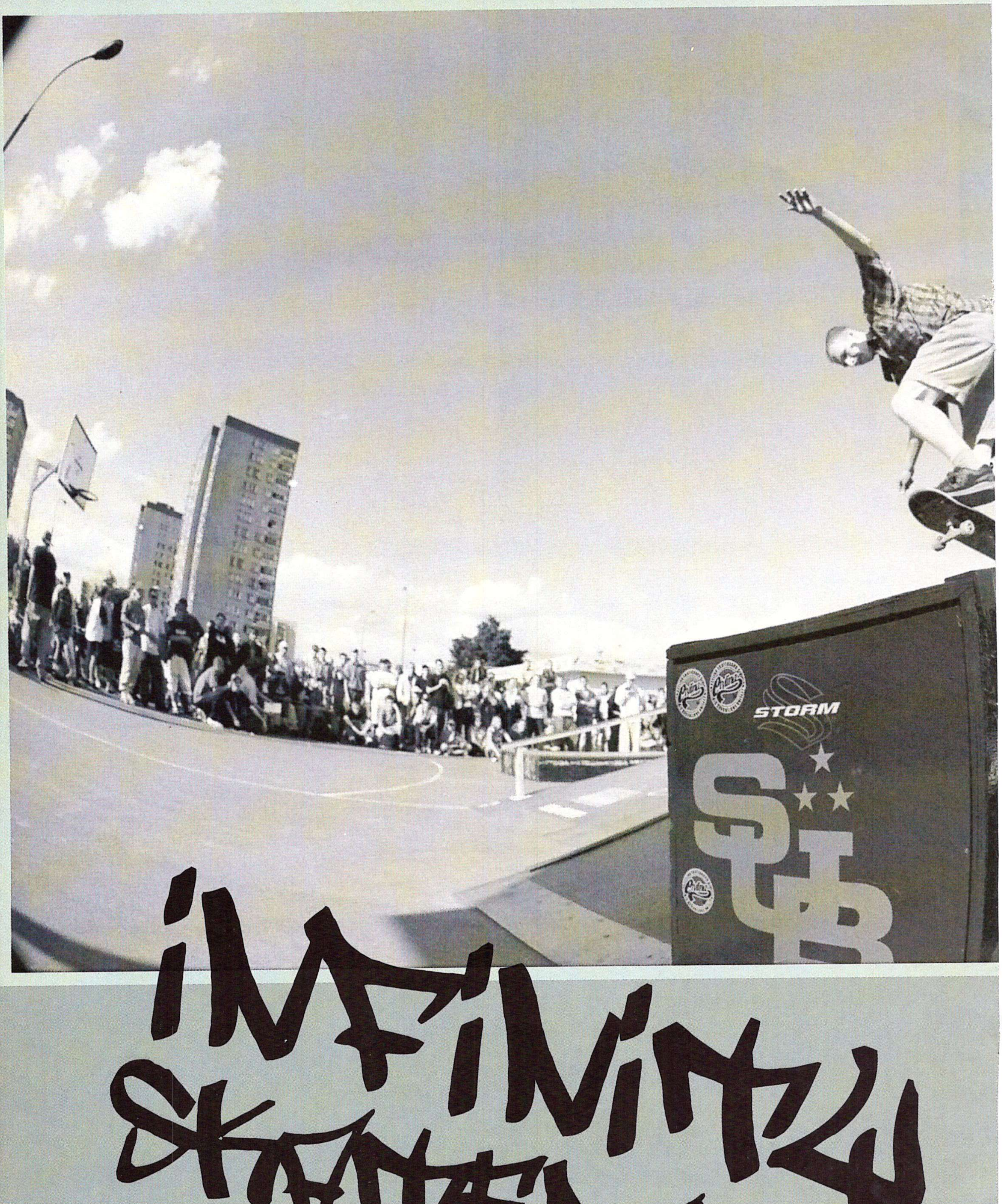
Przypomnijmy sobie Twoją wypowiedź w Vivie, gdzie powiedziałeś, że uważasz się za prosa. Czy potwierdzasz to?

– Nie, cofam to. To było beznadziejne, beznadziejna telewizja i beznadziejny wywiad. Pro to ktoś, kto żyje z deskorolki, dostaje za to pieniądze, nie wiem, co mną kierowało, gdy to powiedziałem – byłem zdenerwowany i gadałem głupoty.

Czy dużo pracowałeś nad kręceniem swoich materiałów?

– Właśnie nie za bardzo, ale trochę numerów nagraliśmy. Przejazd będzie trwał około półtorej minuty.

Rozmawiał Toyboy



INFINITY SKATEPARK



Karol Furmańczyk
baskside 5-0
bosekphoto



Michał Majewski
crooked grind
foto wzr

Gocław, moi drodzy to jest takie osiedle, zwyczajne blokowisko w Warszawie. Na pozór nie różni się ono od innych tego typu zabytków minionego okresu, ale jednak jest coś, co odróżnia je od reszty. Tym czymś są mieszkańcy, którzy nie biorą przykładu z podobnych im "żyjących w betonowych dżunglach" i nie spędzają życia wyłącznie na narzekaniu: "ale to w życiu jest kiepsko", tylko biorą sprawy w swoje ręce i próbują coś na swoim osiedlu zmienić.

Dobrze, dość tych pochwał na ich cześć, bo gotowi sa pomyśleć nie wiem co. Czas przystąpić do początku historii...







zdobywca I miejsca Szymon Wotysiak
crooked grind
bosekphoto



Gutek Szymański
ollie transfer na backside lipslide
bosekphoto

Na Gocławiu deskorolka istniała od samego początku tej zajawki w Polsce. Już w końcu lat 80. powstawały tam pierwsze ekipy. Waz z rozwojem całego ruchu liczba skaterów rosła. Pamiętam, że miejsce to znane było z tego, iż chłopaki budowali tam zawsze jakieś skateparkowe przeszkody, powstała nawet na Gocławiu pierwsza w historii chyba całej Polski mini rampa (zainteresowanych odsyłam do filmu "Paranoja", gdzie podziwiać można triki właśnie na tym obiekcie). Nie wszyscy kolesie, którzy jeździli w tych odległych czasach, wytrwali na deskorolce do dziś, ale kilku z nich, takich jak np. Marcin Majewski, Zielik czy Piotrek Jaskulski są cały czas w grze. Jednak to, że większość ze starej ekipy gocławskiej nie jeździ już na skateboardach, nie znaczy, że mają w dupie całą sprawę i myślą tylko o swoich interesach i pieniądzach. Okazało się, że pamiętają o tym, iż sami kiedyś marzyli o lepszych warunkach do jazdy i postanowili zrobić coś w tym kierunku. Pamiętam, jak jakieś kilka miesięcy temu jeden z nich, Afra, mówił, że chciałby mieć swój własny skatepark. Szczerze pisząc, to nie sądziłem, że bardzo szybko zobaczę to na własne oczy...

Na początku maja, podczas jednej z posiadówek na boisku do kosza, chłopaki nagle spontanicznie stwierdzili, że zajebiście byłoby wybudować skatepark właśnie w tym miejscu. Pomysłodawcą był podobno nie kto inny, tylko właśnie Afra, a nazajutrz wspólnie przystąpili do dzieła.

Co jest w tym wszystkim najfajniejsze, poza sprawami niewątpliwymi, takimi jak zorganizowanie i zgranie całej ekipy, która – uwierzcie mi – pracowała lepiej, niż niejedna brygada polskich robotników na saksach? Otóż najfaniejsze w tym wszystkim jest to, że praktycznie na cały skatepark nie zostały przeznaczone żadne ogromne kwoty. Nie to, żeby nie pomógł im w tym szczęśliwy los w postaci pobliskiej budowy Mostu Siekierkowskiego (o który mówi się w kuluarach, że był nieoficjalnym sponsorem skateparku...), ale faktem jest, że poza zapałem i czasem chłopaki nie włożyli w to żadnych większych inwestycji. Przykład godny naśladowania, mam nadzieję, że podobnych akcji będzie teraz więcej – już słyszałem, że chłopaki z Mińska Mazowieckiego budują funbox z handrailem. Pamiętajcie, że tam, gdzie nie pomaga nam nikt inny, trzeba pomóc sobie samemu.

Budowa skateparku, który został nazwany Infinity Skatepark, to nie wszystko, co zrobiła ekipa z Gocławia. W dniach 18-19 maja zorganizowane zostały zawody dla niesponsorowanych skaterów i otwarty konkurs na najlepszy trik i najlepsze ollie. Kontest dla zawodników bez sponsorów odbył się w sobotę. Do zawodów zgłosiła się dość znaczna ilość młodszych oraz kilku starszych zapaleńców skateboardingu. Jako że impreza miała z założenia charakter wybitnie lokalny, byli oni w większości z Warszawy. Przyznać muszę, że starali się na maksa, i nie wyglądało to jak typowe polskie zawody, gdzie "i tak wiadomo, kto wygra", tylko do samego końca nie było wiadomo, kto zgarnie główna pulę. A choć impreza była całkowicie nielegalna i undergroundowa, znaleźli się sponsorzy, tacy jak Metoda, Savier, Storm, Sub Skateboards, Etylina i Vert, którzy wspomogli tę zajebistą inicjatywę i ufundowali nagrody oraz zapewnili takie atrakcje, jak np. darmowe jedzenie dla wszystkich przybyłych. Dodajmy, że wstęp na imprezę był oczywiście darmowy.

Wracając do samych zawodów, skończyło się na tym, że w finale znalazło się czterech kolesi: Maciek Ambroziak, Mariusz Kusiewicz, Karol Furmańczyk i Szymon Wojtysiak. W końcowej walce byli oni już bardzo zmęczeni, ale i tak nie przeszkodziło im to w pokazaniu całej serii zajebistych trików. Szymon – faworyt "gospodarzy", pochodzący właśnie z Gocławia, jeździł jak nakręcony, croocked i 5-0 w dół murka oraz ollie transfer na board slide robił za każdym razem. Mariusz chyba na koniec trochę się spiął, ale i tak pozostawił po sobie ślad niezłym kickflipem i 50-50 na murku. Karol Furmańczyk okazał się być niezłym pechowcem, gdyż złamał deskę i kończył imprezę na pożyczonej, ale i tak nie przeszkodziło mu to w wykonaniu najlepszego według mnie numeru w całych zawodach, czyli bs. 5-0 przez cały duży murek. Jednak największym brakiem szczęścia "popisał się" w tym dniu Maciek. Przez całe eliminacje jeździł jak szatan, wychodziły mu wszystkie triki, a na początku drugiego przejazdu finałowego doznał kontuzji, która wykluczyła go z walki o nagrodę główną. Nie wiem, czy sprawa jest poważna, ale miejmy nadzieję, że wróci szybko na deskę. W rezultacie zwycięzcą został Szymek – lokal hero, który w hałasie wiwatów licznie przybyłej widowni odebrał co jego.

Po zawodach przyszedł czas na następna atrakcję dnia, czyli występ dwóch hip-hopowych składów Radia G i THS.

Następny dzień przyniósł ze sobą piękną pogodę i impreza miała mieć z założenia charakter jamu. Nie było tego dnia żadnych zawodów z przejazdami, tylko wszyscy mogli sobie naraz jeździć i dobrze się bawić. Po pewnym czasie został rozegrany best trick contest, w którym mógł wystąpić każdy, niezależnie od tego, czy posiada sponsora czy nie. I kiedy na placu boju pojawił się Gutek, niestety większości skaterów od razu zrzedła mina i usiedli sobie, patrząc na to, co robi. A uwierzcie mi, że było na co patrzeć. Razem z nim jeździło jeszcze kilku gości, m.in. Tomek Kotrych, Michał Majewski, Beniamin Kojło i ulubieniec publiczności, Jaźwa, znany z ZIP Składu. Jak wspomniałem, było co oglądać: Benek upodobał sobie małą piramidke z handrailem i rzucił tam sobie ollie transfer na smith i nose gind na tak zwanym pełny luzie. Tomek najpierw zapiął frontside ollie sw 5-0 revert, a później pokazał swoja popisówkę, czyli fakie fs. nose slide. Jaźwa próbował szalonych transferów z banku na drugi bank, jednak zabrakło



Artur Podgórski
nollie hardflip
foto wzr

mu szczęścia. Natomiast zwycięzca best triku, Gutek, zaprezentował, jak robi się kick flip bs. tail slide, croocked przez cały murek i ollie transfer na backside lipslide. Nie było wątpliwości, kto ma wygrać.

Przyszedł czas na rozegranie konkursu na najwyższe ollie. Główna walka została rozegrana między Tomkiem Kotrychem a Jankiem Szymańskim. Zwyciężył ten pierwszy, przeskakując siedem desek (jak mówił, opłacało się skakanie przez decki pod Grobem Nieznanego Żołnierza), ale Jankowi niewiele brakowało, aby też pokonać tę wysokość.

Po tych "skatowych atrakcjach", miał nastać czas na kolejny element programu, czyli koncert Hemp Gru i Molesty. Niestety, nie doszło do tego. Czemu? Zaraz wam wyjaśnię.

Jak pisałem, impreza była czymś absolutnie nielegalnym. Była zorganizowana prawie całkowicie spontanicznie i undergroundowo, a to nie musiało się, niestety, wszystkim podobać. Znalazło się kilku pieprzniętych, którym przeszkadzało to, że młodzi ludzie bardzo dobrze się bawią i nie marnują czasu na różne głupoty, i zadzwoniło do pewnej – dodam, że niezbyt lubianej instytucji – aby jej przedstawiciele zamknęli imprezę. I rzeczywiście, dwóch umundurowanych funkcjonariuszy przy głośnych okrzykach tłumu, kłócąc się z organizatorami, kazało wyłączyć nagłośnienie i tym samym uniemożliwiło odbycie się koncertu. A szkoda, bo widać było, że przedstawiciele składów, które miały wystąpić (szczególnie Bilon i Wilku z Hemp Gru), byli zajarani zawodami deskorolkowymi i mógł to być zajebisty koncert. A tak skończyło się na pogłębieniu niechęci do instytucji, która zamiast blokować zajebiste inicjatywy, powinna ścigać przestępców i ściągać babciom koty z drzew. Ten smutny koniec nie popsuł jednak humorów. Całe dwa dni była świetna atmosfera, zajebisty skateboarding, muzyka, super pogoda.

Chłopaki z Gocławia udowodnili, że jak się chce, to można coś zorganizować nawet w naszym kraju i wystarczą do tego tylko dobre chęci i zapał.

WYNIKI

1. Szymon "Szymek" Wojtysiak
2. Maciek "Rekin" Ambroziak
3. Karol Furmańczyk
4. Mariusz Kusiewicz

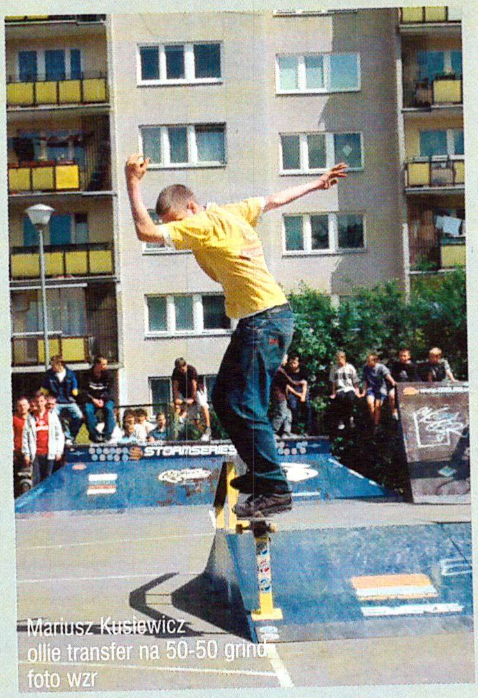
BEST TRICK

Gutek Szymański

NAJWYŻSZE OLLIE

Tomek Kotrych

TOi Oi



Mariusz Kusiewicz
ollie transfer na 50-50 grind
foto wzr







Tomek Kotrych
tail slide
bosekphoto


85 FENIX TEAM:
TADEUSZ SZYMAŃSKI [GUTEK]
PAWEŁ PRZYBYŁ
MARIUSZ ROGALA
ZBYSZEK KACZMAREK
TOMEK KOTRYCH
MC:
CZŁOWIEK NOWEJ ERY [CNE]
WUJEK SAMO ZŁO
DYSTRYBUCJA:
UL.POLSKA 25 WARSZAWA
TEL: 22/651-08-67
E-MAIL:SIEDEMZERO@WP.PL
RIDER: FRONTSIDE SLIDE
TADEUSZ SZYMAŃSKI [GUTEK]
FOTO: FABIAN
WWW.FENIXATL.COM
A0085 MADE IN POLAND
S M L XL XXL
FENIX® ATHLETIC
FENIX®ATHLETIC REGISTERED TM CODENM A0085
CLOTHING

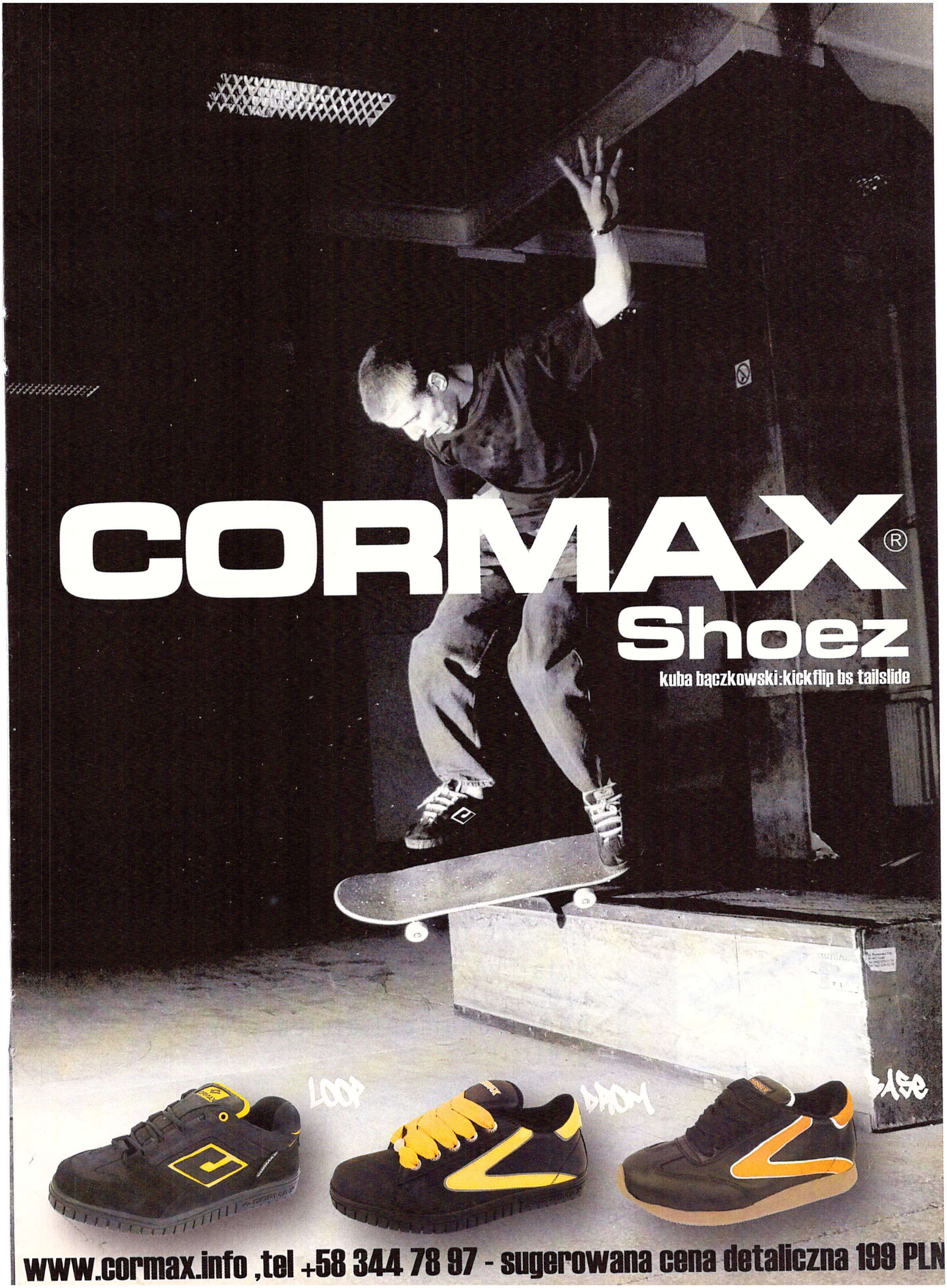


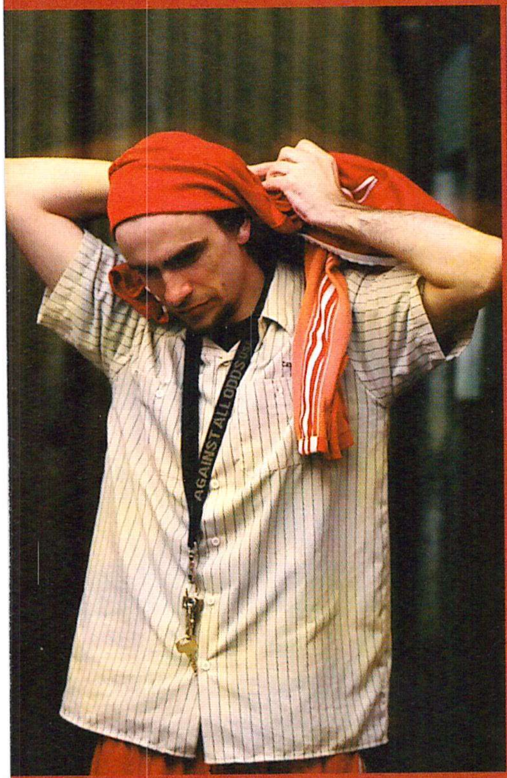
ZASADNICZA SZKOŁA DESKOROLIKI

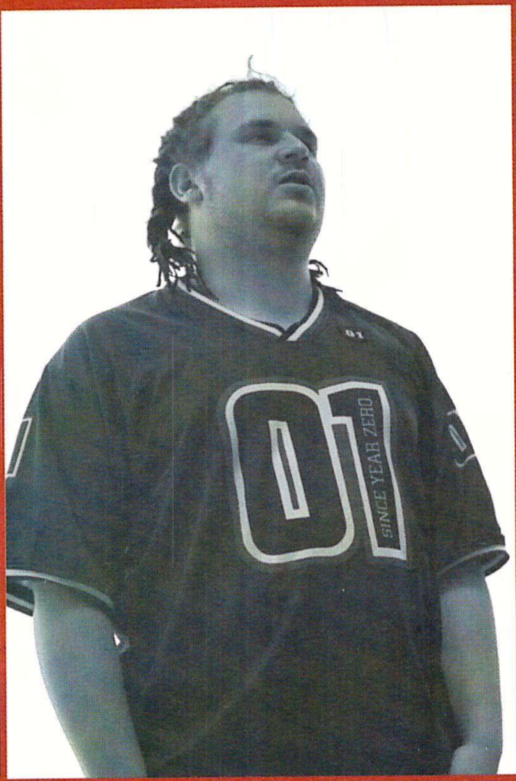
pokazuje i objaśnia:
dr Paweł Przybył

1) Rozpędzasz się z odpowiednią dla siebie prędkością.
2) Nogi trzymasz tak samo jak do ollie, z tym, że przednią nogę trzymasz trochę bardziej wysuniętą w bok.
3) Po naciśnięciu na tail (tak samo jak przy ollie), przednią nogą kopiesz w bok.
4) Deska obraca się.
5) Lądujemy amortyzując ugięciem kolan.
6) Po zrobieniu triku szybko szukamy jakiejś przeszkody do przeskoczenia kick flipem...




CORMAX®
Shoez
kuba bączkowski:kickflip bs tailslide
LOOP
DROM
BASE
www.cormax.info ,tel +58 344 78 97 - sugerowana cena detaliczna 199 PLN





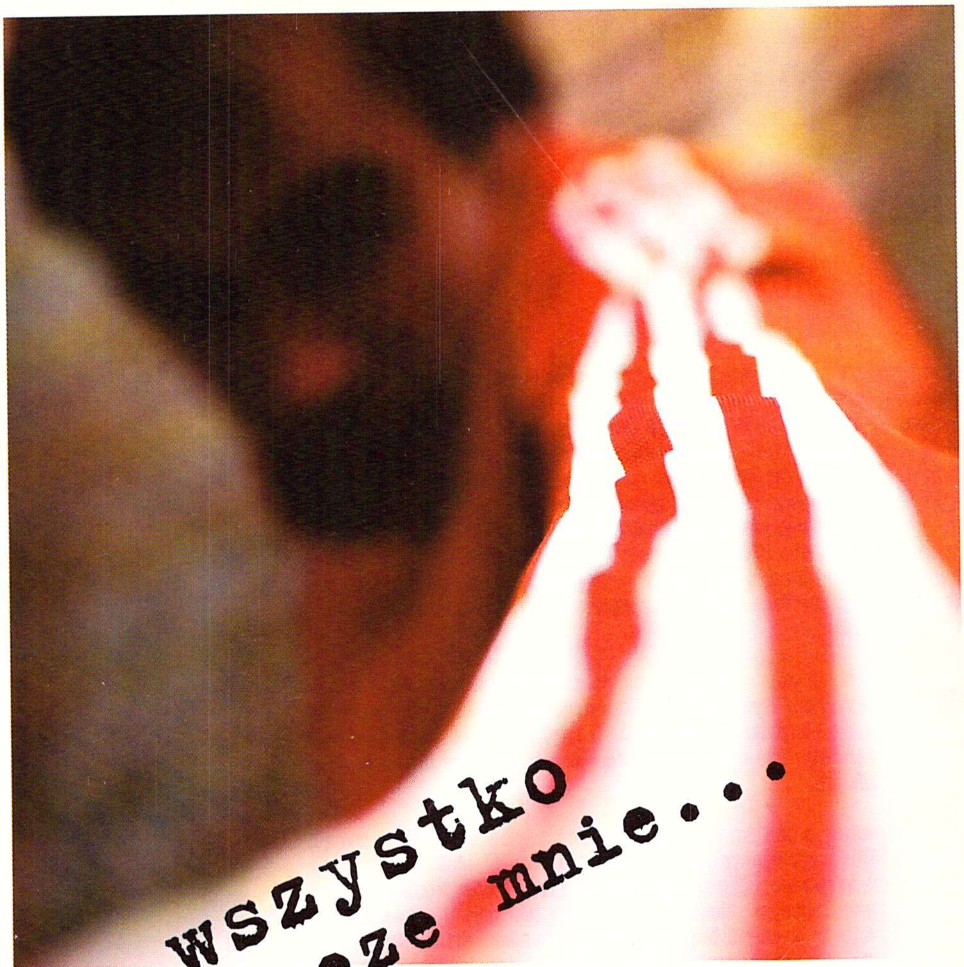


>

fisz
peja
red
bboy dokument kielce jam
graffiti

fisz





Rym i rytm - wszystko przefiltrowane przeze mnie...

Dlaczego FISZ? Nie lubię tego pytania. To po prostu zestaw liter, do którego nie jestem przywiązany. Często podłączane są do tego rozwiązania „fish - ryba", albo „Fisz z Marillion" – zupełnie niepotrzebnie. To był abstrakcyjny pomysł i tak już zostało.

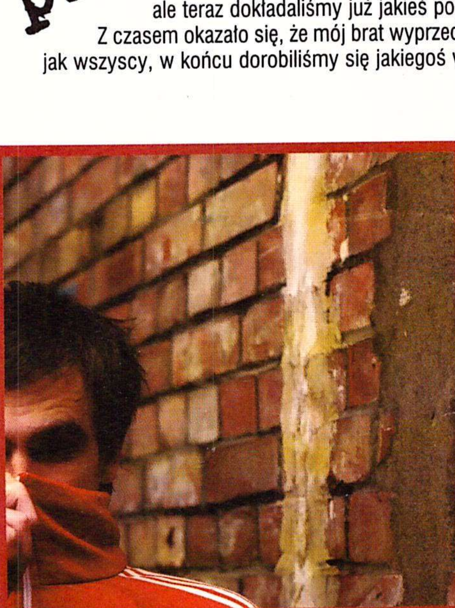
Zawsze chciałem robić jakąś muzykę. Jeżeli chodzi o hip-hop, to tutaj były różne etapy. Pierwsza faza to zapoznanie się z pierwszą płytą Beastie Boys. Potem było Run DMC. Pamiętam, że był z tym problem, bo ta muzyka bardzo ciężko dochodziła do Polski. Mieliśmy mgliste pojęcie, czym tak naprawdę jest hip-hop, większości kojarzyło się to z Vanillą Ice i MC Hammerem. Porządną płytę trzeba było ściągać własnymi kanałami.

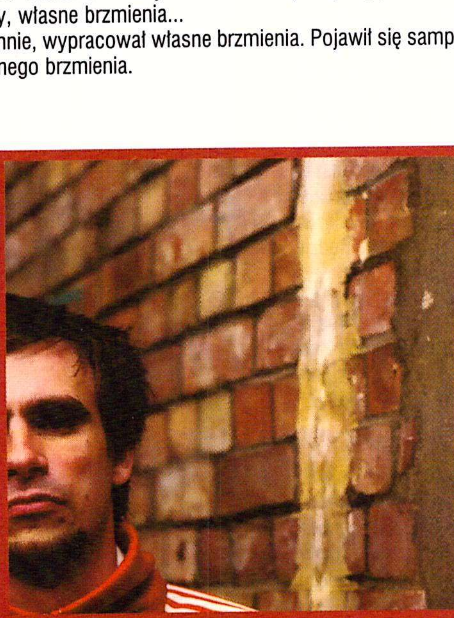
1993 rok, MTV zaczęło puszczać „Yo! Raps". 1993, 94, co płyta, to właściwie klasyk. Niesamowite nagrania, w muzyce dużo jazzu, muzyki, która zawsze była w moim domu. Także reggae, soul, funk.

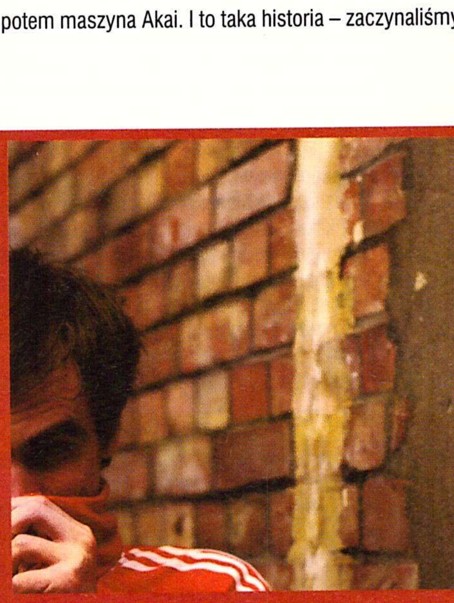
Potem okazało się, że można też po polsku. Pojawiła się składanka S.M.A.K. Beat, pierwsze nasze beaty i rymy. To pokonało obowiązujący stereotyp, że rap to muzyka czarna, że nie ma sensu tego przekładać na język polski.

Chciałem też robić to sam. Najpierw trzeba było zdobyć komputer. Mieliśmy kolekcję hip-hopowych płyt i pierwsze nasze próby polegały na tym, że w jakimś najprostszym edytorze wyrywaliśmy fragment płyty, np. jakiś werbel. Cięło się Premiera i okazywało się, że z tego można tworzyć coś nowego. To oczywiście nie było nasze, to było ukradzione, ale takie były pierwsze kroki. Potem ta zabawa popchnęła nas do szukania własnych brzmień. Pojawiły się pierwsze programy komputerowe, dalej kradliśmy beaty Premiera, ale teraz dokładaliśmy już jakieś pogłosy, własne brzmienia...

Z czasem okazało się, że mój brat wyprzedza mnie, wypracował własne brzmienia. Pojawił się sampler, potem maszyna Akai. I to taka historia – zaczynaliśmy jak wszyscy, w końcu dorobiliśmy się jakiegoś własnego brzmienia.







A mój styl? Hip-hop zawsze łączył w sobie różne kultury. Bardzo wiele rzeczy zależało często od banalnych spraw, choćby takich, jak akcent – portorykański, jamajski, akcent z Queens. Wielu ludzi, wiele sposobów mówienia, wiele brzmień. Zaczynałem od prostych rymowanek, uczyłem się rytmu. Z czasem zacząłem pisać coraz dłuższe teksty, chciałem więcej opowiadać. I to wszystko układałem po swojemu – raz wychodziłem z rytmu, raz do niego wracałem. Z oldskulowych emcees największy wpływ na mnie miał chyba KRS-1, który raz rymował rytmicznie, a raz właśnie zupełnie odchodził od rytmu, był też pierwszym, który łączył rap z reggae, jeszcze w czasach BDP. Potem duży wpływ mieli na mnie ludzie z Rawkus, np. Talib Kweli.

Są różne szkoły. Moja jest taka, żeby poopowiadać, a przy okazji trochę pobawić się rytmem. Rym i rytm. Styl kształtuje się z czasem, mój w pewien sposób już się ukształtował. Ale myślę o tym, żeby może coś z czasem zmienić. Nie chcę, żeby ludzie mówili, że Fisz jest cały czas taki sam, tylko zmienia podkłady.

Nie lubię mówić o polskim hip-hopie. Staram się skoncentrować na swojej muzyce. Moim zdaniem wszystko jest fajne, dopóki ktoś nie stara się udawać mądrzejszego, niż jest. Jest tego teraz dużo, może trochę za dużo? Czasami widzę teledysk, słucham, a on brzmi jak moje demówki sprzed pięciu lat. A to nie jest fajne. Możliwe, że kiedyś to minie. Nie tak, że zostanie zjedzone, ale po prostu przeminie. Wtedy zostaną ludzie, którzy mają coś do powiedzenia. Natomiast jest bardzo dobrze, jeżeli chodzi o producentów. Jest kilku naprawdę zdolnych ludzi.

Czego słucham? Słucham trochę polskiego rapu, potrafię znaleźć w nim coś dla siebie. Bardzo dużo słucham newjazzu, w tym nurcie dzieje się wiele ciekawych rzeczy. Newjazz to takie trochę snobistyczne określenie, pod które można wrzucić wiele rzeczy, ale... Na przykład Flanger, niby Miles Davis robił takie rzeczy 20 lat temu, a jednak ich nowa płyta jest niesamowita. A z amerykańskiego rapu to Talib Kweli, Hi-Tek, takie rzeczy. Brakuje mi trochę moich starych płyt, część z nich jest u brata, część kiedyś musiałem sprzedać, chętnie bym niektórych teraz posłuchał.

Czy w swoich tekstach "daję siebie ludziom na talerzu"? Chyba trochę tak jest. Tworząc swoją pierwszą płytę, postawiłem na szczerość. Polepione Dźwięki były bardzo moje, nagrywając tę płytę miałem bardzo egoistyczne podejście. Opowiadałem o sobie. Próbuję szukać odpowiedniej formy dla moich opowiadań. Nie chodzi mi tu może o jakąś ich wartość literacką, ale żeby były wypełnione charakterystycznymi dla mnie zwrotami. To wszystko jest przefiltrowane przeze mnie, pełne moich poglądów. Na drugiej płycie jest trochę mniej tych socjologicznych spostrzeżeń, bo... trochę się przestraszyłem. Jest na niej za to więcej metafor, szukania języka. Nie jest to już podane tak komiksowo, obrazkowo, trzeba przy tej płycie trochę bardziej podłubać. Teraz szykuję się do pierwszych tekstów na nową płytę, myślę, że będzie na niej kilka rzeczy powiedzianych prosto, ale nie prostacko. Będzie też coś, czego nigdy nie planowałem – tekst o polityках.

Gdy pisałem pierwsze moje teksty, miałem podobne podejście, jak większość emcee. Czyli mówiłem: "Jestem emcee, jestem dobry itd." Ale to się z czasem nudzi. Nie próbuję też pouczać i udawać mądrzejszego, niż jestem. Ja patrzę przez siebie na siebie. Wydaje mi się, że artyści... ...nie lubię żonglować tym słowem... ...ale artyści powinni być pierdolonymi egoistami.

Co widzę, jak patrzę w lustro? Nie lubię tego widoku... Nienawidzę siebie słuchać. Nie wiem, to chyba dobrze, że po roku nie mogę słuchać swojej płyty, bo wiem, że wtedy właśnie nadchodzi czas na zmiany, na nagranie czegoś nowego. Źle byłoby, gdybym usiadł, posłuchał swojej płyty i powiedział: "O, to jest świetne, już nic nie trzeba zmieniać." Siłą rzeczy

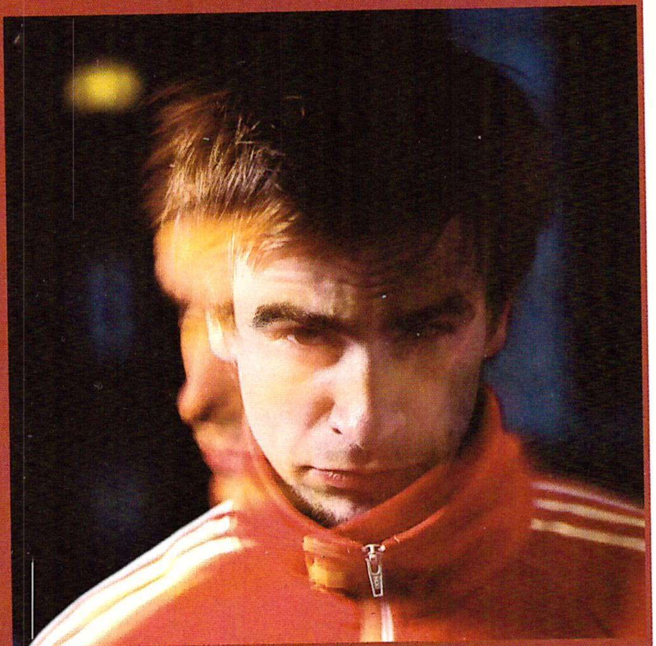






muszę słuchać tego materiału na koncertach. Ale za to lubię brzmienie moich płyt, zwłaszcza Na Wylot.
Jeżeli chodzi o koncerty, to lubię je i nie lubię. Wszystko zależy od organizacji, od sprzętu. Czasami jest ekstra, a czasami jest ściema z pieniędzmi, sprzęt ktoś przyniósł z domu... Dobrze wspominam koncert z Krakowa, z Białegostoku, ciekawym doświadczeniem był też koncert w studiu radiowej Trójki.

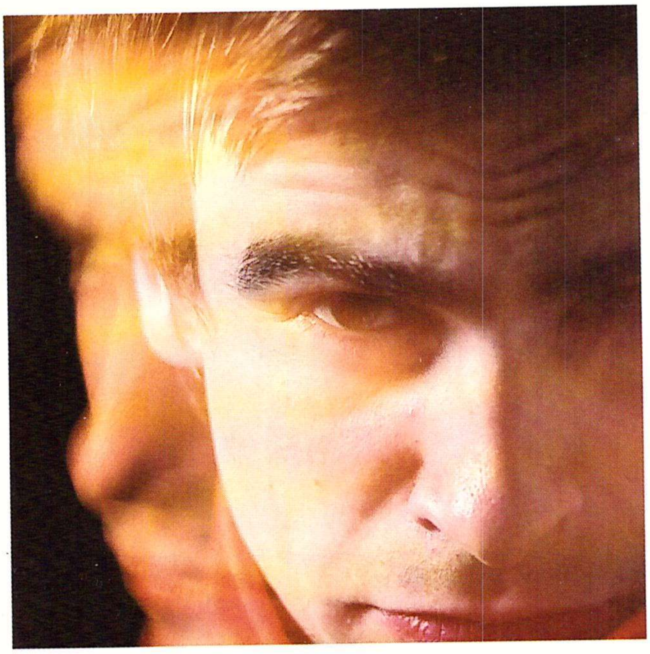
Sprzęt jest ważny, staramy się inwestować, szczególnie mój brat. Te zmiany słychać na płytach, pierwsza powstawała na zupełnie innym sprzęcie. Cały czas pojawiają się nowe doświadczenia, nowe instrumenty. Teraz mój brat kupił nowe bębny i analogowy syntezator basu.
Bardzo lubię live hip-hop. Tylko nie może być przegadany. Super robią to The Roots, grają równo, oszczędnie, osiągnęli świetne brzmienie, żaden z muzyków nie stara się pokazać, że jest najlepszy. Na Wylot pokazuje zresztą chyba, że takie rzeczy są mi bliskie.



Moje obrazy. Maluję sobie. Od zawsze malowałem. Bliscy są mi koloryści, lubię też przekaz metafizyczny, dziecinne skojarzenia. Obrazy prymitywistów. Świetny jest Basquiat, dowiedziałem się nawet, że był związany z hip-hopem, pierwsze grafiki robił z tym kolesiem, który prowadził "MTV Yo! Raps", Fab 5 Freddym.
To jest jednak strasznie ciężka materia, ciężko mi o tym mówić. W Polsce prawie nikt nie interesuje się sztuką, to wszystko upada. Płótno i farba przestają być podstawowymi narzędziami malarza. Myślę podobnie, jak przedstawiciele ruchu postmodernistycznego, którzy twierdzą, że już nic nowego nie będzie.
Lubię instalacje, konceptualizm. Ale jest jeden problem. Jestem strasznie... leniwy. W tym roku namalowałem jeden obraz, po czym zachlapałem go farbą. Nie traktuję tego chyba poważnie...
Wracając do postmodernizmu – to nie dekadencja. Inwestowanie w stary przekaz, ale też wprowadzanie nowej jakości. To tak, jak z samplowaniem starych rzeczy. Sampluje się funk z lat 60. czy 70., jazz, ale nadaje mu się nowe brzmienie. Lubię grzebać w tych starych rzeczach, na przykład w bauhausie. Ale jest też takie założenie, że może coś nowego się jednak pojawi. Może będzie jakaś rewolucja? Ja w każdym razie podpisuję się pod tym, że odkrywanie na nowo już znanych, starych rzeczy może dać naprawdę dobry efekt.

Nie można się zamykać. Dobrze byłoby przez osłuchanie dojść do eklektyzmu, który pozwoli nam na łączenie różnych gatunków. Co będzie z hip-hopem? Sam nie wiem. Jest wiele rzeczy, które bardzo mi się podobają, ale też sporo takich, które zupełnie mi nie odpowiadają. Nie czuję przekazu baunsowego, choć często w tych nagraniach znajduję dużo fajnych, plastikowych brzmień. Z kolei bardzo podoba mi się to, co robi Roots Manuva - surowość i analogowa elektronika, dająca nowe spojrzenie na hip-hop.

Czy jestem 30 centymetrów nad ulicami? He, he... słyszałem dużo różnych interpretacji tego tekstu, z podtekstami seksualnymi włącznie... Albo że się wywyższam. Tu nie chodziło o to. Polepione Dźwięki bardzo zmieniły moją sytuację, sytuację w Asfalcie. Nie wpłynęło to na nasze przyjacielskie stosunki, ale nowe było to, że ktoś się tym zainteresował. Zainteresowali się tym też ludzie, którzy pracują w gazetkach i nawet sporo o tym napisali. Dochodziło do sytuacji, której bardzo nie lubię – ktoś mi wkładał w usta słowa, których nigdy nie mówiłem. Starano się podporządkować mnie pewnym teoriom. Nie za bardzo też lubię, jak ktoś pisze, że jestem przedstawicielem warszawskiego hip-hopu. A ja chodzę własnymi ścieżkami. Piszą, że to, że tamto, że z jednej strony inteligentny Fisz, a z drugiej strony podwórko. Przecież to nie jest tak, ja po prostu jestem jakąś tam alternatywą dla tego, co się dzieje. "Głupi, wulgarny rap kontra mądry, nieprzeklinający Fisz" – to jest takie żenujące... A "30 centymetrów" jest o tym, że nie pcham już głowy w to wszystko, co się wydarzyło, chodzę sobie i nie przejmuję się tym, co piszą, co gadają.



A w ogóle, to, czy to, co robię, to jest jeszcze hip-hop? Czy może po prostu Fisz. Co powiedzą o nowej płycie? Trip-hop? Newjazz? A może wymyślą coś jeszcze innego? Nie interesuje mnie to. Nie interesują mnie stereotypy i pseudointelektualny bełkot.

Jaki jest Bartek Waglewski? Nudny... Czasami nie lubię mówić... Nie lubię odzywać się w towarzystwie, może nawet ktoś przez to uważa mnie za buraka... Pewne rzeczy mnie krępują... Nie, nie umiem o tym mówić... Jaki jestem? To wszystko jest na moich płytach... A może potrafiłbym siebie namalować? Chyba bym potrafił... Dużo byłoby w tym koloru czarnego.

Wysłuchał Kowal
Zdjęcia braciawzr

Break Danc



BBoy Dokument -

11 maja w Kielcach odbyła się impreza BBoy Doku
Scream Style, Broken Glass, Jelenia Góra–Żagań, Bole
Dark Side BBoys, druga ekipa z Kielc, BC Breakers. Sę
Społem – Detzu, Fazi i Mysza.

Na parkiecie zabrakło weteranów polskiej sceny b
prezentuje się całkiem nieźle. Dobry był np. Klimek z Bo
Dzikus – także z Bolesławca, Snok – z Broken Glass i H
W BBoy Dokument – Kielce Jam 2002 zwyciężyli Screa
Broken Glass (Kielce) i grupie z Jeleniej Góry i Żagania

Ogólnie miła impreza, klimat taki, jaki powinien być,



ce

- Kielce Jam 2002

ment. Ściągnęło na nią kilkanaście ekip. Między innymi: esławiec, Glebogrzmoty, Kwaśnica, Street Force, Kraśnik, dziowali znani i lubiani, czyli reprezentanci Stylowej Spółki

reakdance, pojawiło się za to dużo świeżej krwi, która olesławca, a do miana indywidualności jamu pretendowali: ucher z Scream Style. Nagrodę dostał w końcu ten ostatni. m Style (Rybnik). Drugie i trzecie miejce przypadło kolejno .

publiczność dopisała, czyli: DOBRZE BYŁO...



Scream Style - Rybnik

Scream Style

„Elektrownia Rybnik" - Rybnik

Zwycięzca imprezy Kielce Jam 2002

Ekipa działająca od trzech lat. W Skład grupy wchodzi 10 osób: Amor, Ucho, Chrzanhouse, Jajko, Hucher, Toudi (z Bielunia), Wiktor, KRCH, Zulu, Kuka. Średnia wieku w grupie to 17-20 lat. Jako pierwsi w Elektrowni Rybnik zaczynali Jajko, Zulu i KRCH'a.

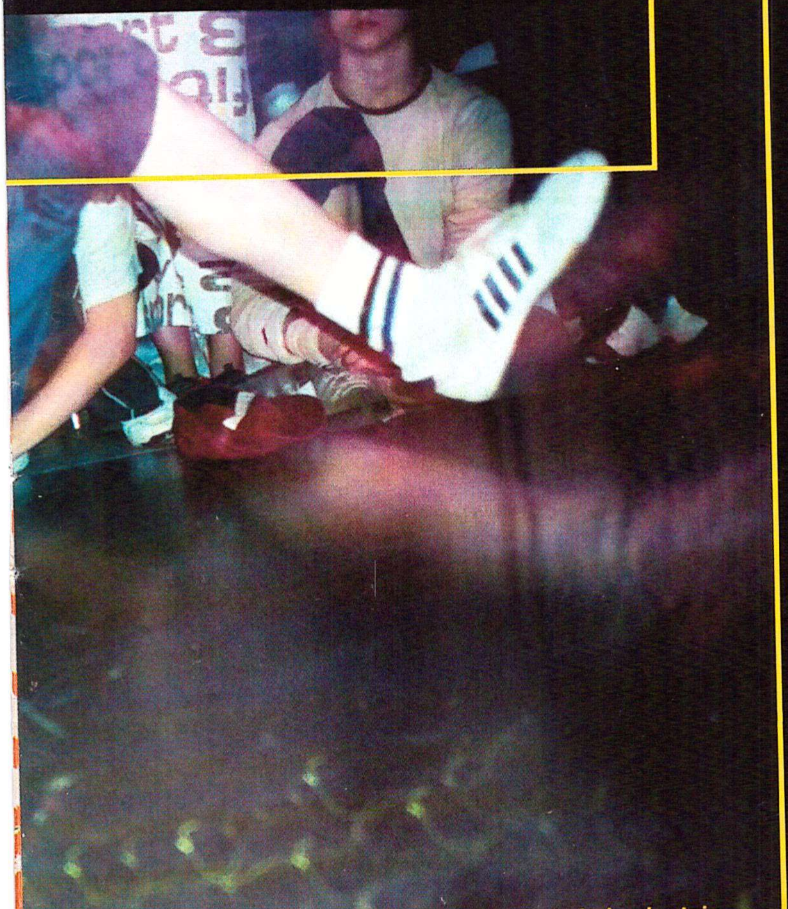
Najważniejszym osiągnięciem grupy jest, jak mówią sami: "W końcu wygraliśmy imprezę stylem". Mowa tu oczywiście o Kielce Jam 2002. Przy okazji najlepszym zawodnikiem (indywidualnością) tego turnieju został jeden z członków Scream Style, Hucher.

Najbliższe plany ekipy to wakacje: "Chcemy obtańczyć całe polskie wybrzeże. Mielno, Kołobrzeg, Trójmiasto, Świnoujście. Będzie to nasz pierwszy tak długi, wspólny breakowy wyjazd. Break, piękna pogoda, morze, dziewczyny, browarki, zielona trawka, będzie nieźle... Kto wie, może gdzieś nas spotkacie..."

Jako przykładni sportowcy chłopaki z Rybnika negują używanie wszelkiego rodzaju używek, no, może za wyjątkiem wspomnianych juz wyżej browarów, spożywanych na zielonej trawce. :)

Słowo na koniec od Scream Style? "Popieramy 100% BBoying, popieramy TYCH PRAWDZIWYCH, HWDP!"

Pozdrowienia od Scream Style? "Pozdrówki dla Fikusa (który wydaje płytę Fikus Solo), dla Mafiasa (trzy lata za grass w pachy), dla całej Elity z Elektrowni, dla SBC - Żory, dla SSC - Kędzierzyn Koźle, dla Street Force - Rybnik. Pozdrowienia all BBoys and BGirls."



na parkiecie było konkretnie...

Flexxip

W Ślizgu mogliście do tej pory przeczytać wywiady z zespołami dobrze wam znanymi z oficjalnych produkcji, dużych koncertów i teledysków. Od tego numeru będziemy starać się wam pokazać ludzi i ekipy mniej znane, ale robiące rzeczy dające nadzieję na to, że już niedługo będą tak dobre, jak te, które wychodzą spod ręki starych wyjadaczy naszej rodzimej sceny.

Dziś rozmawiamy z podziemną warszawską formacją Flexxip, w składzie Emil Blef i TenTypMes.

Nie macie jeszcze wydanej własnej płyty, ale po mieście chodzą różne plotki, możecie coś więcej powiedzieć?

Blef: Jesteśmy w trakcie negocjacji, ale nie chcemy mówić z jaką wytwórnią, bo jeszcze nic nie podpisaliśmy i nie chcemy zapeszać. A jeżeli chodzi o gości, to zamierzamy zaprosić dużo fajnych ludzi i jeśli przyjmą zaproszenie, to będzie ciekawy skład. Na pewno będzie Dizkret.

Mes: Oraz 247, czyli druga grupa, z którą jestem związany. Może Pezet, ale to za wcześnie, żeby mówić. No i oczywiście różni producenci, czyli nie tak, że ja zrobię podkłady na całą płytę.

OK., jaka jest historia grupy Flexxip?

Blef: Powstaliśmy jakieś pięć lat temu, wtedy jeszcze działaliśmy z moim bratem, Fauo. Powstały jakieś tam pierwsze bity i nadarzyła się okazja, aby coś nagrać. Nagraliśmy chyba ze trzy demówki, ale za każdym razem odkładaliśmy nagrany materiał, bo uważaliśmy, że stać nas na więcej, i zaczynaliśmy nagrywać nowy.

Mes: No i doszliśmy do momentu, gdy stwierdziliśmy, że warto pokazać się szerszej publiczności. Słuchaliśmy dużo amerykańskiego hip-hopu i staraliśmy się przełożyć nasze fascynacje na naszą twórczość, nie wzorowaliśmy się na żadnych polskich zespołach.

15 maja graliście w Stodole przed Starym Miastem i Fiszem, a wcześniej w Warszawie m.in. w Kopalni i Harendzie. Jak Was przyjmuje publika?

Mes: To był nasz szósty koncert w Warszawie w przeciągu pół roku... Były problemy z organizatorem, ale potem, z tego co pamiętam, wszystko poszło prawidłowo.

Blef: Ja jestem zajebiście zadowolony, myślę, że rozgrzaliśmy publiczność i że ludziom się podoba i po wyjściu byli zadowoleni.

Zagraliście tam razem z Dizkretem kawałek znany z winyla Jounoumi. To jednorazowa kooperacja, czy może usłyszymy Was jeszcze razem?

Mes: To jest remiks kawałka, który ukazał się na naszej ostatniej demówce. Natomiast ja nagrałem kawałek na nadchodzącą płytę Dizkreta i Praktika, Emil też na niej będzie, bo został również zaproszony. Więc usłyszycie nas chyba jeszcze nieraz, tym bardziej, że to Kret jako pierwszy potraktował nas poważnie. On w ogóle odkrył kilka znanych już teraz raperów, tylko nie wszyscy o tym wiedzą.

Mes, wystąpiłeś gościnnie na płycie Pezeta i Noona, masz nagrany kawałek na płycie Reda – z kim Ci się lepiej współpracowało?

Mes: Hmm... Raczej z duetem Pezet-Noon, gdyż byli oni obecni przy nagrywaniu tego numeru i dlatego, że Pezet jest raperem i mogliśmy się porozumieć co do wspólnej wizji kawałka. Z Redem z kolei, to dostałem zupełnie wolną rękę, co chcę zrobić z bitem. Pierwotnie w tym numerze miał być jeszcze Pan Duże Pe, ale w wyniku jakichś tam nieporozumień, Duże Pe chyba nie pasował Redowi do wizji albumu, nie doszło to do skutku i nagrałem solo. Ogólnie wcześniej nie nagrywałem do takich bitów, ale starałem się dać z siebie wszystko.

Na imprezie w Harendzie fristajlowałeś razem z Dużym Pe, Pezetem i Tedeefem. Potrafisz obiektywnie ocenić skilsy Tedego?

Mes: Tam było bardzo dużo raperów na scenie, ja nie jestem jakimś wybitnym fristajlowcem, ale takie trio, jak Pezet, Duże Pe i Tede to jest jedna z lepszych tego typu kooperacji, jakie można w ogóle usłyszeć w Polsce. Pamiętam, że Tede był wtedy w dobrej formie, co wszyscy zresztą zauważyli, publiczność mistrzowsko się bawiła.

Jakie są Wasze muzyczne inspiracje?

Blef: Ja zawsze się jarałem Nowym Jorkiem, ale nie znaczy to, że tylko tego słucham. Jestem otwarty na wszystkie dobre rzeczy, które wychodzą. Cenię raperów, którzy mają na tyle twarde jądra, żeby eksperymentować, bo to daje nowe możliwości. W szczególności raperów z kąśliwym, mocnym flow.

Mes: Ja również kocham Nowy Jork, ale też G-Funk, czasem południowe brzmienia. Najlepsi raperzy dla mnie to Jay Z, O.C., Nas i Big L... Przetrwali długo w tej grze, przetrwali wiele ataków różnych zazdrosnych skurwieli i to mi imponuje. Big L może nie do końca przetrwał, ale uwielbiam wszystkie jego zwrotki.

Mes, można Cię usłyszeć jako producenta bitów, emce i w roli fristajlera na koncertach. Ukrywasz coś jeszcze przed nami?

Blef: Jest świetnym zapaśnikiem ha, ha, ha...

Mes: Zaczynałem od skreczy, kiedy byłem chyba w ósmej klasie, reszta doszła z czasem. Natomiast fristajl staram się opanować w takim stopniu, żeby na koncercie, jak mnie ktoś wyzwie na wolno, to abym nie musiał się chować gdzieś i mówić, że mnie głowa boli. Jestem jeszcze na takim etapie, że wciąż muszę coś udowadniać. Inni mogą sobie pozwolić na większą swobodę.

Jaka jest Waszym zdaniem największa bolączka hip-hopu w Polsce?

Flexxip: To jest pytanie na osobną rozmowę... Temat rzeka.

Jak mocne i prężne jest warszawskie podziemie, bo ktoś kiedyś powiedział, że mogłoby ono spokojnie zmiażdżyć to, co wychodzi legalnie?

Flexxip: Uważamy, że na tym etapie niemożliwe jest, aby tak się stało. W podziemiu dzieje się dużo wartościowych rzeczy, ale na razie to jeszcze nie jest ten etap. Polski mainstream spierdala podziemiu z niesamowitą prędkością, wszyscy siedzą w studiach, grają koncerty, podczas gdy wiele amatorskich zespołów uważa, że robi coś zajebistego, kiedy gra dla trzech osób na imprezie i krytykuje pierwszoligowców.

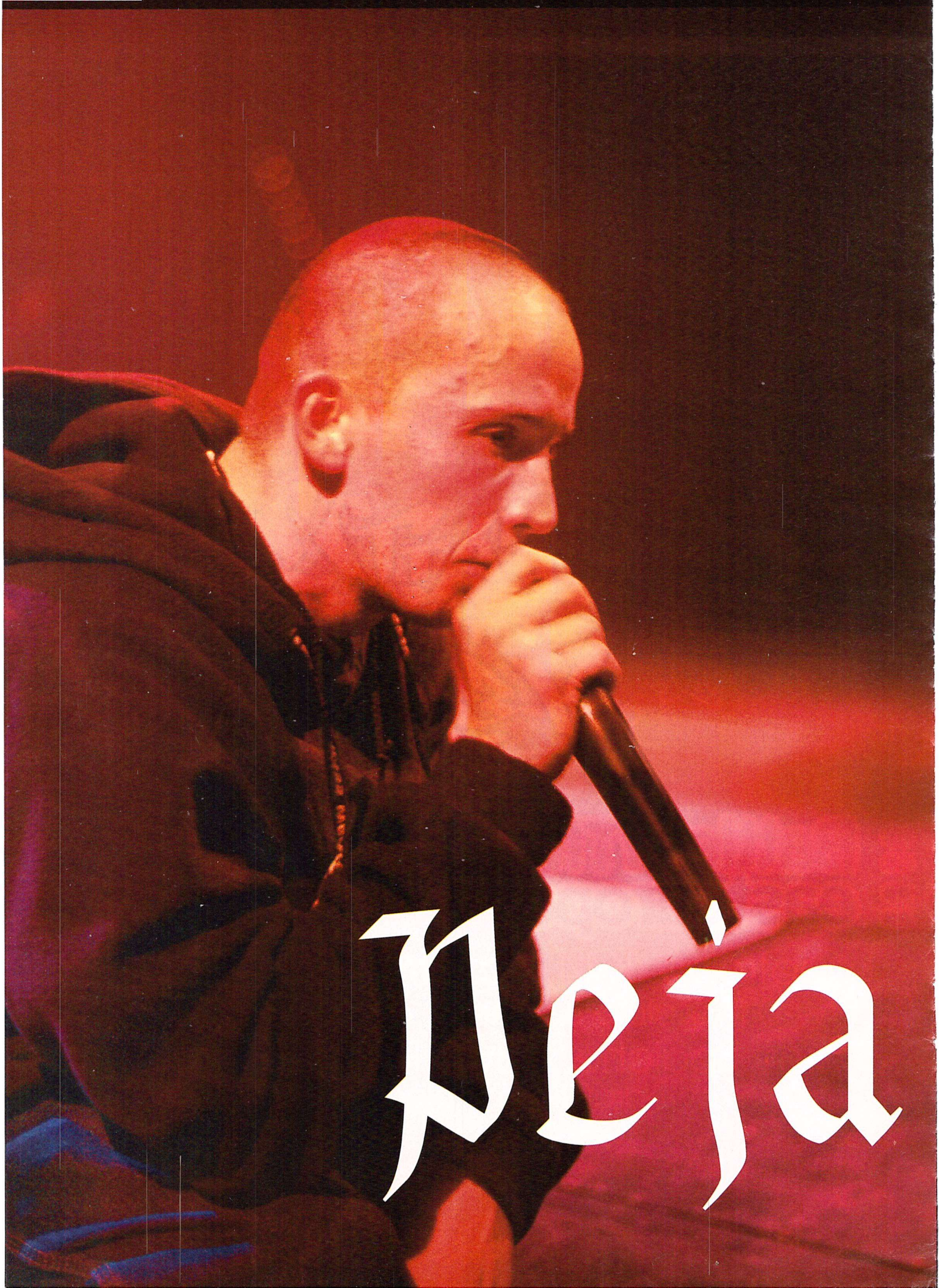
Pytanie na koniec – czego życzycie polskiemu odbiorcy hiphopu?

Flexxip: Aby zajął się słuchaniem muzyki, chodzeniem na koncerty, kupowaniem płyt, a nie krytykowaniem, co kto i z kim i gdzie zrobił! Zajęcia się muzyką, a nie jej plotkarskim zapleczem.

Rozmawiał Pawelec




EASTPAK
U.S.A
BUILT TO RESIST
ElPaso
entertainment
BATTLE OF THE YEAR
BattleofTheYear
easteurope
WWW.BOTY.PL
Szczecin 22.06.2002 Hala SDS
Looptroop, K44, Pezet/Noon
dj MAD (Absolute Beginers), dj Twister, dj Kostek
Storm, Spaiche, Hawk, Fresh'n Attack ...
graffiti jam - pleciuga
MTV
MUSIC TELEVISION
ŚLIZG
andegrand SKATE SHOP
www.andergrand.pl
error
CLOTHEZ
M'98
MASS 1998
WWW.MASSDNM.COM
NASTY SPORTS
radiostacja
STOPROCENT
MAKSYMALNY HARDCORE
btl
www.bottle.com.pl
P01
PLAYER ONE
www.wrongside.hiphop.pl


Peja

Nie wiem, jak to się stało, ale do tej pory, oprócz recenzji płyt, nie było o Slums Attack żadnego materiału w Ślizgu. Nadrabiamy to teraz. Opowiedz krótko, jak się wkręciłeś w hip-hop?

– Jeśli chodzi o hip hop, to zetknąłem się z nim tak, jak większość moich rówieśników. Krótko mówiąc, pierwsze rapowe kawałki (wtedy to był jeszcze rap, nie hip-hop) zobaczyłem w oldskulowych programach telewizyjnych Marka Niedźwieckiego. Pamiętam pierwszy klip, to był "Fight For Your Right (To Party)" białych Beastie Boys. Jeszcze z perspektywy czasu (87 rok!) jestem w szoku, że publiczna TV puszczała takie rzeczy. Może dlatego, że nie umieli nawet zdefiniować tego zjawiska. W każdym razie od tamtego czasu zaczęły się moje muzyczne poszukiwania. Z czasem uświadomiłem sobie, że dużo kawałków słuchałem zupełnie nie znając wykonawcy. Dopiero po dwóch, trzech latach trafiałem na nazwę bandu lub całą płytę. Jak wiesz, na początku lat 90. nie można było mówić o kolekcjach płyt z rap nagraniami. Śladowe ilości informacji znaleźć mogłem m.in. w Magazynie Muzycznym, tam znalazłem materiały o Run DMC, Public Enemy, Big Daddy Kane czy o Tonym Loc'u. Więcej świeżości przyniosły zmiany ustrojowe w naszym kraju. Tak więc mogłem nadrobić zaległości, jak każdy statystyczny Polak, zarówno jeśli chodzi o rap, jak i inne dziedziny życia. Pojawiły się talerze z mnóstwem kanałów. Pojawiła się wuhta pirackich kaset. Niektóre firmy w swej filantropii posuwały się do wydania niemal całej dyskografii danego zespołu. Tyle pamiętam. Dzięki piratom i sklepom, w których za kasę mogłeś skopiować sobie wybraną płytę, powiększałem swoją kolekcję. Idole? Było kilku. Do dzisiaj pamiętam pierwszą taśmę The 2 Live Crew "As Nasty As They Wanna Be". Nigdzie przedtem nie słyszałem tylu fucków co na tej płycie. W ten sposób Luke stał się moim faworytem. Złoty okres to rok 1991, najwięcej płyt, taśm, klipów itd. Pete Rock & CL Smooth, Brand Nubian, EPMD, Boogie Down Productions, a z drugiej strony Ice Cube i NWA. Kto tego wówczas nie słuchał? Zresztą "Yo! Raps" był najlepszą historią h/h, jaka miała miejsce w moim życiu.

W tym czasie nie mogło zabraknąć pierwszych tekstów. Ciężko było. Nikt nie wiedział, jak to zrobić. Napisać owszem, jeszcze coś się naskrobało. Teraz tylko wystarczy zarymować. Tylko dlaczego nie płyniesz na bicie?! W sumie to było dużo dobrej zabawy na samym początku. Nagrywaliśmy to z Icemanem na dwa magnetofonach z wbudowanymi mikrofonami! W 1993 roku mieliśmy formalnie zarejestrowane kawałki na zloopowanych rzeczach z zachodnich traków. Iceman zapierdalał takie dzikie skrecze na Fonice. Naprawdę dobrze się wtedy bawiliśmy. Całe przedsięwzięcie nie miało określonego celu, bo nikt nawet nie zakładał, że coś może z tego wyjść. W dodatku mój wokal, chyba jeszcze przed mutacją, naprawdę wiele bym dał, żeby cofnąć się w czasie i jeszcze raz to przeżyć. Rapowi wykonawcy traktowani byli przez nas jak istoty boskie. Zresztą ten kult wyczuwalny jest do dzisiaj, mimo że wiele się zmieniło. Z czasem nabywasz umiejętności i zaczynasz zdawać sobie sprawę, że raperzy z Ameryki to zwykli śmiertelnicy. Z tym, że potrafili obdarzyć słuchacza muzyczną magią.

Przypomnijmy pierwszą kasetkę SA z 1996r. Ostrzy z Was wtedy byli gangsterzy, zajawka na West Coast, jechanie na policję itd. Masz jakieś gangsterskie czy policyjne historie na koncie, skąd się wzięła zajawka na takie rymy?

– Pamiętam tę taśmę. Strasznie przyjarani byliśmy tym West Coastem. Jeszcze ten film "Zagrożenie dla społeczeństwa". To wszystko zrobiło nam straszny film. Twardy ulicznik Made In Ameryka. Teksty o policji? Były i zawsze będą. Zresztą 1996 rok i wcześniej był czasem, w którym leciałem pod prąd i to bardzo mocno. Z perspektywy nie chce mi się wierzyć, że było aż tak. Dziś można powiedzieć, że jestem zupełnie innym człowiekiem, he, he, bardziej dojrzałym. Zniknęła autodestrukcja, którą miałem wpisaną na swojej życiowej drodze. Za małolata się po prostu więcej wywijało. Głupi był człowiek, nie zdawał sobie sprawy, że krzywdę może komuś wyrządzić albo sam wyląduje niemiętko. Pamiętam, jak odpuszczali mi wszystkie wykroczenia na psiarni, gdy wkraczałem w dorosłe życie. I powiem ci, że nie jest to dla mnie powód do dumy, to, że miałem jakieś perypetie. Wiadomo, byłem strasznie dumny, srałem na to i śmiałem im się w ryj, ale to nie stawiało mnie w dobrym świetle na tle kolegów ze szkoły średniej i treningów judo. Wszyscy przygotowywali się do matury, tylko Peja znów powtarzał drugą klasę, chodził na mecze i włóczył się po nocach. Do tego mój rap i nieciekawi znajomi. To wszystko sprawiało, że stałem się obiektem kpin. Wiedziałem już wtedy, że nie pasuję do tej lepszej części naszego społeczeństwa z maturą, dobrą pracą i mszą co niedziela. Nigdy nie pchałem się tam, gdzie nie mnie nie chcieli. Wiedziałem, że należę do społeczności, z której bezpośredni się wywodzę. Pomimo, że miałem w miarę normalną rodzinę i nie zaliczyłem trzech poprawczaków, wiedziałem, że tylko z takimi ludźmi znajdę najlepszy kontakt, prawdziwą więź. To moi ludzie, a ja ich w pewien sposób reprezentuję. Dzięki mnie zetknęli się z rapem, mogą doszukać się swoich historii w utworach, które nagrałem. I powiem Ci jedno, są dumni z tego, że mi się coś w życiu udało, z tego, że jestem cały czas z nimi. Szkoda tylko, że niewielu z moich znajomków chce coś zmienić na lepsze. Konsekwencją tego są stałe tematy: kto wyskoczył, kogo zawinęli, kto miał wagę, kto na wagę czeka i gdzie, kto u kogo był na widzeniu. Stąd teksty o policji. Ja w sumie to nawet im teraz nie ubliżam na płycie. O wiele lepiej jest takiemu wytknąć, co robi nie tak i ośmieszyć w oczach innych. Zresztą fakt, że gram koncerty z nową płytą, nie oznacza końca problemów z policją. Trochę jeszcze trzeba poczekać, aby konto było czyste…

Póżniej z płyty na płytę zmieniał się Twój rap. Wiadomo, nie można stać w miejscu. Dawniej kojarzono Was z Antyliroyem, gangsta-rapem i West Coastem, teraz kawałki SA mają z tym wizerunkiem niewiele wspólnego. Jak to wyglądało wtedy? Z czym chciałbyś być dzisiaj kojarzony?

– Tak jak mówisz. Człowiek się rozwija, cały czas. Każda starsza produkcja nie wytrzymuje porównania z nowszymi rzeczami. Tak ma każdy, zresztą ja lubię słuchać moich rzeczy przed i chwilę po premierze, bo już myślami jestem przy następnym projekcie. Nigdy nie robiłem tych kawałków z myślą, że musi się to podobać ludziom. Zresztą robiłem to tak, jak w danym momencie potrafiłem i czułem. Raz gorzej, raz lepiej. Niektóre rzeczy przygotowywałem dłużej, inne krócej. Czas jest tutaj nieistotny, bo może okazać się, że spontaniczne rzeczy są bardziej kreatywne od tych wcześniej z premedytacją zaplanowanych. Jeśli chodzi o gangsta i tego Antyliroja, to tak być musiało. Każdy ma zapisaną w gwiazdach przyszłość. Nic nie da się zmienić. Błędy wychodzą zawsze po czasie. Znajdź mi z drugiej strony takiego, co nie słuchał "Anty". Dla mnie najlepszą płytą jest "Całkiem Nowe Oblicze" bardzo dobrze odbierane przez ludzi. Na koncertach zawsze atmosfera gęstniała przy kawałkach z "Całkiem Nowego…", pierwszego albumu z Decksem. Nie znaliśmy się nawet dobrze, ale wiedzieliśmy, kto, z kim i dlaczego obiera tę wspólną, niełatwą drogę. Wcześniejsze rzeczy też zostały zapamiętane. Nie ma koncertu, żeby nie krzyczeli "997", "Czas przemija"! A ja co? Nawet tekstów już nie pamiętam, takie to stare…

Na dzień dzisiejszy SLU wygląda tak, a nie inaczej. Staram się poruszać ważne, nierzadko trudne tematy tylko w sobie znany sposób je opisując. Staram się być z dnia na dzień lepszy. Nie mogę powiedzieć, że już jestem debeściak, bo stanę i spadnę ze schodów. Tak jak Sokół nawinął, wiesz, o co chodzi?

Ważne jest dla mnie to, żeby ludzie odbierali mój przekaz, wnioski jakieś wyciągali. Wszyscy wiedzą, co się dzieje na świecie i w kraju, w polityce i kościele, i w czwartej władzy – mediach. Umiejętność zdejmowania klapek z oczu ludziom to dar, którego nie zamierzam zmarnować. Jeśli mogę kogoś nauczyć, jeszcze przy tym bawiąc, to wiem, że moja praca przy nagraniach nie poszła na marne. Nic tak nie uskrzydla, jak dobre słowo od słuchacza, to, że mu pomogłeś i że on zrozumiał.

Peja, Twoje spojrzenie na hip-hop w kraju, za granicą, biznes rapowy... W którą stronę to wszystko idzie?

– Hip-hop w kraju? Trudny temat. Z jednej strony media, które powolutku przechodzą z fazy badania nas jak dzikich okazów w klatkach do zrozumienia i lansowania tematu: hip-hop, blokers i jeszcze coś tam. H/H ma znaczący wpływ na młodych ludzi, którzy nierzadko w nagraniach znajdują receptę na rozwiązanie swoich zawiłych problemów i historii. To, że się nie mylę, stanowi jeden, niepowtarzalny fakt: wszyscy zapożyczają z hip-hopu pełnymi garściami, traktując nas jednocześnie jak ćpunów, kryminalistów i blokersów właśnie (kurwa, co to za zwrot chory?!). H/H znajdziesz w najpopularniejszej telenoweli jako przykład zła (Lubiczowa obawia się o córkę śpiewaczkę, żeby nie związała się z jednym z tych potworów), w popularnych kabaretach jako przedmiot kpin ("Ja wiedziałem, że tak będzie…"), czy choćby w najlepszym polskim sitkomie, Kiepskich (nieudolne gadki na diskopolowym rytmie keyboardu i polewka z RHX-u. Te zjawiska świadczą o wielkiej popularności, a temat polski rap obiegł już wszystkie najbardziej poczytne czasopisma związane z publicystycznymi duperelami. Następnie uznanie hip-hopu jako gatunku muzycznego – Opole. Jeśli dodam, że mamy dwa programy w kanałach muzycznych, kilka setów w Radio-stacji i coraz więcej niezależnych wytwórni można by stwierdzić, że old skool mamy za sobą i wchodzimy w fazę: trend-marketing, sprzedaż towaru.

Nie chcę być jedynie literką w katalogu zamówień Pomatonu. Oni mają w dupie, czy to dystrybuują. Większość nie widziała nawet tej płyty. Następnie festiwale. Ile kasy przypadkowe osoby zarobią na spędach młodzieży, którą właśnie my, wykonawcy, skupiamy tylko, dlatego, że chcemy zagrać przed szerszym audytorium? Pieniądz jest do zarobienia i wszyscy sobie zdają z tego sprawę. Tylko że zakładając jedyny kajdan, jaki masz, nie przerobisz się na czarnucha, a twój bounce (jeśli go uprawiasz, to chociaż sprawdź, jak to się pisze!) sprowadza się do ambitnego disco polo z marnymi kręcidupkami w sztuce trzech piętnastolatek podjaranych udziałem w przedsięwzięciu swego idola. I tu mój apel: w ten sposób nikt z was, bounce'owców, w żaden sposób nie zwiększy sprzedaży płyt. Nasz kraj to w 22% miasta wojewódzkie, reszta to małe miasteczka i wioski. Z czym utożsami się twój słuchacz? Z twoim pożyczonym bentleyem? Zejdźcie na ziemię, bo jesteście żałośni, tak jak wasze czarne pierwowzory z Ameryki. Bounce w trendzie, teraz kurwa mać pora na true skool. Obrońcy chuj wie czego, do boju. Freestyle rodem z amerykańskiego supermarketu. Margaret Astor, tequila i pierwszy polski pies!!! O co tu, kurwą, chodzi?! Przyszłość polskiego rapu jest poważnie zagrożona. Nie ma nic do zabawy, bo h/h od początku tym był. Nie szanuję po prostu treści, która nijak odnosi się do naszej rzeczywistości. Wielu z wykonawców zapomniało o swoich postawach. Może były one prezentowane tylko na pokaz. Całe szczęście, że istnieją też tacy, u których zmieniło się jedynie brzmienie muzyki, a nawijki pozostają nadal w zgodzie z własnym sumieniem. Co do Zachodu… Wszyscy zwariowali, no, prawie. Prawdziwy underground muzyczny to obecnie od kilku lat Kalifornia. Największe komercyjne ścierwo? Najwięcej syfu w nadpsutym Wielkim Jabłku. Zresztą każdy undergroundowiec marzy, by odnieść sukces komercyjny, sprzedać jak najwięcej płyt. Z tym, że uczciwie przyznaje, że chce z tego żyć i spełnić swój amerykański sen. U nas w kraju czołowi wykonawcy nieźle sobie radzą, a mimo to narzekają, że żyją pod kreską. Przestańcie, bo wiem, jak jest. Od sześciu lat żyję z muzyki. Od sześciu lat wstaję koło południa, mając wyrzuty sumienia, że inni zapierdalają za średnią krajową. Owszem, zgodzę się z tym, że nie wybudujesz domu z płyty, że nie kupisz auta za dużą bańkę, ale przygoda z muzyką to dla niejednego godny sposób na życie. No, chyba, że jestem w błędzie i zarobiłem z muzyki najwięcej ze wszystkich zespołów, co na bank nie jest prawdą, bo są lepsi. Kiedy będzie naprawdę dobrze? Wtedy, gdy oprócz statusu gatunku muzycznego przyjdzie też naprawdę godziwe wynagrodzenie. Dlatego bandy rockowe niejednokrotnie chcą współpracować z raperami, raz chcą się odświeżyć, dwa to fakt, że nie są w stanie z nami wygrać, więc chcą się skurwysyny zintegrować. Niech spierdalają! Dla każdego dobrego zespołu 15.000 za jeden koncert! (tak, tak, nie pojebały się w druku zera). Tyle minimum zarabiają zespoły grające inne rodzaje muzyki, w dodatku zrzynają z Zachodu co i jak się da, nic nowego nie wnosząc do naszej tzw. kultury masowej. Jeśli oni tyle dostają, to ja też chcę, bo uważam się za znacznie bardziej wartościowego artystę, niż te wszystkie De Mona i Nosowskie razem wzięci. Z jednym małym ale: raperzy nie są ulubieńcami telewizji publicznej! I jeszcze długo nie będą. A to oznacza góra 30 tys. sprzedanego nakładu. I to już jest sukces komercyjny w przypadku rapera! Zresztą wyobraźcie sobie Peję w "Śpiewających fortepianach" albo "Gotuj z Peją", albo "Ananasy z rapowej klasy". To nie dla nas i dlatego trzeba sobie poradzić. Od jakiegoś czasu męczy mnie jedna rzecz. To, w czym rap różni się od innych gatunków tzw. sztuki. Ano tym, że kiedy robisz to chujowo, to od razu to słychać. I nie ma przebacz – albo coś wypracujesz, jeśli takowego talentu nie posiadasz, albo odpadasz w pizdu jak ten latynoski Pazura na spadochronie. Inne gatunki, co innego. Nie umie jeden z drugim śpiewać, ale wylansowa-

na jest taka kurwa. I głąby, buraczyska łykają potencjalny produkt dla potencjalnego zjadacza chleba, proste... Zresztą ... bez komentarza. Po chuj się unosić. Zadałeś mi w pytaniu jeden motyw – biznes rapowy. Dla mnie to jest zupełnie abstrakcyjne pojęcie. My nie mamy nawet dobrze rozwiniętych metropolii, więc skąd pomysł na biznes? Kto to zadał, marzyciele o lepszym świecie jako niewolnicy Unii Europejskiej, co to za film, kurwa?!

Co w rapie dzisiaj jest dla Ciebie najważniejsze?

– Co najważniejsze? Tak jak wspominałem, po pierwsze to przekaz. Po drugie umiejętności. I tu wkurwia, że ci niejednokrotnie bardziej wartościowi są mniej, a może w ogóle popularni, bo słowo gwiazda czy sława nie powinny funkcjonować w ogóle. Tak samo jest wszędzie. W kablu też widzimy tych lepiej ubranych, niż utalentowanych. Z tego miejsca pozdrawiam cały Allstars i chłopaków z Analogii. Wierzę, że nadejdzie ten czas, w którym każdy z was będzie mógł szerzej się zaprezentować. "(...)Umiejętności to dary, to szansa zamiast kary(...)" Zależy mi na tym, aby rap postrzegany był jako prawdziwa sztuka. Bo sztuką jest tak przyrapować, żeby wiarze kopara opadła. Zresztą prawdziwa sztuka broni się sama. Rap jest niezniszczalny, głęboko w to wierzę. Rap jest coraz lepszy. Rap jest jak gazety, to prawda. Umiejętnie podany nie pozwoli Ci zapomnieć. Jest celem, a nie środkiem. Dla mnie jest sposobem wyrażania uczuć i wszystkiego tego, co we mnie kipi. Jeśli mam coś do powiedzenia, to rapuję. Spełniam kolejną misję, bo mam jej poczucie. Ale tak między nami, to nie uważam się za proroka. Staram się ograniczać do niezbędnego minimum. Nie pouczam za każdym razem, bo nie pojadłem wszystkich rozumów. Jak każdy, cały czas się uczę i poznaję otaczający mnie świat. Nie pytam już, dlaczego jest tak, a nie inaczej. Staram się zrozumieć istotę sprawy. Muszę być czujny i nie dać się ogłupić przez propagandową tubę, która zalewa nas masą różnych informacji. Rozkminiam co jest co. To tak jak z terrorystami. Ci z Białego Domu mówią, że to zwykli zbrodniarze. Nikt nie szuka przyczyn, każdy widzi tylko skutki. Nikt nie pomyśli, że to jedna z najbardziej radykalnych form polityki, że ktoś walczy z okupantem, który rozpierdala na co dzień jego naród.

W tym momencie jest chyba szczyt popularności Twojej i Slums Attack. Co Ty na to?

– Sam nie wiem. Minęło już rozgoryczenie, bo jak wiesz nie wszyscy nas wcześniej kochali, chociaż pięć lat temu robiłem dokładnie to samo. Ale niby dopiero ta płyta wszystkim przypasiła. I tu chcę podziękować tym wszystkim, którzy od początku w nas wierzyli, tym, którzy chcą na koncertach starszych kawałków, bo dla nich bez różnicy jest to, czy do płyty był klip czy nie. Popularność to nie wszystko, najważniejszy jest szacunek i uznanie, lecz nie po to zacząłem rapować. Ale nic tak nie pomaga, jak uznanie, dobre słowa. To coś, czego każdy wrażliwy człowiek na co dzień potrzebuje. Inaczej to zdechnie ze zgryzoty, pogrążając się w niewierze we własne możliwości. Jeśli jestem w tym momencie popularny, to cóż, wykorzystam to najlepiej jak umiem, żeby zaprocentowało to na przyszłość. Żebym już nie musiał składać sam własnych kompaktów, rapować na ulicy, czopować się, czy jakiś pedał wypłaci ci hajs za koncert. Te czasy minęły bezpowrotnie. Nie zapomnę natomiast tych, którzy cały czas nas wspierali.

Kiedyś underground sprowadzał się nie do rodzaju prezentowanej muzyki, tylko do tego, że mniej ludzi cię znało. Cały czas jestem podziemny, pomimo że wydałem to i owo. Podziemie na zawsze, bo podziemie, to nic innego jak sposób podejścia do tego, co robisz. A ja kocham to, co robię. Nie kocham pieniędzy, kocham hip-hop. Pieniądze po prostu wydaję, bo za nie nie kupię tego, co najważniejsze w życiu: miłości, przyjaźni, lojalności i wiary.

Na pewno dużą rolę w budowie Waszej popularności mieli Blokersi. Jak wyglądała realizacja tego filmu z Twojej perspektywy? Jesteś zadowolony z udziału w nim? A może planujesz karierę filmową?

– Powiem Ci tak: nie wiedziałem, że ten film będzie wyglądał tak, jak wygląda. Myślałem, że będzie konkret i że każdy będzie miał swoje pięć minut. Tak się jednak nie stało i powiem Ci trochę, że można poczuć coś takiego, jak lansowanie kilku osób. Ludzie ze środowiska bezpośrednio po premierze podbijali z piątką, ale miałem wrażenie, że temat nawet nie został rozwinięty w połowie. Bo to nie jest film ani o rzekomych tytułowych blokersach, ani o hip-hopowcach. Myślę, że Latman zabrnął w ślepy zaułek. Nie wiem, czy świadomie z wyboru chciał zrobić tylko rozpiździaj. Już przy pierwszym jego filmie ("To my, rugbiści") zauważyłem, że bardziej interesują go życiowe doświadczenia niż istota sprawy. Bałem się, że pokaże mnie jak zwykłego zagubionego życiowego nieudacznika, który gdzieś tam próbuje coś porapować. Gdybym wiedział, że film nabierze takiego charakteru, albo inaczej – straci go po całości, to poważnie zastanowiłbym się nad nagraniem. Tak czy inaczej, większość ludzi na imprezie po projekcji nawijała w podobnym tonie: "Twoja naturalność uratowała ten film". Mnie on pomógł na tyle, że ci, którzy mnie dotąd nie widzieli, mogli mnie w jakiś sposób poznać, zetknąć się z moją postacią, z Peją, chłopakiem z przedwojennej kamienicy, a nie, kurwa, z tytułowego bloku. W bloku mieszkam dopiero od trzech lat. Pozdrawiam moją drugą dzielnicę matkę – Grunwald, którą od zawsze reprezentuję. Co do kariery filmowej, to nie wiem, czy jako "naturszczyk" nadaję się do ustalonych planów, dialogów i zaleceń reżysera. Tym niemniej jakiś epizod bym pierdyknął, bo to na bank niezła zabawa.

Przed wykonawcami hip-hopu otwiera się coraz więcej stacji radiowych i telewizyjnych. Twój teledysk lata teraz w kółko na muzycznych kanałach. Co myślisz o mediach i hip-hopie?

– Tak jak mówiłem wcześniej, media się otwierają. Zdaje się, że po latach lansowania Liroyka chcą na poważnie zająć się tematem. Nie powiem, że dojrzeli, bo uważam, że zawsze znajdzie się ktoś chętny na tanią sensację. A tego my jako artyści na pewno nie chcemy. Media chcą kreować, nie poznawać. I to najistotniejszy błąd. Nie ma fachowców. Są frajerki z trzydziestoletnim stażem, wiesz, ziomale Połomskiego i Bielickiej. Oni się autentycznie dygają wywiad z tobą przeprowadzić. Pojechałem do VIVY na nagranie do Pralni. Tego Wita prowadzącego, to CNE musiał zastąpić, bo ten miał stresa normalnie. Tak jest z tymi mediami. Ale bez nich nie masz szans. Media to magia, czwarta władza. Człowiek zobaczy i podłapie, co niektóry rozsądniejszy sobie wyselekcjonuje co wartościowe, a co lipa. Tyle o mediach. Puszczajcie klipy i nie szukajcie smrodu jak zwykle przy okazji. Wtedy i my zaczniemy traktować was po ludzku. Jeden typ przed nagraniem to mi nawet próbował wytłumaczyć, że TV publiczna rządzi się swoimi prawami i że on teraz powie dzień dobry do kamery i pogadamy. Jakbym, kurwa mać, tego nie wiedział.

Byłem ostatnio na kilku Twoich koncertach. Lubisz grać na żywo?

- Lubię grać. Kiedy nie gram, usycham. Z tego czerpie życiową energię. Wkładam w to wszystkie moje siły. Zawsze na pełnych obrotach. W tym roku zagrałem 25 koncertów. Wszystkie podobnie, na mniej lub bardziej fajnym nagłośnieniu. W większych, luksusowych, lub nieco mniejszych, obskurnych klubach. Ludzie zajebiści. Oni to kolejny zawodnik zespołu. To jak kibice dla piłkarza, który musi wybiegać te 90 minut. Płacą, chcą coś przeżyć, zobaczyć. Staram się ich nie zawieść, szanuję odbiorcę. Muszę być trzeźwy, żeby technicznie być doskonalszy, żeby ludzie nie odczuli niesmaku, że sobie kpimy czy coś. Reprezentuję siebie i zespół. Muszę dbać o prestiż. Każdą bitwę staram się poprowadzić jak najlepiej. Rywalizacja jest szalenie ważna. Pcha to wszystko do przodu. Muszę zachować zdrowy rozsądek, by nie popaść w samouwielbienie, gdy dzieciaki mówią, że jestem zajebisty, nawet gdyby była to najczystsza prawda. Na scenie niejednokrotnie jestem żywiołem, to ludzkie reakcje sprawiają, że wykonuję kawałki w sposób żywiołowy. Kocham koncerty. Na scenie spełniasz się jak nigdzie indziej. Realizujesz swoje marzenia, rapujesz dla ludzi, którzy w skupieniu czekają na twój każdy wers i gest.

Ostatnią płytę wydałeś w zeszłym roku. Jakie są plany wydawnicze Slums Attack?

- Plany są szerokie. Robię materiał z Wiśnią. Jako Ski Skład chcemy wydać płytę we wrześniu. Tu będzie już dwóch równorzędnych emcees. Nie będzie solówek. Może jeden kawałek, ale resztę pogodzę z Wiśniowym. Obiecujemy sobie ten materiał od dłuższego czasu. Teraz przyszła na to pora. Dalej Allstars P-ń. Cały album, nie jakaś tam składanka, każdy po jednym utworze. Raczej na zasadzie kolaboracji, każdy z każdym. Na bitach Doniu, Decks, ja i Tabb – młody, zajebisty producent na co dzień współpracujący m.in. z Owalem. Będzie dobrze. Nowy Slums Attack w 2003, pewnie na wiosnę najwcześniej. Zapowiada się sporo roboty. Chcę, żeby te plany nam się powiodły. Czekam na nową płytę Ascetów, Hansa, Owala, no i Da Blaze. WLKP – wszystko przed wami. Decks w międzyczasie zrobi taśmę. Na pewno kilka konkretnych bitów. Jest coraz lepszy, wierzę w niego. Czekam na legal Lajnera. Myśląc o nowych płytach nie pozostajemy obojętni na inne dobre zespoły.

Na koncercie w Poznaniu, widać było, że współpracujesz i lubisz się z młodszymi ekipami z Poznania, i nie tylko – wspólne kawałki z Lajnerem, Hansem, Ascetoholiksami. Budujecie wielkopolską scenę hip-hopową?

– Tak, budujemy wspólną wielkopolską scenę. Allstars i poszczególne płyty danych wykonawców pokażą, co w Poznaniu jest najlepszego. Każdy z tych młodszych ode mnie ludzi ma swój odrębny, dobry styl. Tym się różnimy od innych regionów kraju. Kawałek "I moje miasto..." pokazuje to najlepiej. Zaprosiłem najlepszych w mieście, żeby pokazać, że nie tylko Peja tu rapuje, zresztą to nie debiutanci. Każdy z nich ma na koncie po kilka demówek i to jak najbardziej profesjonalnych. Młode, głodne sukcesu wilki. Wierzę, że nasz kontakt zaowocuje dalszymi nagraniami. Chętnie nagram na ich płyty swoje zwrotki, bo naprawdę warto. Prawdziwy rap w moim mieście.

A co z Icemanem? Jak wyglądała jego historia ze Slums Attack? Wystąpił z Tobą w kawałku na płycie, na koncercie. Wraca do składu?

– Iceman zniknął zaraz po wyjściu "Zwykłej Codzienności". Miał swoje powody. Od tamtego czasu nie jest już tak, jak dawniej. Był dystans, ale wierzę, że to się zmieni, jeśli już nie nastąpiło. Wiem, że chce nagrać coś sam. Ostatnio słuchałem jego podkłady na solo. Po cichu mu kibicuję, wiem, że straszna presja jest w związku z tymi jego nagraniami. Wierzę, że da sobie radę. Ten kawałek to był taki ukłon w stronę starych czasów. Niestety, przez ostatnie pięć lat nie widywaliśmy się często. Teraz jest do tego okazja. Dla mnie zawsze będzie kimś ważnym i nieważne, co było, ważne, co jest teraz. Dużo razem przeszliśmy i wierz mi, jest o czym pogadać. Iceman! Atakuj! Tylko Kozakowi już odpuść (ha, ha).

W zeszłym numerze Ślizgu był wywiad z Killaz Group i, delikatnie mówiąc, mają do Ciebie jakieś pretensje. Co Ty na to? Masz jeszcze z kimś coś do wyjaśnienia?

– No, Włodek mi powiedział, że Kilerów Dwóch się prują w wywiadzie. Czytałem, czytałem. Frajerzyna spruł mi się pod kinem, jak śmigałem z kobietą na "Quo Vadis". Do bójki nie doszło, bo moja mysza kazała mu wypierdalać. Więc pozbierał pleczacek, który uprzednio cisnął kozacko o chodnik i poszedł w pizdu! Z nimi to już jest tak, że nikt ich tu nie kocha i to ich bardzo frustruje. Kawałek jakiś podobno nagrali, naubliżali i tak to wygląda. Od początku mendy zawistne były. Koledzy to z nich żadni moi nie byli. Nie pucujcie się dziewczyny! Ten jeden zdeb to się chyba zesrał i nieco nasterydował, żeby szanse mieć wyrównane. Powiem ci, Sraczka, że nie miałem przed tobą nigdy respektu, więc zastrzyki ci nic nie pomogą. Z frajerami zresztą solówka w grę nie wchodzi. Nie muszę zresztą pyskować na łamach gazety. Załatwimy to w odpowiedni sposób w odpowiednim czasie. Zresztą uderzę gówno, a za człowieka pójdę siedzieć, bo chuj wie, co to za fajterzy, możliwe, że zwykłe konfitury. Od trzech lat nigdzie na imprezę do klubu nie przyjdą. Koncertów w Poznaniu żadnych nie grają. Kto to w ogóle kurwa jest?! W rapie i tak będę tu numerem jeden jeszcze bardzo długo i dlatego tak wam żal pizdy ściska. Zresztą "krytyka Was pierdoli" jak zarymował ten z szerszym ryjem (do lachy w sam raz), więc tak naprawdę to wszyscy was pierdolą. Jak możesz naubliżać piździe, która sama non toper robi se podjazdy w tekstach. Gdzie ta wasza ulica? W filmach z De Niro. Trzy lata na Grunwaldzie jestem, a kuzyna nić chuja nie widać. A Kuzyn to gej zwykły, wszyscy wiedzą. Proponuję emigrację, jak nie do Ameryki, to do Wrocławia najlepiej.

Na "Na nielegalu" bez żenady jedziecie na jednego z wydawców. Co to za historia?

– Z tym wydawcą to taka żółć, że klipu nie było itd. Finansowo Camey nigdy nas nie oszukał. Chyba, że nic o tym nie wiemy, ale nie sądzę. To takie wspominkowe było minęło. Nikt nie ma urazu. Co było, to było. Widzę znaczną różnicę w nowej wytwórni w porównaniu z poprzednimi, ale nie wiem, czy teraz z Cameyem by nie było dobrze. Na pewno się starał, na początku przynajmniej, winyle zrobił. Tak, że mówię, to był patent raczej na odreagowanie, a nie klasyczny pojazd.

A jak układają wam się stosunki z obecnym wydawcą?

– Stosunków to ja raczej z nim nie mam. Mam z nim natomiast umowę na nową płytę, którą u niego wydaliśmy. I pewnie jeszcze coś wydamy, bo wszyscy są zadowoleni. Tylko pan od teledysku jakby posmutniał, rujnując zdrowie psychiczne swoje i innych...

Na płycie Zwykła Codzienność byłeś dość negatywnie nastawiony do wykonawców i grup z innych miast. Teraz występujesz po koleżeńsku z Sokołem i Jędkerem, wygląda też na to, że zakolegowałeś się z Włodkiem z Ewenementu. Jak wyglądają Twoje kontakty w polskim światku rapowym? Jakieś wspólne projekty, nagrywki?

– I tu też pytasz mnie o stare historie... Powiem Ci, że okres zimnej wojny mamy już za sobą. Widocznie tak być musiało. Rozmawialiśmy o tym trochę i powiem ci, że wiele się wyjaśniło. Ta niechęć bardziej związana była z relacjami kibiców futbolowych lub chuliganów, jak wolisz. Stąd ta niechęć. Miałem okres, w którym wydawało mi się, że wszyscy są do pizdy i tylko my coś robimy dobrego. Z takim podejściem to niewiele możesz zdziałać, tylko pokłócisz się szybko. A kawałków chciałem posłuchać i starałem się nie zwracać uwagi, z jakiego kto jest miasta. Tak czy inaczej, trochę nawywijałem, płacąc za to drogo. Wielu ludzi nie przyznawało się do nas, inni nam za to sprzyjali. W wielu miejscach nie mogliśmy zagrać, bo nie zapraszali. W końcu stwierdziłem, że to bez sensu, bo jeśli ktoś robi dobry rap, to nie możesz go od tak nie zauważyć. Cała sytuacja wynikała również ze zwykłej nieznajomości. A gdy już człowieka poznasz, to i gadka jest inna. Zrobiliśmy wszystkie koncerty zespołów z WWA. Lûdzie przyszli i się bawili, bo od dawna na to czekali. My zagraliśmy u nich i też było dobrze. Wszyscy marzyli o wspólnej scenie i my mamy szansę do tego w krótkim czasie doprowadzić. Dlatego chętnie skorzystam z zaproszeń Włodka, WWO i Zipery na ich nowe albumy, bo wszyscy na tym dobrze wyjdziemy. My jako wykonawcy z różnych miast i słuchacze z całej Polski. Mit straci na mocy. Zniknie po prostu. I pojawi się zupełnie nowy, że... Peja sprzedał się Warszawie (ha, ha).

Nasz magazyn zajmuje się nie tylko muzyką, co z pozostałymi elementami kultury hip-hop? Byłeś kiedyś zaangażowany w breakdance, graffiti czy np. deskorolkę?

– Mam znajomych malarzy i tancerzy. Zawsze postrzegałem tę kulturę jako trzy elementy. W międzyczasie DJ ugruntował swoją pozycję jako indywidualny twórca i to jest dla mnie czwarty element. Nigdy jednak nie kojarzyłem deskorolki jako elementu hip-hopu, bo jest to nieprawdą po prostu. To, że zawodnicy słuchają tej muzy i jeżdżą sobie do niej, to ich sprawa, każdy robi to, co lubi. Ale deska nie jest i nie będzie elementem h/h. Bo jeśli według was tak jest, to możecie dodać jeszcze snowboard, skoki na bungee, serwing i kurwa ping-pong. Pozdrawiam wszystkich sportowców.

A co z twoimi zainteresowaniami sportowymi? Kawałek "Randori" opowiada o Twojej przygodzie z judo, tak? No jak tam Twoje osiągniecia?

– Judo to był ważny okres mojego życia. Siedem lat na macie. Zdobyłem dwa razy mistrzostwo Polski młodzików, tylko niestety i jakieś mniej znaczące osiągi w juniorach. Ten sport jednak w dużej mierze ukształtował mój charakter. Nauczył dyscypliny, pokory i szacunku dla przeciwnika. Bardzo chciałbym wrócić jeszcze na matę. Miałem kilka razy okazję, ale się nie udało. Pozostała już tylko rekreacja i wspomnienia z młodości. Nieraz bardzo żałuję, że zrezygnowałem, ale miałem swoje powody. Cieszę się, że niektórym ludziom z mojego rocznika udało się coś osiągnąć, to, że mogłem podziwiać ich występy na olimpiadzie w Sydney. Niestety, nie byli to poznaniacy, ale i tak się cieszę i pozdrawiam wszystkich szalonych judoków.

Peja, ostatnie zdanie od Ciebie i Slums Attack?

– Chciałbym pozdrowić wszystkich, którzy są z nami na dobre i na złe, cały Allstars, Jeżyce, Grunwald i całe nasze miasto. Niech hip-hop wypełnia każdą część waszego życia i żeby polski rap był tak mocny, jak żabojadów. Jeśli jeszcze tego nie zrobiliście, to sprawdźcie naszą nową płytę i do zobaczenia na koncertach. Aha, no i jebać kuzynów, jebać oczywiście, bo to geje zwykłe!!!

pytania: wzrrrrrrr

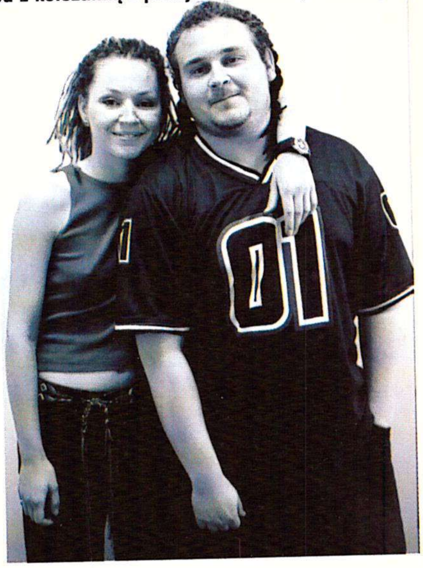



01
01

red

TERAZ RED...MAN!

Red z koleżanką z pracy i wokalistką - Karolą



Red na naszym podwórku pojawił się stosunkowo niedawno i od razu sporo namącił. Jako producent i prezenter programu MTV SQUAD sprawił, że jedni go bardzo polubili, a inni równie bardzo go znielubili, odrzucając tym samym wszelkie przejawy jego działalności. Red budzi różne emocje – jak sam twierdzi, jest trochę egzotyczny i nie do końca pasuje do tutejszego rapowego półświatka. Jednak gdy już z nim chwilę pogadasz, szybko zdasz sobie sprawę, że to całkiem sympatyczny gość, mówiący dużo, ale z sensem i pojęciem.

Myśl sobie, co chcesz, ale Red bardziej, niż mogłoby się wydawać, wie o co chodzi.

Wiem, że trochę się tułałeś po świecie, zanim trafiłeś do Polski. Słyszałem, że wcześniej pracowałeś w Stanach w wytwórni Def Jam i że nagrywałeś coś, zdaje się we Francji?

– To znaczy, urodziłem się w Szwajcarii, w Genewie, ale to jest francuskojęzyczna okolica.

No właśnie, ale mnie przede wszystkim interesują dwie rzeczy: po pierwsze, co tam robiłeś, a po drugie, jak to się stało, że trafiłeś tutaj. Wydaje mi się, że w Polsce perspektywy są trochę bardziej ograniczone, niż na przykład w takim Nowym Jorku?

– Urodziłem się w Szwajcarii, zdałem tam maturę, jednocześnie mieliśmy też grupę, która się nazywała S.O.F., czyli Skillz of Funk. Mieliśmy nawet wydać płytę we francuskiej wytwórni Barclay, bo tam, w Szwajcarii jesteśmy bardzo blisko sceny francuskiej, z Lyonu przyjeżdżają do nas, a my do nich, bo to jest chyba ze dwie godziny drogi, ale nic nie wyszło. Dali nam hajs na demo, muszę przyznać, że demo nie było za ciekawe, dużo bluzgów, wyzywania i tym podobnych, ale mieliśmy wtedy po szesnaście lat. U nas w zespole był taki rasowy miks: był mój człowiek Dreadknot, który był Żydem (R.I.P., ponieważ sam sobie odebrał życie), był DJ Umar, który był czarny, był koleś od ragga, który był Arabem i był Jek One, który też był czarny. No i ja: pół Polak, pół Chorwat, urodzony w Szwajcarii. Reprezentowaliśmy różne kultury i to mi się w tym najbardziej podobało. Jak zdałem maturę, to mój sąsiad, którego znałem od małego, właśnie skończył studia w Londynie i przez jakąś koleżankę dostał się do Def Jam. Ja akurat nie wiedziałem, co dalej robić i okazało się, że mogę do niego pojechać i też się tam zaczepić. Załatwiłem tak, że nie kosztowało to zbyt dużo moich rodziców i pojechałem do Stanów. Nauczyłem się angielskiego, a mój kolega w tym czasie już zaczął pracować w dziale sampli i mnie tam wciągnął jako "Def Jam intern", tutaj to się nazywa "Przynieś, podaj, pozamiataj". Mogę jedynie dla prestiżu powiedzieć, że niedługo przede mną na tym stanowisku pracował Kurious, to był tam dosyć znany raper. Ogólnie było fajnie, bo mogłem chodzić po całej wytwórni. Tam się dużo uczyłem, bo byłem najmłodszy i traktowali mnie trochę protekcjonalnie, byłem kilka razy w studio, byłem na przykład, jak nagrywali taka chujową płytę Rapsody, taki rap z operą. Byłem tam też na przykład przy nagrywaniu kawałka z Onyx. Później pracowałem trochę w samplach, a w 1997 roku byłem na "Redman Europe Tour", zrobiłem trzy daty: Genewa, Zurich i Paryż, tam mu pomagałem, załatwiałem mu różne sprawy. Pracowałem też przy koncercie Foxy Brown i kilku innych tego typu imprezach. A do Polski przyjechałem dlatego, że tam mało zarabiałem, bo pracowałem na niskich stanowiskach. W szkole byłem dobry, zawsze dobrze się uczyłem, zdałem drugą maturę w Stanach i chciałem się dalej uczyć na jakieś dobrej uczelni, ale jak wiesz studia w Stanach są bardzo drogie i po prostu nie było mnie na to stać. Wtedy mama mi powiedziała: "Słuchaj, ja jestem Polką, w Polsce są dobre uczelnie, na przykład Uniwersytet Jagieloński i powinieneś tam pojechać". No i pojechałem, zapisałem się na anglistykę i nawet dobrze mi szło. Pewnego ranka sobie wstałem i pomyślałem, że kocham hip-hop, że to mnie najbardziej fascynuje i że może będę mógł zarabiać na tym, co kocham i z tego żyć. Najpierw był Obóz, później moja pierwsza płyta, no i akurat zdarzył się ten kasting w MTV. Poszedłem tam i dostałem tę robotę.

Czyli prezenter MTV SQUAD był wyłoniony w ramach kastingu – poszedłeś tak z ulicy i dostałeś pracę?

– Nie miałem żadnych takich znajomości, dzięki którym daliby mi tę robotę, więc poszedłem. Po prostu kiedyś zadzwonił do mnie Arek Deliś, który jest moim wydawcą i powiedział mi o tym gdzie i kiedy jest ten kasting. Pomyślałem, że może mam szansę.

Ale pierwszą płytę wydałeś w Gigancie?

– Tak, ale miałem umowę na tylko jedną płytę. Do Arka poszedłem z Obozem i już tak zostało, że się polubiliśmy i współpracujemy do dziś. Z Obozem TA nie wyszło, ale zrobiłem u niego swój własny materiał.

Dobra, pomówmy trochę o Twojej nowej produkcji. Skąd nazwa, klimat, arabskie znaki? Powiedz coś o tym.

– W moim najbliższym sąsiedztwie mieszkały jeszcze dwie rodziny, jedna z Libii, a druga z Tanzanii. Żyliśmy ze sobą tak dobrze, że nawet nie mieliśmy ogrodzeń odzielających nasze posesje – jeden ogród dla wszystkich. Moja mama chodziła do pracy, bo mój ojciec zmarł jak byłem mały, i właściwie żyłem cały czas z nimi: jedliśmy razem obiady, rozmawialiśmy i co piątek widziałem, jak mój "wujek" – bo to było jak rodzina – się modli. Jadłem ryż fufu palcami, słuchałem muzyki arabskiej i afrykańskiej. Parę lat temu przeczytałem Koran i stwierdziłem, że jest mi bliższy, niż Biblia, ale to nie jest tak, że poszedłem do meczetu i zmieniłem religię. Jak jest mi źle, to czytam Koran i jest mi lepiej. Nie noszę złota i nie jem wieprzowiny, ale na przykład nie przestrzegam Ramadanu. Po prostu staram się być dobrym człowiekiem.

A gdyby nagle wezwano do Dżihadu, to byś poszedł?

– Nie chcę mówić o polityce. Oczywiście jestem po stronie Palestyńczyków, ale to nie wynika z mojej religii, a raczej z mojego poczucia sprawiedliwości.

Ci, co mieli usłyszeć Twoją pierwszą płytę, to już ją słyszeli, nowej jeszcze pewnie nie, bo dopiero co się ukazała, powiedz jednak, co się zmieniło w Twojej muzyce?

– Pierwsza moja płyta była po Obozie TA, do dziś uważam, że nasza płyta była zajebista. Popatrz, teraz Eldo zrobił bragadoccio, Borixon robi bauns, to wszystko było już na naszej płycie. Wtedy była większa moda na ulicę i płyta została zbesztana. Myślę, że teraz zostałaby lepiej przyjęta. Uważam, że przecieralismy szlaki. Moja pierwsza płyta producencka to była kontynuacja Obozu TA do bitów Reda. Tak naprawdę Al-Hub to jest moja pierwsza prawdziwa niezależna produkcja. Pojawili się na niej Pezet, Eldo, Karolina, kilku chłopaków z Obozu, bo jest i O.S.T.R, i Cezet. A co się zmienia? Teraz uważam, że jestem dużo lepszym producentem, niż prezenterem, ale mimo wszystko nie wstydzę się wcale swojej pierwszej płyty.

A jak siebie widzisz na tej scenie. Mówiłeś mi wcześniej, że czujesz się trochę egzotyczny. Mógłbyś to rozwinąć?

– Wydaje mi się, że tutaj jest trochę za mało tolerancji. Znam różne sceny w różnych krajach i tam











odmienność jest zdecydowanie normalniejszą rzeczą, niż tutaj. Ta kultura jest przede wszystkim czarna, a ponieważ staje się multietniczna, to trzeba sobie jasno powiedzieć, że musi być otwarta na odmienność. Myślę, że ze względu na to, że tu praktycznie nie ma mieszania ras, to ten polski hip-hop jest bardziej zamknięty na inność. Ja na przykład jestem tu postrzegany jako dosyć śmieszny człowiek.

A Twoim zdaniem to wynika z nietolerancji rasowej, związanej z wyglądem zewnętrznym, z zachowaniem, czy może raczej z nietolerancji stylowej, wiesz, co mam na myśli?

– Nie wiem, nie potrafię ci odpowiedzieć, jestem tu trzy lata i właściwie nie zadawałem sobie jeszcze pytania dlaczego mnie mniej tolerują.

Zestaw gości, który odnajdujemy na płycie Al-Hub, jest oczywiście dobry, jednak dosyć oczywisty jeżeli weźmie się pod uwagę środowisko, w którym się obracasz. Czy ten dobór był jedynym możliwym?

– Wiem, co chcesz powiedzieć. Znam dużo raperów, z którymi się czasem spotykam, ale jeżeli chodzi o takich prawdziwych ziomków z hip-hopu, to są to tylko Spinacz, Eldo i Noon. Zaprosiłem ludzi z T-1, bo tam ich poznałem i podoba mi się, jak rapują. To nie jest tak, że odrzucam innych, oni skumali moja jazdę i tak wyszło. Chodziło też o to, żeby skumali moje bity, bo one są dosyć niekonwencjonalne, nie każdy się nimi jara.

A co uważasz, że tym razem najbardziej udało Ci się?

– Chyba najbardziej się jaram kawałkiem z Leszkiem, ale uważam, że ta płyta jest o miłości, o tym, czym był hip-hop na początku – zabawą. Jak zauważyłeś, ta płyta jest też do tańczenia. Tu, w Polsce, nie ma czegoś takiego. Ja może nie wyglądam, ale kiedyś byłem chudszy i dużo tańczyłem, nawet teraz tańczę. Myślę, że to jest w mojej płycie dobre.

Zauważyłem, że przy produkcji bitów kooperowało z Tobą kilka osób. Mógłbyś powiedzieć coś o tych ludziach i o tym, co wnieśli w kształt Twojej płyty?

– Wracam znowu do mojego sąsiada, wariata z Genewy. On dużo produkuje i ma zajebisty sprzęt. Ostatnio byłem u niego w listopadzie i robiliśmy dużo bitów, dwa bardzo mi się spodobały i wziąłem je na moją płytę, to są bity do kawałków Echo i do freestyle'u O.S.T.R'a.

A dlaczego zrobiłeś kawałki, w których pojawiają się nawijki w innych językach?

– Ja zrobiłem kawałek z Kretem, bo mamy jazdę na ragga. To jest jedyny mój występ na tej płycie. A Karola zaśpiewała po angielsku, bo sama chciała. Ja chciałem, żeby zaśpiewała po polsku, ale ona mówiła mi ciągle, że nie potrafi napisać po polsku dobrego tekstu, więc zrobiliśmy tak, jak ona chciała. Zawsze chciałem coś z nią zrobić, bo uważam, że zajebiście śpiewa.

Jako ciekawostkę dla producentów, powiedz jeszcze, na czym pracujesz.

– MPC 2000, dobry keyboard i komputer – to mi w zupełności wystarcza. Są też kawałki z żywymi instrumentami, gitarą i basem.

Kto to grał?

– Andrzej Niski, ten wariat z brodą, który jest tam we wkładce. Pozdrówki dla chłopaka, kuma jazdę i jest okay. Na pewno coś jeszcze razem zrobimy.

A dlaczego zdecydowałeś się wrzucić te szalone pozdrówki jako skit na płytę?

– Przecież wiesz, o co chodzi, Franek, bo jesteś długo w hip-hopie – to jest stara jazda shout-outs. Ja w głębi serca jestem old schoolowcem, to jest po prostu taka jazda. A przy okazji muszę powiedzieć, że wszytkie osoby, które mnie tam pozdrawiają, znają mnie i słyszały moją muzykę, to nie jest jakaś tam ściema, bo się znamy.

Dobra, na temat płyty już właściwie wszystko wiemy. Powiedz mi jeszcze parę rzeczy o pracy. Na ile dobór repertuaru, który ukazuje się w kolejnych edycjach MTV SQUADu, zależy od Ciebie?

– Jeżeli chodzi o niedzielne, godzinne edycje, o dobór gościa głównego, to jest to wybór mój, producenta programu i Tytusa, a jeżeli chodzi o klipy, to w większości wybiera je Londyn, gdzie jest dyrekcja MTV. My tutaj wybieramy góra osiem klipów tygodniowo, reszta już od nas nie zależy.

To jest wyczerpująca praca?

– Nie, bardzo lubię swoją pracę, kocham być Redem w MTV, w tym budynku. Poza nim mniej, bo nie lubię być rozpoznawany itd., a poza tym jest na mnie dużo disów. Ale być tu, w pracy, robić programy, to uwielbiam.

A te disy skąd się biorą?

– Bo mówię dużo Yo! i mam warkoczyki, a poza tym trochę kaleczę polski. Ale myślę, że z Amerykańcami robię dobre wywiady.

Poznałeś chyba większość polskich raperów, chociażby przez sam MTV Squad. Powiedz, czy jest jeszcze ktoś taki, z kim byś chciał współpracować, a dotychczas nie miałeś okazji?

– Wiem, że to zabrzmi głupio, ale to jest moja ostatnia hip-hopowa płyta producencka. A na tej scenie na pewno jaram się tym, co robi Fokus, tym, co robi Gutek, lubię Fisza.

Mówisz, że to już ostatnia płyta. Co zamierzasz dalej robić?

– Dalej będę produkował i bity prawdopodobnie się nie zmienią, nie będę jednak robił już kawałków z raperami. Następnym razem chciałbym zaprosić Sweet Noise, Mikę Urbaniak, może Kayah. Po prostu wokaliści i przyjaciele, ludzie, którymi się jaram.

Rozmawiał Franek
Fotowzrrrrrrrrr

HIP HOP DON'T STOP
vol.105 10. 05. 2002
klub Krąg Białystok

Po dwuletniej suszy Białystok znowu powraca na hip-hopową mapę Polski. I to z hukiem! Grudzień – Obrońcy Tytułu, styczeń – Fenomen i O.S.T.R., luty – Zipera i Pijani Powietrzem, kwiecień – WWO i WFD.

Nie trudno zauważyć, że organizatorzy dobierając zespoły na kolejne odsłony Hip Hop Don't Stop, podgrzewali atmosferę tak, by z imprezy na imprezę stawała się ona coraz bardziej gorąca. Wszystko przebił maj, a to za sprawą oczekiwanej od dawna Molesty, wraz z którą zagrał Peja wraz ze Slums Attack. A trzeba dodać, że poznaniacy nigdy przedtem nie zahaczyli o Białystok.

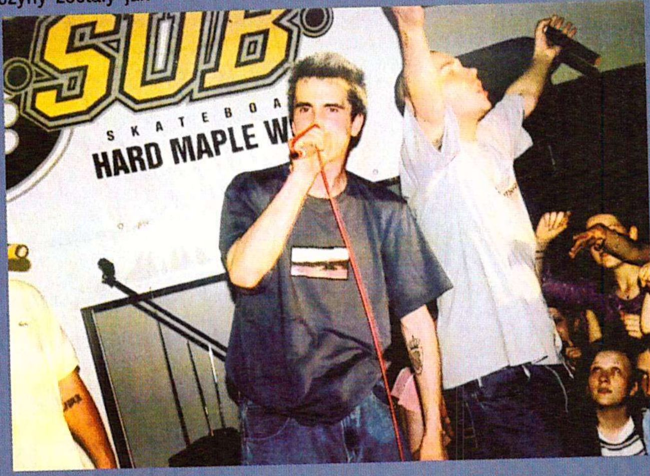
Pod klubem jak zwykle tłum zgłodniałych dobrej muzyki dzieciaków taranujących niecierpliwie drzwi, by czym prędzej dostać się do środka. Między nimi ja piszący te słowa. Nie ma litości – każdy musi przejść przez konkretne macanko na bramce, by w rezultacie znaleźć się w środku, gdzie pomimo tego, że na zewnątrz została jeszcze cała masa ludzi, impreza rozkręca się na dobre, a to za sprawą rezydenta DJ Roballa, który tego dnia obchodził swoje urodziny. Nie ma lipy, zanim wszyscy nie wjadą do klubu, żaden z zespołów nie zacznie grać.

Na scenie zaczęło się od występu PLB, jednego z weteranów lokalnej sceny, który pomimo trudnego zadania, jakim jest supportowanie gwiazd takiego formatu, dobrze radził sobie z mikrofonami, konkretnie rozgrzewając przybyłą publikę. Kolejny skład to Teerio, mniej uliczny – trąbka, saksofon, klawisze, odrobina acid jazzu, niemniej jednak konkretny materiał.

Potem kolej na Vizę, gościnnie jeden kawałeczek i sto lat dla didżeja-jubilata. Dziewczyny zostały jak zwykle ciepło przyjęte, a po swoim występie zaprosiły na scenę zaprzyjaźnionych z Ewenementem lokalnych reprezentantów ciemnej strony, Wychowanych Na Błędach. Szok – to, co działo się na sali, potwierdziło silną pozycję WNB w Białymstoku. Przed gwiazdami pojawiła się jeszcze lokalna ekipa b.boyi, która w rytm oldschoolowych kawałków dokładnie wykręciła parkiet.

Teraz już tylko Peja i Ewenement. Peja pojawia się na scenie wraz ze swoimi ziomkami. Pierwszy numer i cała sala śpiewa refren, drugi – wszyscy wariują, trzeci... ciężko to opisać. Po paru numerach Peja na scenę zaprasza Ewenement i wspólnie grali na zmianę po kilka kawałków! Publika szalała, totalny wypas, doskonały koncert. Kapele zaś udowodniły nam, że obce im jest gwiazdorstwo. Grając na przemian koncert położyły też kres starym zaszłościom, a raczej plotkom. A na koniec już tylko party, za gramofonami DJ Dobry Chłopak i trzymający się jeszcze na nogach po wypiciu tysiąca toastów DJ Roball...

(Qba)



SPROSTOWANIE

To właściwie nie jest sprostowanie, tylko informacja, którą uzyskaliśmy po wydaniu poprzedniego numeru. A chodzi o fotki, które ilustrowały wywiad z O.S.T.R.-em. Ich autorką jest IZA BIEŃ. Iza, to naprawdę nie nasza wina! Pozdrawiamy!

SPROSTOWANIE ASFALT RECORDS

W majowym numerze Ślizgu ukazał się ciekawy wywiad z O.S.T.R-em. Niestety, wywiad ten, mimo autoryzacji Ostrego, nie jest wolny od pewnych dwuznacznie brzmiących wypowiedzi. Tekst: "A o tym, że wyszła, to się dowiedziałem będąc w sklepie" (o płytce "30 minut z życia") nie świadczy bynajmniej o tym, że O.S.T.R. nic nie wiedział o oficjalnej premierze swego pierwszego freestyle mixtape'u. Bez zgody i pełnej współpracy Ostrego Asfalt Records nie otrzymałoby przecież ani pre-mastera tej płyty, ani przygotowanych specjalnie na tę okazję pozdrowień, które znalazły się we wkładce do "30 minut...". Przy okazji innego tekstu z tego wywiadu: "to Tytus wypuścił, on się tym zajmuje, on miał pomysł, żeby to wydać", trzeba zaznaczyć, że główną motywacją do oficjalnego wydania pierwszej w Polsce płyty "100% Freestyle" były telefony do osób, które szukały tego mixtape'u po pozytywnej recenzji pierwszego, domowego wydania "30 minut..." w 8. numerze pisma "Playa". Najważniejsze prawo rynku mówi, że tam gdzie jest popyt, musi pojawić się podaż.



TURNTABLE ESSENCE

Z płytami zawierającymi w tytule słowo "turntablizm" różnie bywa. Czasami bowiem dostajemy po uchu tak ciężką dawką wygrzewu jakiegoś mistrza operacji na dwóch płytach, że dochodzić do siebie musimy przez naprawdę długi czas. Ale ponieważ różnie ludzie operują, to i różne płyty mamy. Ta jest całkiem znośna, żeby nie napisać, że i dla normalnych ludzi, zupełnie niezainteresowanych zagadnieniem, przyswajalna. Ja się akurat interesuję, więc może nie powinienem takich rzeczy pisać, ale... już napisałem. Na tej składance postawiono na eklektyzm, tutaj zabawa nie ma miejsca tylko w obrębie krążków rapowych, triki następują na skutek wprawienia w niecodzienny ruch winyli z jazzem – i to nie tylko tym nowoczesnym, ale i klasycznym, rytmami karaibskimi, tripami, funkiem, no i oczywiście rapem. Każda kompozycja zaskakuje czymś innym i choć technika prezentowanych zawodników różni się od siebie często dość znacznie, są to zdecydowani pierwszoligowcy. Od utworów ciężkich, nastawionych na zmasakrowanie uszu, po lekkie, techniczne przeloty, w których ostre skrecze przechodzą w sympatyczną pulsację. Rob Swift z Bobem Jamesem, Amp Live, miss Kuttin Kandi, DJ Design między innymi, a jest jeszcze kilka propozycji. Konkretnych. **k.**



KRS-ONE AND THE TEMPLE OF HIPHOP SPIRITUAL MINDED

Kim jest Kris Parker? Jest kurewsko zadufanym w sobie emcee, tworzącym najbardziej wiarygodny pomost pomiędzy starym a nowym. Jest nauczycielem, filozofem hip-hopu. Jest geniuszem. I to wszystko nie tylko we własnym pojęciu KRS-ONE'a. Jeżeli ktoś ma w tym interesie prawo podnosić wysoko głowę, Parker na pewno jest tym kimś. Tym razem jednak KRS nie opiera się tylko o swoje własne słowa, idzie dalej, opierając się o Biblię. Hip-hop nie jest już dla niego tylko kulturą, w której żyje, którą sam w dużym stopniu budował, staje się filozofią spełniającą wszystkie potrzeby ludzkiego umysłu. Uduchowiony umysł wyrażający swoje wizje w oparciu o twardy rytm hardkorowych rapowych bębnów – brzmi groźnie? A jest po to, by uczyć. Bóg dał mu to, co ma, teraz KRS chce przekazać to dalej. Czy mu się uda? Nie mnie przesądzać, bo jestem tylko prostym, niewierzącym białasem. W każdym razie za sprawą tego krążka obcuję z rapową szkołą, której często mi brakuje i która mnie wzmacnia. Także duchowo. **k.**



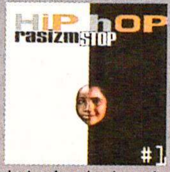
LAURYN HILL MTV UNPLUGGED 2.0

Lauryn Hill jest bardzo piękną kobietą. A jak ktoś jest ładny, to będzie wyglądał ładnie nawet z gitarą klasyczną. Tak więc Hill wygląda z gitarą znakomicie. Wszyscy wiemy, czym jest MTV Unplugged? Tak, no to przypomnijmy – to taki program, w którym nie ma instrumentów elektronicznych i elektrycznych, a artyści starają się jak najwięcej wyciągnąć z akustycznej głębi swoich dusz i instrumentów. Pompatycznie brzmi ta głębia dusz, ale co zrobić – cała ta płyta jest taka. Mam wrażenie, jakby pani Hill zupełnie już zapomniała, czym jest lekkość, poczuła za to moc przekazywania mądrych i przełomowych myśli. Jeśli dołożymy do tego nastrojowe dźwięki gitary, to efekt jest... delikatnie niepokojący. Po za nielicznymi momentami wydaje mi się, że słucham cały czas jednej pieśni, w której Lauryn stara się pokazać światu swoją jego wizję, czyniąc to z mocnym zacięciem profetycznym i filozoficznym. Zawsze lubiłem zaangażowane czarne śpiewanie, ale ta płyta to trochę dla mnie za dużo. Nużąca estetyka, przydługie przegadane przerwy między utworami, w końcu tematyka – ciężko przez to przejść, a całość jest na dwóch płytach. Życzę pani Hill dalszego dążenia do równowagi i ogólnie szczęścia, ja zaś teraz posłucham sobie starego Fugees, żeby się trochę wyluzować. **kowal**



PEZET-NOON MUZYKA KLASYCZNA

Zanim ta płyta się ukazała, już było o niej głośniej, niż o niejednej obecnej na rynku produkcji. Czekałem więc, bowiem z obozu Obrońców osoba Pezeta interesuje mnie najbardziej. Obserwuję faceta od dłuższego czasu i widzę, że z delikatnie oszołomionego dzieciaka powoli wchodzi w wiek męski. Czy to wiek zwycięski czy może wiek klęski? – jak napiszę za wieszczem. Dobra, przejdźmy do konkretów. Zacznijmy od produkcji – Noon to ścisła czołówka ekstraklasy, więcej dodawać nie muszę. A Pezet? Pezet jest w tej chwili jednym z najlepszych polskich raperów. Nienaganny technicznie, z cholernie bogatą wyobraźnią i ciekawym flow. Czego chcieć więcej? Może ciekawszych historii? Mam autentyczną przyjemność ze słuchania tej płyty, bo starannie wyprodukowany i zarymowany rap to dziś rzecz na naszej scenie rzadziej, niż kiedyś spotykana, ale jednocześnie łapię się na tym, że im więcej wsłuchuję się w teksty Pezeta, tym mniej go rozumiem. Trafiają do mnie "Re-fleksje", bawi mnie "Seniorita" (choć skit przed nią jest żenujący), znakomitym kawałkiem jest "Zimnafuzja" z Fokusem, ale po kawałku "Bez twarzy" na przykład chciałbym zadać pytanie: komu się żalisz? Choć może tak właśnie miało być? W każdym razie pozytywów zdecydowanie więcej, a negatywy ich nie przysłaniają. Dobra płyta. **kowal**



HIP HOP RASIZM STOP

Stowarzyszenie "Nigdy Więcej" walczy z rasizmem na różnych polach, teraz przyszła pora na polski rap. Furtka słuszna, tylko kooperacja trochę nieudana, bo kompilacja stworzona przez MGK Rec. jest po prostu nudna. Słabe produkcje słabych wykonawców. Po wysłuchaniu tej płyty wcale nie mam zamiaru zastanowić się nad problemem rasizmu wokół mnie, tylko nad tym, po kiego chuja niektórzy chwytają za mikrofon!? Bez stylu, bez pomysłu. Ja już sobie oszczędzę podawania nazw i ksywek wykonawców, ale poproszę o jedno – dajcie sobie spokój. Może nie wszyscy, ale większość. I jeszcze jedna sprawa, chyba równie istotna. Słyszałem kilka składanek przeciwko różnym fobiom i wydaje mi się (na zdrowy rozum), że nie jest najlepszym wyjściem, żeby na tego typu produkcji co drugi tekst wypełniony był jakąś dziwną agresją. A może to jest frustracja? Sam już nie wiem i nie będę się nad tym zastanawiał. Walczcie z rasizmem, ale z kiepskimi produkcjami też. **kwl**



SPIDER-MAN MUSIC FROM AND INSPIRED BY

Od czasów "Walk This Way" wykonywanego z Run DMC nie słyszałem żadnego fajnego kawałka Aerosmith, może poza "Wind Of Change", ale to chyba był kawałek Scorpionsów. A tymczasem na soundtracku do nowej amerykańskiej superprodukcji opartej na bazie komiksu, jest fajna wersja klasycznego "Theme from Spider Man" właśnie w wykonaniu Aerosów. Co z resztą? Z resztą jest różnie. Generalnie jest rockowo i alternatywnie, ewentualnie pseudoalternatywnie, w każdym razie gitarowo. Konkretny jest kawałek The Hives, niezły "Invisible Man" Theory Of A Dead Man, znakomicie brzmi Macy Gray w remiksie Toma Morello z Rage Against The Machine, przekonuje też kawałek Jerry'ego Cantrella z Alice In Chains. No i niezły jest główny temat muzyczny filmu autorstwa Danny'ego Elfmana. Mimo tych przebłysków pozytywu, mam nadzieję, że film okaże się lepszy, niż soundtrack. **k.**



ROYCE DA 5'9" ROCK CITY

Fajfnajn konsekwentnie pokonuje kolejne etapy rapowej kariery. Może już byłby na samym szczycie, gdyby wytrwał w układzie z Eminemem, z którym kilka lat temu tworzyli duet Bad Meets Evil. W każdym razie blat z Emem trwa, blondino jest executivem tej płyty, chłopaki z Detroit trzymają się razem. W drodze na szczyt (na który Royce na pewno dojdzie) koleżka pracował właśnie z Emem (jedyny featuring na jego pierwszej płycie), z Dre'em, Premierem i jeszcze kilkoma osobami. I tutaj właśnie widzę zajebistą umiejętność tego rapera – nie boi się delikatnie zmienić swojego stilo, podjechać z tematem w różnych kierunkach. Jeden raper, wiele twarzy, a co najważniejsze – taka opcja nie razi. A Rock City to dla mnie hicior z gatunkowo wysokiej półki. Widać, że Royce często podróżuje, pracuje z różnymi ludźmi, a przy wybieraniu bitów nie kierował się jakąś ścisłą formułką, tylko brał, co mu pod rym podeszło. I co wyszło? Moc wyszła. Płyta jest nowoczesna, choć słuchając jej mam też wrażenie, jakbym odjechał na moment w okolice 93-96, czasy perełek njuskulu. Nie wyjmuję z odtwarzacza, polecam. **kowal**



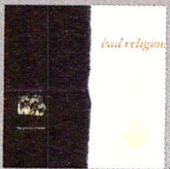
LIL KEKE PLATINUM IN DA GHETTO

Jak się widzi takie okładki i czyta takie tytuły, wszystko staje się jasne w miarę szybko. I, co najgorsze, nie można się pomylić. Tak więc już wiecie, o co chodzi Keke'owi i jakiego rodzaju grę trenuje. Brzmienia west i south w różnych odsłonach, gangsta, lansowanie, problemy nowoczesnego Afroamerykanina z misją przycięcia paru dolarów, a także trochę rozterek przy tym powstających, jak również sporo murzyńskiej miłości. Odkrywczego to ja na tej płycie nie znalazłem dosłownie niczego, ale słuchać się da. Taka papka samochodowo-imprezowa, przy czym trzeba mieć w samochodzie dobre nagłośnienie, by zachować klimat południowoamerykańskiej remizy i grillowanych kurczaków. Poszczególnych kawałków wymieniać ani polecać nie będę, bo i po co? Wszystko z grubsza podobne. Jak ktoś regularnie eksploruje podobne klimaty, to przez to przeleci. Wnioski zapewne będą różne, ale specjalnych uniesień nie przewiduję. **k.**



GIVE 'EM THE BOOT III HELLCAT RECORDS

Hellcat Records zostało założone przez Tima Armstronga z zespołu Rancid. Większość zespołów na Hellcat pochodzi ze środowiska punkowego, z tym, że muzyka jest dość różnorodna. Tak jak i na płycie Give 'em The Boot III. Można tutaj znaleźć wiele stylów: począwszy od rock steady, poprzez oi!, a kończąc na hardcorze. Trzeba przyznać, że składanki słucha się bardzo sympatycznie. Poza tym zawiera takie perełki, jak Duane Peters and The Hunns (dla tych, co nie wiedzą, kim jest Duane: ma ponad czterdziechę, żonę, dzieci i tak dusi baseny, że niewielu prosów mu dorównuje), czy Roger Miret and The Disasters. No i dla prawdziwych punków – płyta jest po przystępnej cenie. Buy or die. **Boniek**



BAD RELIGION THE PROCESS OF BELIEF

Pamiętam, jak kupiłem moją pierwszą płytę Bad Religion No Control. Zaraz potem wróciłem do sklepu po Suffer i Generator. Od tego czasu ten zespół rządził. Ale niestety, od czasów płyty The Gray Race Bad Religion straciło na klimacie. Mr. Brett miał kłopoty z drugami, odszedł z zespołu, wracał, i nie mógł wrócić, jak to bywa z narkomanami. Na szczęście gość się wziął w garść, a jego comeback spowodował, że ekipa zaczęła wreszcie grać jak na Bad Religion przystało. Nie, to znaczy, tak. Zaczęli grać nie tylko z tą samą szorstką energią jak dawniej, ale także się rozwinęli muzycznie. Przy niektórych piosenkach aż przechodzą ciarki, a czasami można dostać skurczu mięśni. Tak, tak, ta płyta to kolejny kamień milowy w historii tego zespołu. To już nie jest to monotonne Bad Religion. Słuchając płyty ciężko się do czegoś przyczepić. Jakość nagrania jest sublime (no cóż, panowie mają własne studio), kawałki są bardzo różne: melodyjne, kipią energią, a czasami całkiem emocjonalne. Przejścia w utworach są świetnie wykonane. Wszystko razem tworzy doskonałą całość.



RED AL-HUB

Włączyłem płytę i szczerze mówiąc całkiem przyjemnie się wkręciłem w nietuzinkowe bity Reda oparte w dużej mierze na specyficznych dziwnych wschodnich samplach. Rozumiem, że tego typu produkcja nie wszystkim przypadnie do gustu, ale ja mówię szczerze, że mi to się nawet podoba. Goście to także kwestia gustu, za Eldoką nie przepadam, bo nie lubię pseudo-intelektualistów i ich tekstów, Cezet i Kret także na mnie nigdy większego wrażenia nie zrobili, ale widać, że robią swoje z sercem i to się liczy. Eis niestety jest w moim odczuciu bezmyślną kserówką i szczerze przyznam, że numer z nim pomimo przyjemnego podkładu jest w moim odczuciu najgorszy. Jednak jest też kilka całkiem przyjemnych motywów, jak na przykład "Azizi" (szacunek Red, szacunek Pezet – bardzo dobra robota!). "Ten typ" z Mesem, freestyle O.S.T.R'a, "Funktastic" z Magdą Polańską i "One Love" z naprawdę dobrze śpiewającą Karoliną Kozak (niestety, po angielsku). Podsumowanie wychodzi całkiem nieźle i choć nie jest to pozycja, której posiadanie jest niezbędne, to na pewno nie pożałujecie wydanych na nią pieniędzy. Dla mnie "Al-Hub" to miłe zaskoczenie. **Franek**



MILLENCOLIN HOME FROM HOME

Nowa płyta szwedzkiego punkowego zespołu Millencolin jest niemałym zaskoczeniem. Chłopaki zawsze grały szybkiego, skocznego, lekko wesołego i mocno melodyjnego punk rocka. Jak się ich słuchało, to świat naokoło w dużej mierze odżywał: z takim też nastawieniem puściłem Home From Home. Już od pierwszego utworu ma się wrażenie, że skład zespołu się zmienił i tylko wokalista został ten sam. Jak na Millencolin płyta jest co najmniej dziwna, tym bardziej jak się ją porówna do poprzednich albumów Life On A Plate czy For Monkeys. Home From Home jest o wiele wolniejsza, za to panowie grają ciężej, plus doszły do tego różne style. Dzięki temu można płyty słuchać spokojnie, bez zagrożenia nadciśnieniem. Z drugiej strony jednak szkoda, że panowie wstąpili w okres 'dojrzałości' muzycznej, bo czasami fajnie jest się powygłupiać i zrobić zadymę. Pomimo tej metamorfozy, można na płycie znaleźć kilka naprawdę niezłych kawałków,

którym energii co najmniej nie brakuje. Fani zespołów typu Pulley, Lagwagon czy Pennywise będą lekko zawiedzeni, kibice Samiam będą zadowoleni. A fanom Millencolin pewnie wszystko jedno. **Boniek**



ASHANTI
ASHANTI

Często jest tak, że za sukcesem poszczególnych hitów stoją wykonawcy mniej znani, początkujący. Niewątpliwie takim newcomerem była od samego początku dla mnie Ashanti. To ona, obok Ja Rule'a, grała pierwsze skrzypce w Always On Time. Jeżeli zastanawiałeś się, kto wykonuje refren w megahicie Fat Joe' a "Whut' s Luv" odpowiedź jest jedna – Ashanti. Wszystko wskazywało na to, że album tej młodej wykonawczyni r'n'b będzie nie lada wydarzeniem. Niestety, mimo że płyta jest całkiem dobra jak na debiut, brakuje na niej jednego przeboju, takiego, jakie wcześniej nagrywała. Namiastką hitu jest "Foolish", jednak tu Ashanti śpiewa pod bit na samplu wykorzystanym w niezapomnianym "One More Chance" Biggiego. Szkoda!!! Druga część Always On Time nie dorasta do pięt pierwowzorowi, a Ja Rule niestety nie ratuje. W sumie Ahanti daje 14 dobrych kawałków, całości brakuje jednak czegoś wybijającego się ponad przeciętność. Z drugiej strony należy pamiętać, że jest to dopiero jej pierwszy album, a więc wszystko jeszcze przed nią. **40%**



DUNGEON FAMILY
EVEN IN DARKNESS

Lepiej późno niż wcale. Nie wiem, zawsze musi upłynąć trochę czasu, zanim przekonam się do jakiejkolwiek produkcji Dungeon Family. Nie potrafię tak od razu strawić płyt Outkastu czy Goodie Mob. Czas jednak robi swoje. Tak było też w przypadku Even In Darkness, kompilacji ukazującej siłę i potencjał DF. Po przesłuchaniu materiału można stwierdzić jedno. Po sukcesie Stankonii Outkastu DF ma receptę na hity. Zajebiste funkowe bity zrobione na sentyzatorach (wyraźnie czuć brak sampli) przez ET3 i Organized Noize oraz nawinięte pod nie wersy i refreny wyraźnie zainspirowane dokonaniami Bootsy Collinsa i George' a Clintona zrobiły swoje. Even In Darkness słucha się przyjemnie. Co więcej, nie ma się wrażenia deja vu. Muzyka jest świeża, nie ma ani blink blinków, ani jakichkolwiek hardcore'owych naleciałości. W zasadzie brakuje na tej płycie utworów, które można przerzucać. Od pierwszego "Crooked Booty" po czternasty "Curtains", Dungeon Family nawija tak, że po każdym kończącym się kawałku chcesz wrzucić repeat, jednak wtedy wchodzi kolejny kozak, nic na to nie możesz poradzić, siedzisz i słuchasz. Jest to jedna z niewielu płyt, które bez wahania mogę polecić. Jeżeli nie masz to powinieneś mieć, naprawdę. **40%**



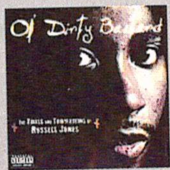
R. KELLY & JAY - Z
THE BEST OF BOTH WORLDS

Zajarałem się tym projektem już na długo przed usłyszeniem pierwszej kawaliny pochodzącej z The Best... . Jeden z najlepszych mc, Jay - Z (przez wielu uważany za nr 1) i R. Kelly, król r'n'b, te nazwiska mówią same za siebie. Do tego wiele znakomitych utworów poprzedzających wspólny album (np. "We Ride", "Fiesta RMX"). Czekałem i się doczekałem. The Best Of Both Worlds jest 50-cio minutową mieszanką rapu i r'n'b w wykonaniu najlepszych, co nie oznacza, że wszystko wyszło najlepiej. Powiem szczerze. Po pierwszym odsłuchaniu płytki byłem rozczarowany. Przekonałem się do niej z czasem i to tylko połowicznie. Najbardziej podoba mi się "The Streets". Życióweczka, Jay opowiada historię, R. Kelly śpiewa w refrenach, tego oczekiwałem. Niestety, podobne utwory są rzadkością. Według mnie za dużo tu Kelly'ego. Spoko jest jeszcze "It Ain' t Personal", "Green Light" i "Honey". Reszta mnie za bardzo nie rusza, a w pewnym momencie miałem złudzenie, że wszystko jest jednym długim na kilka traków utworem. Nie uważam, że The Best Of Both Worlds jest tragiczną płytą, jednak w porównaniu z Blueprintem, Jay - Z obniżył lot o kilka pułapów. **40%**



WYCLEF JEAN
MASQUERADE

Z reguły rozpad zespołu uniemożliwia prawidłowe funkcjonowanie poszczególnych jego członków. Nie potrafią oni odnaleźć się w solowej twórczości. Mimo tego, istnieją wyjątki. Jednym z nich jest Wyclef. Dla mnie jest on osobliwym przypadkiem. Szczególnym z kilku powodów. Po pierwsze, nie lubiłem Fugees. Po drugie, nie podobają mi się solowe płyty pozostałych Zbiegów tzn. L. Hill i Prasa. Natomiast płyty spod ręki Wyclefa przypadają mi do gustu. On jako jedyny z tria dojrzał muzycznie. Jego nagrania wyraźnie pozostają pod wpływem hip-hopu, jednak co jakiś czas słychać w nich inspiracje reggae. Twórczość Wyclefa to także w dużej mierze eksperymenty muzyczne (współpraca z Carlosem Santaną czy Whitney Houston). Wszystko to sprawia, że muzyka, jaką tworzy, jest daleka od schematów i stanowi pewnego rodzaju odskocznię, jakiej każdy z nas czasami szuka. Ta płyta to powrót do rapu z ulic, teksty mówią o codziennym życiu, przetrwaniu na ulicach, są kierowane do dzieciaków. Jeżeli chodzi o brzmienie Masquerade, jest ono na pewno surowsze, niż na poprzednich płytach. Płytę lansuje "PJ's" osiedlowy hymn i niesamowity "One Last Chance" zaśpiewany w duecie z Claudette. Oprócz niego zauważalny jest szczególnie "Peace God" i "Pussycat". Niezła jest imprezówka "Party Like I Party". Wyclef nie zawiódł. **40%**



OL DIRTY BASTARD
THE TRIALS AND TRIBULATIONS OF RUSSELL JONES

Dość dziwny jest ten koleś. W zasadzie nie chcę o nim pisać, ponieważ nie jestem do końca pewny co tak naprawdę dzieje się w jego burzliwym, pełnym skandali życiu. Ostatnio słyszałem, że siedzi, innym razem, że jest na przymusowej terapii odwykowej, jednym słowem – ma kłopoty. Prawdę mówiąc, ukazanie się tej płyty stało dla mnie pod wielkim znakiem zapytania, a jej zapowiedzi i reklamy traktowałem z przymrużeniem oka. Byłem pewny jednego – ODB przeprowadził się na Zachodnie Wybrzeże i tam miał nagrywać swój nowy materiał. The Trials... potwierdza wcześniejsze przypuszczenia. Jest to płyta wyraźnie zainspirowana brzmieniem West Coastu. Słyszy się na niej, że ODB poszedł śladami wyznaczonymi przez Nigga Please, a więc miejsce surowych bitów RZY, zastąpiły produkcje Neptunes (które sprawdziły się wcześniej w "I Got Your Money"). Jak na wcześniejszych płytach, ODB nawija swoim chaotycznym, gorączkowym i pełnym ekspresji flow. Z całego materiału bardzo wybija się "Dirty & Stinkin'", kawałek wprost stworzony na imprezki, z charakterystycznym wpadającym w ucho śpiewanym refrenem. Poza tym na The Trials jest sporo naprawdę bardzo dobrych featuringów. Szczególnie podobała mi się zwrotka Too $horta w "Dogged Out", gdzie nawija również Big Syke oraz Mack 10 w "Caught Up", kawałku, który z pewnością powinien być singlowy (a może jest, nie mam niestety dostępu do MTV czy Vivy). Szczerze pisząc, nie spodziewałem się takiej płyty po Ol Dirty'ym. Dla fanów posiadających jego wcześniejsze albumy będzie ona miłym zaskoczeniem (już samo jej ukazanie się!!!).



P. DIDDY & BAD BOY
WE INVENTED THE REMIX

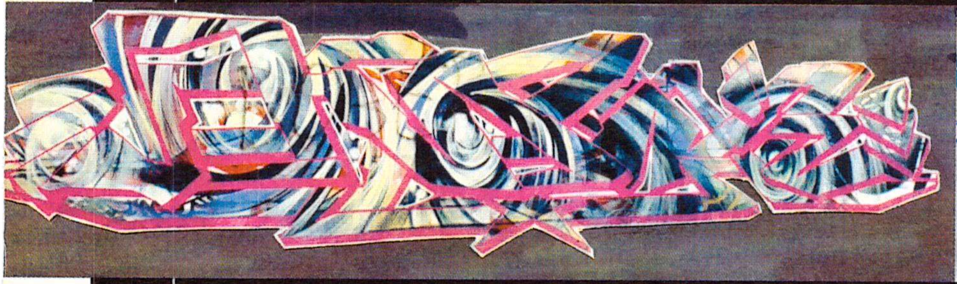
W życiu jest tak, jeżeli nie idziesz do przodu to się cofasz. W rap biznesie można przełożyć to na inną zasadę: nie wydajesz płyt, idziesz w zapomnienie. P. Diddy zna i wyznaje tą maksymę jak nikt inny, w końcu w ciągu swojej, już długiej i błyskotliwej, kariery zaliczył dół, z którego rzadko, kto potrafiłby się podnieść (morderstwo Notoriousa B.I.G. i odejście Craig Macka). Na pierwszy rzut oka mamy do czynienia z bublem. Biorę nowego Puffa i co widzę???... remixy. Kurwa, co, jak co ale odgrzewanych kotletów to ja nie jadam!!! We Invented The Remix, czyli My Wynaleźliśmy Remixy, właśnie takie sprawia pierwsze wrażenie. Ci którzy nie pamiętają remixu One More Chance Biggiego i Flava In Ya Ear Craig Macka, pomyślą, że to jakiś kolejny tani, komercyjny chwyt, mający na celu sprzedanie kolejnych krążków. Nie próbuję bronić P. Diddiego. Fakt, jego płyty to komercja w najczystszej postaci, nikt nie odmówi jednak mu i jego ekipie talentu do robienia remixów, które często wypadają lepiej od oryginałów. Tak jest w tym wypadku. Special Delivery G. Depa z gościnnym występem Ghostface Killah, Craig Macka (!!!) i Keith Murraya robi wrażenie. Na We... mamy dwie części I Need A Girl z udziałem Ushera, Loona i Genuwine'a, które są kawałkami stworzonymi wprost na imprezki. Zajebisty remix Bad Boy For Life z M.O.P. i Busta Rhymesem. W That' s Crazy P. Diddiego i Familię wspomaga Missy ze Snoopem. Do tego w nowych aranżacjach utwory Notoriousa B.I.G., 112 oraz Mary J. Blige. Podsumowując, We... jest albumem ciekawym, jednak nie jest żadną rewolucją. Dlatego też mogę tą płytę polecić wyłącznie fanom Bad Boya, pozostałym zaś radzę przed zakupem po prostu ją przesłuchać. 40%

INTRO

WITAM. JAK CO MIESIĄC PRZYGOTOWAŁEM DLA WAS DUŻĄ PORCJĘ WYPASIONYCH PRAC. TYM RAZEM PIERWSZE DWIE STRONY POŚWIĘCONE SĄ MIASTU KRAKÓW. NASTĘPNIE 3 I 4 STRONA TO POPISY W INNYM WYKONANIU...NASTEPNIE FOTOMIX I COŚ DLA WIELBICIELI JEŻDŻĄCEGO GRAFFITI... PANELE. 9 i 10 STRONA KOSZALIN JAM MAJ 2002. SPECJALNIE DLA WAS. ZATEM SMACZNEGO.
FO.





















MIASTO → KRAKOW







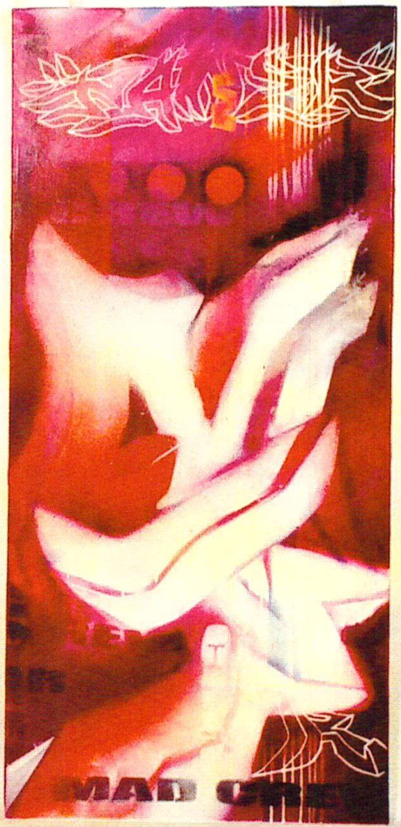












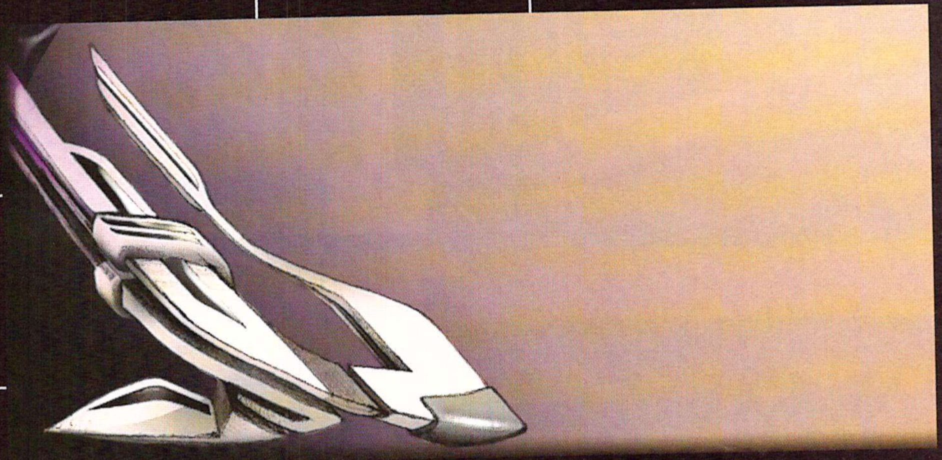


1. forin-mistrz fo vhs ax bsk
2. forin-vhs ax bsk
3. nawer-vhs ax mad bsk
4. nawer-vhs ax mad bsk
5. ieer-def ax bsk
6. ieer-def ax bsk
7. ieer-def ax bsk

mitt CREW
GRAFFITI WEAR

Canvas...













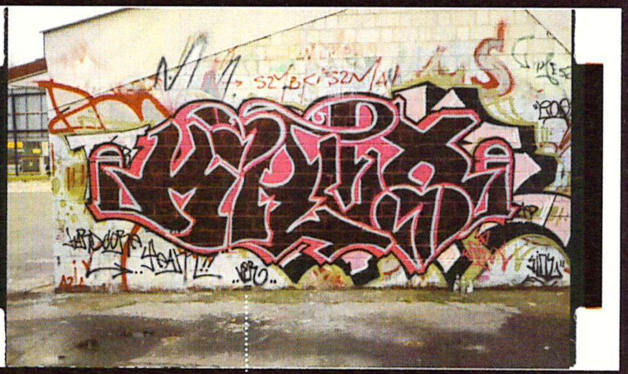
















mekht sd(wwa), forin vhs ax(wwa), forin vhs ax(wwa), piks tg ktr(wwa), two(wwa), piks tg ktr(wwa), korne 4ma(wwa), krux 4ma(wwa)

fotomix

FOTO 4616

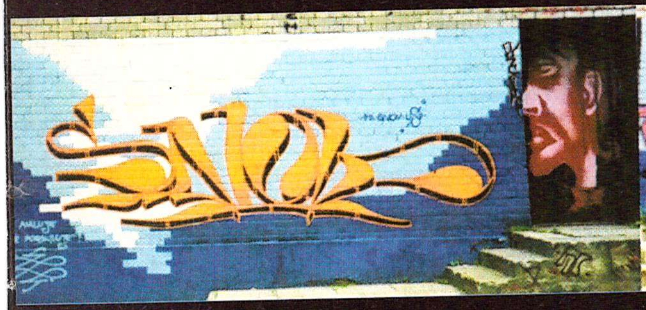
ziek2 & cybe vhs ax(wwa), forin & bisk vhs ax(wwa), forin & cybe vhs ax(koszalin)







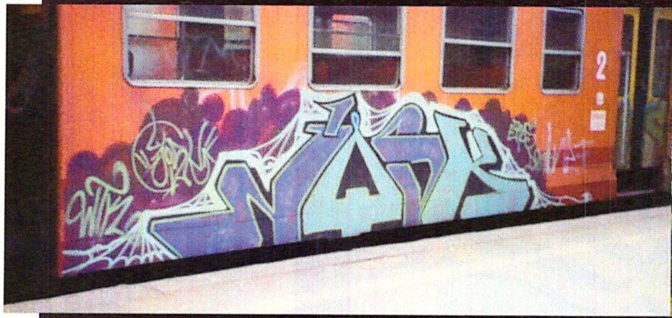
snok, antyram, ?(skarżysko k.)fosta jwp, josk wtk, cher wtk, forin vhs ax, harte vhs ax (łódź)



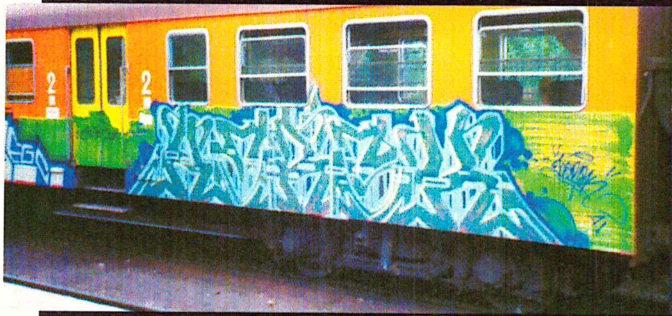




PANELE...







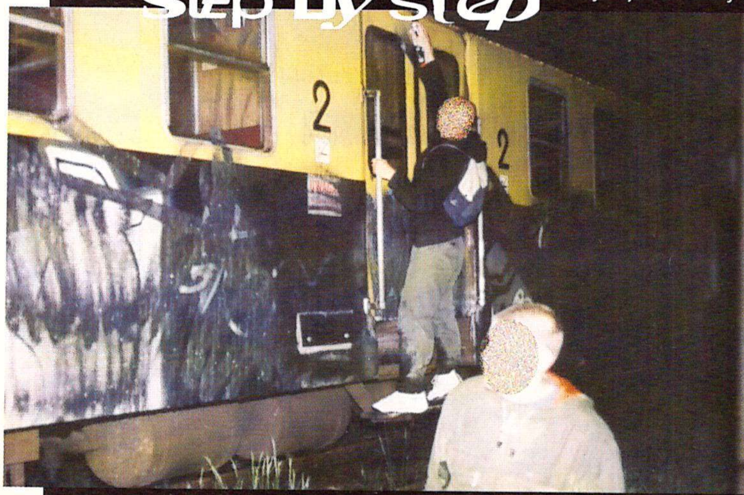






step by step

czyli...jak to lobuzy niszcza kolejki...





panelepanelepanelepanele



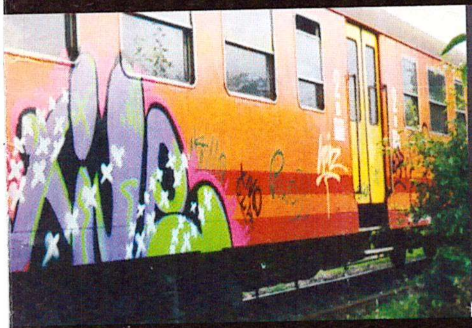


josk wtk
safe bt
clps





hersk wtk
hit ax
safe bt
cnb+forin
on the run





hersk wtk
trop tna
4ma
xive clp
cnb bre





KOSZALIN 2002

jam graffiti odbył się w pierwszych dniach maja.stroną organizacyjną zajęło się crew cns. od razu widać, że chłopaki wiedzą jak zorganizować zajebistą impezę. oprócz wypasionej imprezki, poprzez kiełbaski i piwa dla spragnionych i głodnych turystów z różnych stron polski do dj-a z adapterami pod samą ścianą.
do koszalina zjechali się: dair ewc(który cieszył się niezwykłą popularnością wśród okolicznych młodszych graficiarzy ale także wśród reprezentantek płci pięknej, które chciały,żeby im chociaż taga na czole postawił)ponk ewc, kaski ewc, hamer wt, pojet vhs, ziek2 vhs,chasme ksa, pojet vhs i mój kompan melanżowy z którym biłem rekordy...każdego dnia...cybe. byli oczywiście tubylcy, moi przyjaciele limp2 tsk vhs, cejn tsk vhs i manson ewc nk uc tsk.jam rozłożył się na 3 dni malowania. nie myślcie, że z powodu upojenia alkoholowego, ściana okazała się w trakcie malowania jakaś wielka. jednak się udało. efekt oceńcie sami. fo

wielkie podziękowania dla organizatorów, którzy przeszli sami siebie.
pozdrowienia: cns, ewc, vhs, ksa, tsk, tg crews
nana, kasia, dj kostek(za zajebistą muzę pod scianą) burza(!!!)
i chłopaki.









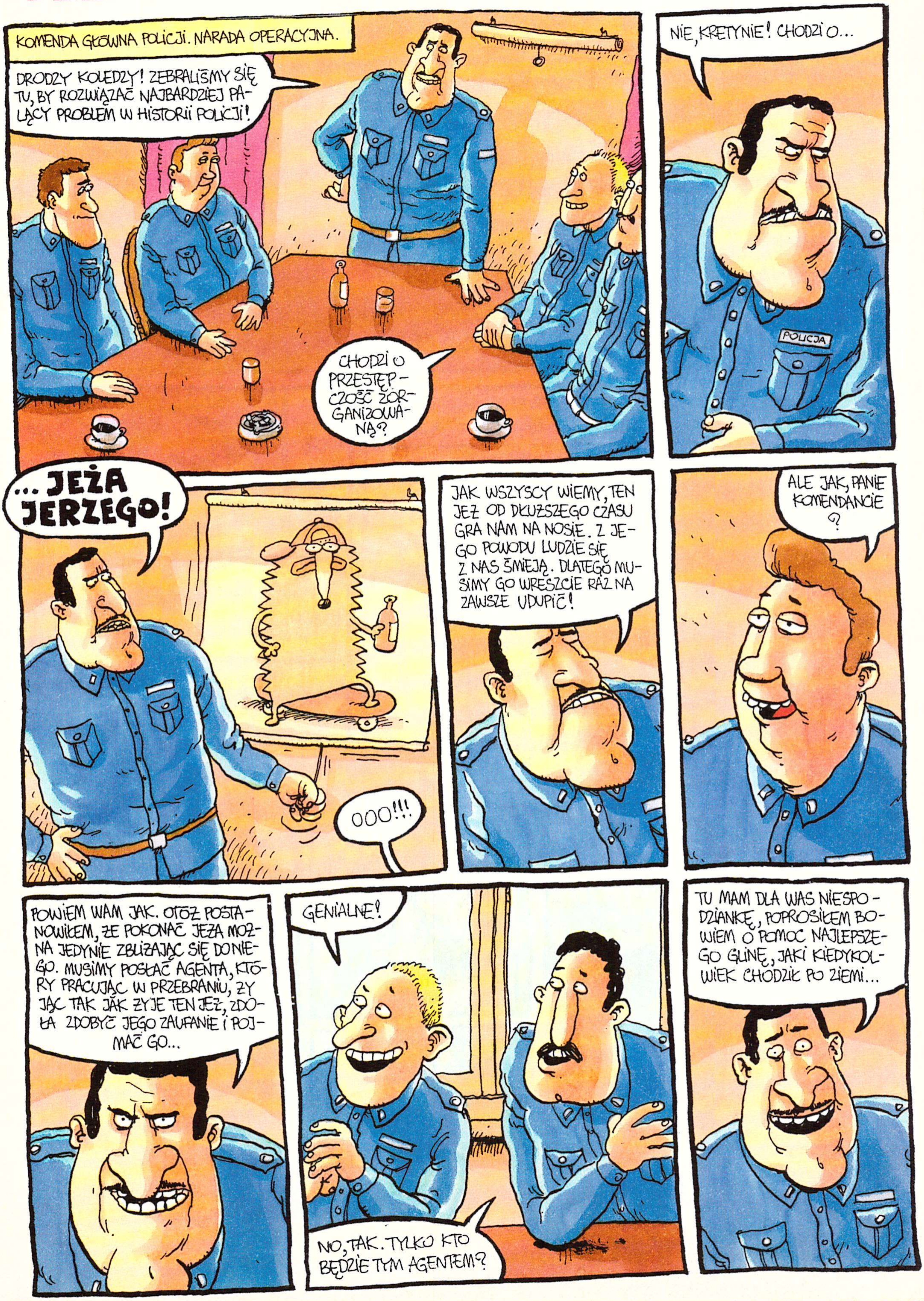


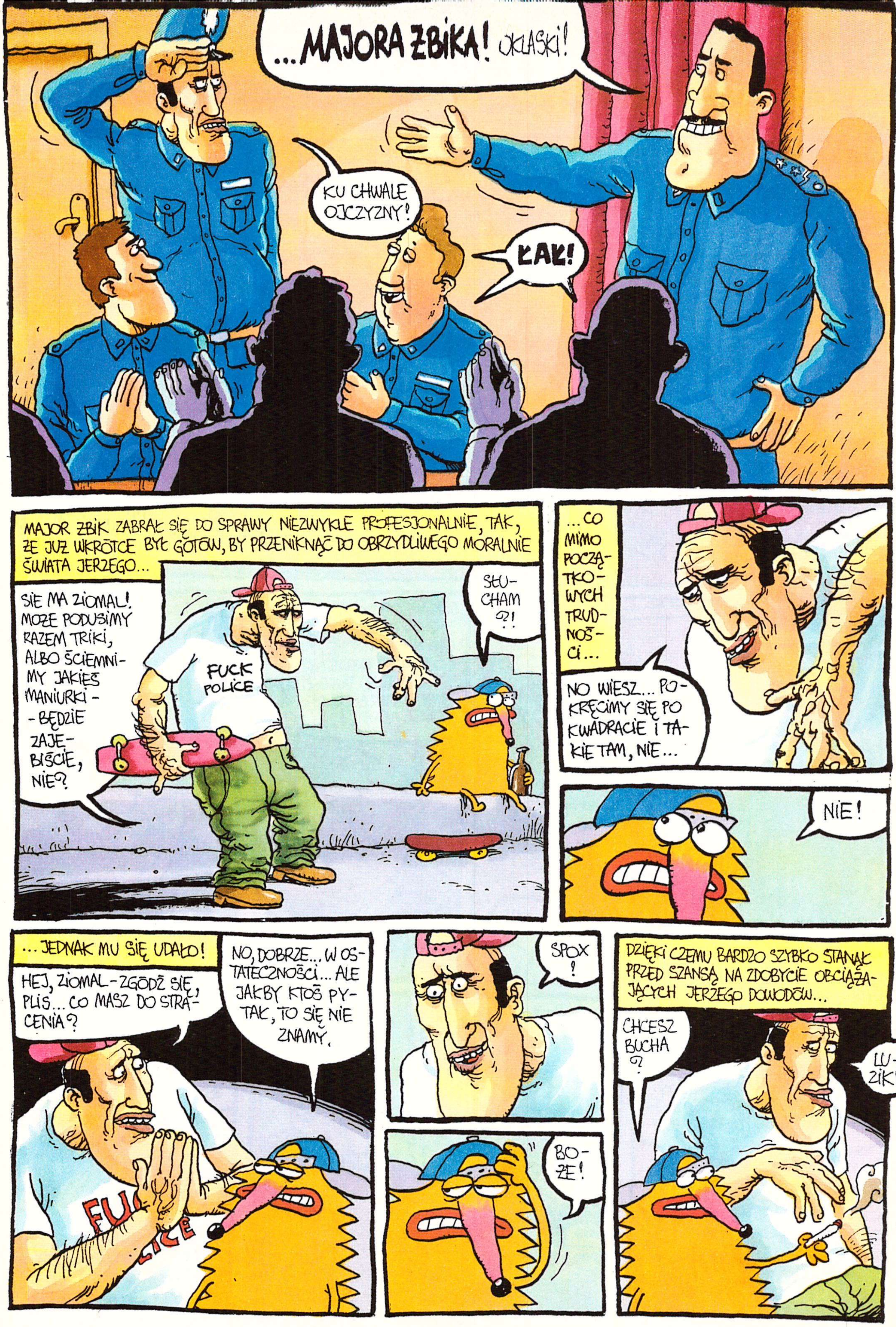



Projekt
Wszystkie Rymy
Dozwolone
P W R D
PozostaWić tRwały ślaD
PozostaWić tRwały ślaD
ŚLIZG
GLOBALNACOOLTURA
Rekord
RECORDS

JEŻ VS ŻBIK

txt: Rafal Skarzycki gfx: Tomasz Lew Lesniak




...MAJORA ŻBIKA! OKLASKI!
KU CHWALE OJCZYZNY!
ŁAŁ!
MAJOR ŻBIK ZABRAŁ SIĘ DO SPRAWY NIEZWYKLE PROFESJONALNIE, TAK, ŻE JUŻ WKRÓTCE BYŁ GOTÓW, BY PRZENIKNĄĆ DO OBRZYDLIWEGO MORALNIE ŚWIATA JERZEGO...
SIE MA ZIOMAL! MOŻE PODUSIMY RAZEM TRIKI, ALBO ŚCIEMNIMY JAKIEŚ MANIURKI - - BĘDZIE ZAJEBIŚCIE, NIE?
FUCK POLICE
SŁUCHAM ?!
...CO MIMO POCZĄTKOWYCH TRUDNOŚCI...
NO WIESZ... POKRĘCIMY SIĘ PO KWADRACIE I TAKIE TAM, NIE...
NIE!
...JEDNAK MU SIĘ UDAŁO!
HEJ, ZIOMAL - ZGÓDŹ SIĘ, PLIS... CO MASZ DO STRACENIA?
NO, DOBRZE... W OSTATECZNOŚCI... ALE JAKBY KTOŚ PYTAŁ, TO SIĘ NIE ZNAMY.
SPOX!
BOŻE!
DZIĘKI CZEMU BARDZO SZYBKO STANĄŁ PRZED SZANSĄ NA ZDOBYCIE OBCIĄŻAJĄCYCH JERZEGO DOWODÓW...
CHCESZ BUCHA?
LUZIK!


DZIWNY TEN PAPIEROS...
FUCK POLICE
...CO PRZYNIOSŁO JEDNAK NIESPODZIEWANE REZULTATY...
?!?
PFFFFFF!
TY NOWY! NIE TAK ZACHŁANNIE! ZOSTAW COŚ DLA MNIE!
...NAWET BARDZO NIESPODZIEWANE...
...WŁAŚNIE POZNAŁEM KLUCZ DO ZAGADKI WSZECHŚWIATA...
TO ZAJEBIŚCIE, TYLKO CZEMU MOIM KOSZTEM! ŻEGNAM KOLEGĘ!
MOŻNA POWIEDZIEĆ, ŻE WYDARZENIE TO KOMPLETNIE ODMIENIŁO ZBIKA...
YEAH!
BUL...BUL...BUL...BUL...
...JEŻA JERZEGO
DAJ BUCHA...
MOWY NIE MA, KOLEŚ!
...JAK I SKŁAD PERSONALNY DOWÓDZTWA POLICJI...
JAK ON MÓGŁ MI TO ZROBIĆ... BYŁ MOIM IDOLEM Z DZIECIŃSTWA...
I TYLKO JEDNO POZOSTAŁO NIEZMIENIONE...
JAKO NOWY KOMENDANT POSTANOWIŁEM NA POCZĄTEK ROZWIĄZAĆ NAJBARDZIEJ PALĄCY PROBLEM W HISTORII NASZEJ POLICJI! MAM TU NA MYŚLI UJĘCIE I UKARANIE NAJWIĘKSZEJ KREATURY, CZYLI JEŻA JERZEGO!
GENIALNE!


WYP3
WIELE HISTORII
PIH
JEDENSIEDEM
NIE MA MIEJSCA JAK DOM
WSPÓLNICY
TO PROSTE, ŻE TERAZ
RZĄDZI W POLSCE RRX
Trzyha
Warszafski deszcz
D.J. 600V
PRODUKCJA - HIP HOP
V6
DJ 600V
BORIXON
Ja mam to co ty
TEDE
WARSZAFSKI DESZCZ
DJ 600V
HIPHOPOWY RAPORT Z OSIEDLA 2000
SKLAD
precedens
TEREN OSIEDLOWY
jedensiedem
wielka niewiadoma
ONAR I OSKA
Superelaks
alchemia
STYL
REPREZENTACJI PIERWSZEJ LIGI
Katowice
CHROM
BEAT OF THE STREET
PWRD
TEDE
W 2002 NAJPRAWDOPODOBNIEJ UKAŻĄ SIĘ: TEDE / TRZYHA / HAJS, HAJS, HAJS / HAKA: KUZYNI / WYP - 3 - WIELE HISTORII (SINGIEL) + NOWY ALBUM / RAPORT 3000 / CHADA / FRANEK - ESEJ / 1 Z 2 (JEDEN Z DWÓCH) / DJ 600V / RADOSKÓR / WKRĘTKA (MUZYKA DO FILMU) / PIH - BOISZ SIE ALARMÓW.
!!!
WSZYSTKIE PŁYTY RRX PO SUPERNISKICH CENACH KUPISZ W INTERNETOWYM SKLEPIE POD ADRESEM:
WWW.KUPRAP.TOPNET.PL
RRX

KONKURS PIŁKARSKI W TENBICIE



Szczegóły na www.tenbit.pl

Odpowiadaj na pytania i wygrywaj nagrody!
Aby wejść do gry wyślij SMS o treści „GOL"
na numer 7144. Wygraj:

Koszt SMS to 1 zł + VAT. Usługa dostępna w sieci Era, Idea i Plus GSM.



15 x SEIKO FIFA limitowana edycja
w zegarki tej linii wyposażeni zostaną polscy piłkarze przed wyjazdem na Mundial

5 super zestawów o wartości po 1200 złotych każdy
oraz
210 produktów sportowych
z ogólnoświatowej sieci sklepów The Athlete's Foot

The Athlete's Foot

ZAWSZE W FORMIE

TENBIT.pl

GRUPA ITI



Wydawca – Towarzystwo Wydawnicze i Literackie Sp. z o.o.
00-258 Warszawa, ul. Brzozowa 35, tel/fax +48226359874
nr konta: Kredyt Bank IV O/Warszawa 15001777-121770066518

Druk – Drukarnia Prasowa SA w Łodzi, Al. Piłsudskiego 82.
Dystrybucja – PolPress Sp. z o.o., Warszawa, ul. Nowy Świat 41, tel +48228288226.

Redakcja – 00-258 Warszawa, ul. Brzozowa 35, tel/fax +48226359874

Redaktor Naczelny: Łukasz Kowalski (rednaczkwl@go2.pl)
Redakcja: Karol Tyczyński (redaktor graficzny), Wojtek Antonów (sekretarz redakcji, wuzeter@go2.pl), Kuba Kaczmarczyk (sekretarz redakcji, toysoldier@go2.pl)
Marketing i reklama – Kasia Spaleny (kaspal@wp.pl)
Sekretariat – Basia Mińska
Zespół: Forin One (forin@go2.pl), Franek Teoplitz, Rafał Wielgus, Michał Rejent, Tomek Leśniak, Rafał Skarżycki, Kuba Demiańczuk, Sebastian Imbierowicz, Janek Bosek, Pawelec

NAKŁAD KONTROLOWANY
ZWIĄZEK KONTROLI DYSTRYBUCJI PRASY

Lipcowy **Ślizg** da Wam popalić...
Pezet – Obrońca Tytułu gra muzykę klasyczną;
Fenomen – warszawskie Jelonki rap w miasto niosą...
Firma – KRK rap reprezent
Mentor Skateboarding Session – skateboarding na wysokim poziomie
Kondor Cup – skate zawody w Krakowie
10 stron **graffiti** jako magazyn w magazynie
oraz BJEŻCIE NAGRODY, czyli damy Wam naprawdę fajne rzeczy
a także NOWA CENA - 6 zeta